✶ Piosenki piłkarskie ✶ Łęczyca na rozstajach
✶ Kwadratura jaja na twardo

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 13 (1266) ROK XXV 2 LIPCA 1982 ROKU CENA 20 ZŁ

13 bm. na stadionie Nou Camp w Barcelonie odbyła się uroczystość otwarcia piłkarskich mistrzostw świata. (k)

„...Potrafimy znaleźć język porozumienia"

Rozmawiamy z JÓZEFEM LENARTEM pierwszym sekretarzem POP warszawskiego oddziału ZLP

— Byłoby z pewnością bardzo ciekawe i pożyteczne dla łódzkiego środowiska literackiego i innych naszych środowisk twórczych, gdyby sekretarz organizacji partyjnej stołecznego oddziału Związku Literatów Polskich mógł się podzielić z nami swoimi spostrzeżeniami na temat ewentualnych różnic w postawach twórców warszawskiego ośrodka a ośrodków pozostałych...

— Owszem, dostrzegam różnice pomiędzy sytuacją w warszawskich środowiskach twórczych a w innych ośrodkach. Biorą się one chyba stąd, że w największej aglomeracji środowisk artystycznych i naukowych, jaką stanowi Warszawa, największe jest też zagęszczenie stosunków, powiązań i problemów, które wskutek tego są mniej przejrzyste. Inny jest przede wszystkim, jak myślę, stan świadomości co do swojego miejsca w społeczeństwie — bardziej odpowiadający rzeczywistości politycznej i realnym mechanizmom życia w ośrodkach mniejszych, niż w Warszawie, gdzie sama liczebność wspomnianych środowisk często stwarza złudzenie ich niezależności i wagi społecznej ponad rzeczywistą miarę. Sprawia to, iż różnego rodzaju koterie mogą u nas dłużej i skuteczniej działać nieujawnione.

— Trudniejsze więc jest chyba dla waszej organizacji partyjnej dotarcie do środowiska i nieco bardziej ograniczone możliwości oddziaływania?

— Zapewne tak. W mniejszych zagęszczeniach ludzi nauki i sztuki poczucie więzi pozaśrodowiskowych jest znacznie silniejsze, są więc one mniej wyalienowane z zachodzących w kraju obiektywnych procesów, u nas natomiast silniej zaznacza się skłonność do zamykania się środowisk wewnątrz siebie, jakby w wyizolowanym świecie, trudniej przenikliwym dla racjonalnych oddziaływań z zewnątrz. Należy też zdać sobie sprawę z tego, że w dawnym, przedsierpniowym modelu polityki kulturalnej, wobec bezpośredniej bliskości dostępu do władzy dawała ona niektórym, stosunkowo jednak licznym przedstawicielom środowisk twórczych szanse i możliwości korzystania z „układów" zapewniających niepisane przywileje, rodziło to podatność na coś, co można by nazwać „dworactwem"...

— ...Niejednokrotnie chyba nie bez pewnych zobowiązań twórców wobec konkretnych dysponentów władzy i nie bez gotowości do wzajemnych rozmaitego rodzaju usług?

— Oczywiście, bywało i tak, ale zasada polega chyba na tym, że polityk przydaje sobie splendoru hołubiąc znanego artystę albo i kierując spośród bliskiego mu kręgu często raczej mniemane niż rzeczywiste wielkości.

— Nie jest tajemnicą, że niektórzy spośród korzystających z przywilejów nagle, w momencie politycznego „zakrętu" wyparli się nie tylko powiązań z polityczną „górą", ale i z niezwykłą zajadłością zaatakowali cały system, któremu więcej niż inni zawdzięczali, jakby dla odwrócenia opinii publicznej od swojej niedawnej przeszłości albo w obawie, że może się ona teraz ujawnić...

— Ależ jest to powtarzająca się prawidłowość. Przypomnijmy sobie, ilu prominentnych twórców i teoretyków „socrealizmu", powiązanych nieraz osobistymi układami z kierownictwem polityki kulturalnej państwa stało się w 1956 r. pierwszymi krytykami, a następnie „dysydentami" atakującymi wręcz z pozycji antysocjalistycznych. To się i później powtarzało nie raz...

— No trzeba dopuścić zmianę poglądów pod wpływem wstrząsu moralnego, ale zapewne takie wolty przytrafiają się nie zawsze z powodu załamania się wiary w wyznawane ideały, bo wreszcie cóż wart jest światopogląd, który się załamuje, ponieważ „wodzowie" zawiedli. Ale przecież wielu usprawiedliwia się, że nie dostrzegali zła, choć patrzyli na nie z bliska.

— Więcej: zło czynione było zarówno tuż obok nich, jak i przy czynnym współudziale wielu spośród nich. Ale, oczywiście, mówimy tylko o postawach pewnych, nieraz dość znanych ludzi, którzy umieją się sprzedać i zachować przy tym pozory wysokiego morale przy każdej zmianie koniunktury. Nasze główne problemy i najważniejszy przedmiot naszej troski stanowią ludzie wahający się czy zamykający w sobie lub nawet działający przeciw nam z pobudek subiektywnie uczciwych. Dotyczy to zarówno członków partii, jak i większości środowiska literackiego.

Nie pretenduję tu do całościowego ujęcia tej złożonej sprawy. Co się tyczy członków partii w naszym środowisku literackim, to w okresie posierpniowego kryzysu spośród przeszło dwustu oddało legitymacje partyjne (bądź też im odebrano) dokładnie 37 osób. Interesujące — oddawanie legitymacji stało się jakby mniej modne po wprowadzeniu stanu wojennego. Niektórzy występowali z partii oświadczając, że nie rozstają się z ideologią, dla której do partii wstępowali, co zapewne w ustach różnych ludzi w niejednakowym stopniu brzmi prawdziwie. Ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że odchodzili nieraz ludzie uczciwi i politycznie lojalni, przygnieceni moralnym ciężarem nagle ujawnionych, bolesnych faktów, którzy zwątpili w możność wywierania wpływu na to, co dzieje się w partii. Taka motywacja zasługuje na zrozumienie i szacunek.

— Jak jednak do tego doszło, że tylu ludzi w Warszawie odeszło u was z partii bądź popadło w stan nazywany emigracją wewnętrzną? A ilu podjęło działania jawnie wrogie? Jest to sytuacja, której możliwość kilka lat temu trudno byłoby przewidzieć, niezależnie od tego czy się dostrzegało symptomy kryzysu politycznego, czy nie. Powinno to dziś dawać do myślenia organizacjom partyjnym środowisk twórczych.

— Można by już pokusić się o wstępną analizę, biorąc pod uwagę charakter działalności bardzo aktywnego komi-

9

Teresa May-Czyżowska i Janusz Zipser w premierze „Fidelio". O spektaklu piszemy na stronie 7.

Foto: Chwalisław Zieliński

Jan Brzechwa

Wieczór

Kto cię miłą wymarzył
Z ciemną smugą na twarzy,
Kto wymyślił twoje imię najsłodsze?
Kto cię z obłoków wyłowił
Podobną mgle i duchowi,
I kto do twych wysokości dotrze?

Nasze dni są coraz krótsze,
Może jutro, może pojutrze
Zblednie miłość wymyślona omylnie, —
Liście, co już pożółkły nieco,
Odrywają się od drzew i lecą,
Jak w rysunkowym filmie.

A tu spływa niebieski wieczór,
Wiatr szeleści w dziwnym narzeczu,
I zdmuchuje twoje oczy najmilsze,
Słowa gasną, stygną i bledną
I już kocham cię tylko jedną,
I wieczorną radością milczę.

Żal

Żal mi życia mojego,
Żal mi wiatru w ogrodzie,
I księżyca na wznak odbitego
W wodzie.

Żal mi nawet bezwiednej
Łzy, co żal mój uśmierza,
I tylko ciebie mi, ciebie jednej
Nie żal.

Wspomnienie o Janie Brzechwie i inne Jego wiersze — publikujemy na str. 8-9.

ANDRZEJ MAKOWIECKI pisze z Hiszpanii

Buenos diaz Barcelona

Po meczu z Kamerunem przeżyliśmy autentyczny szok. Część dziennikarzy zaczęła pakować walizki, nikt jak dotąd nie zabukował lotu do Barcelony. Piłkarze pozamykali się w swoich pokojach, Smolarek nie przemówił jeszcze ani słowa, natomiast Lato, w szczupłym, nieoficjalnym gronie powiedział pod własnym adresem: — I po co, stary, łysy ch.... te trzecie mistrzostwa? — Bo to zżera sobie tylko nerwy, haruje głęboko cofnięty do tyłu, a efektów jak nie było, tak nie ma. Skrobowski, mimo zapewnień lekarza, przyleciał do Hiszpanii w stanie nie rokującym żadnych nadziei. Iwan zerwał mięsień dwugłowy uda (konkretnie — przyczep) i nie szybko wróci na boisko. Pozostaje więc tylko pytanie, czy grał na blokadzie ostatni mecz?

Zespół jest zdziesiątkowany. Z ławy nie ma kogo wyciągnąć, czego najlepszym przykładem jest niemrawy Szarmach i bezproduktywny Kusto. Ten pierwszy obraził się zresztą na Piechniczka, że nie grał przeciwko Włochom, Boniek, póki co, nie błysnął jako lider, ani jako solista, jest pomawiany, ginie w cieniu światowych gwiazd. Ogół piszących Polaków twierdzi, że powinien iść na aut, przynajmniej w meczu z Peruwiańczykami. Broni go tylko Wójcicki i Makowiecki. No, bo kto go zastąpi? Kupcewicz? Słychać głosy: Lato na skrzydło, Matysik do środka, Dziuba na prawą obronę, ale co z tego wyniknie? Jak wygrają, Piechniczek odzyska prestiż, w wypadku klęski ukamienują go za odstawienie Bońka.

— Będziemy walczyć na śmierć i życie — oświadcza galicyjskiej prasie trener. — Ma pretensje do Smolarka za dwie nie wykorzystane okazje. Pezetpeenowcy drżą jak galaretka z zimnych nóżek. Podobno zespół jest zmęczony, przetrenowany, odczuwa wstręt do piłki, za dużo było spotkań kontrolnych. Przy zrywach tętno piłkarzy skacze w Hiszpanii do dwustu, a w meczach kontrolnych mieli tylko sto sześćdziesiąt. Zadyszka, łomot w skroniach, trochę mnie to dziwi, albowiem klimat w Galicji jest łagodny, znacznie chłodniej, niż o tej porze w Polsce. Temperatura wody w zatoce — 12 stopni, w powietrzu — 16. Deszcze i mżawki, a ci z gorących stron, z Ameryki, z Afryki i Włoch nie narzekają.

Przed meczem uczestniczę w konferencji prasowej, podczas której odpowiada na pytania prezydent FIFA, dr Joao Havelange. Kiedy pokazuje się ten starszy, wysoki, siwy pan o nienagannych manierach, od razu wyciągam rękę, podobnie jak wielu innych zagranicznych dziennikarzy. Nie wiem, skąd bierze się we mnie taka czelność, w każdym razie szef światowego futbolu, z sympatycznym uśmiechem na twarzy, przyznaje mi głos jako pierwszemu.

Wstaję, mówię:

— Senior prezydente, w imieniu kilku polskich dziennikarzy chciałem gorąco podziękować panu za akredytację, którą przyznano nam w ostatnim momencie. — Potem zadaję trzy pytania: jak ocenia pan organizację hiszpańskich mistrzostw, co sądzi pan o polskim zespole i czy mógłby pan powiedzieć parę słów o grze drużyny brazylijskiej?

Dr Havelange odpowiada wyczerpująco i trwa to co najmniej dziesięć minut. Organizacja jest wzorowa, a gościnność gospodarzy nadzwyczajna, za co chciałby podziękować całej Hiszpanii. Polska już nie raz udowodniła, że ma bardzo zdolnych piłkarzy (ktoś tam syknął ironicznie za moimi plecami) i powinna wyjść z grupy. Jeśli chodzi o grę Brazylijczyków, nie chciałby oficjalnie wypowiadać się, gdyż nie jest przecież szefem federacji futbolu w tym kraju. Z drugiej strony, jako Brazylijczyk, jest usatysfakcjonowany zwycięstwami swoich rodaków, którzy bezsprzecznie pokazali na czym polega sztuka futbolu.

Padają dalsze pytania: — Dlaczego rzecznik prasowy FIFA, pan René Courte, dyskryminuje tych dziennikarzy, którzy przychodzą na konferencję z magnetofonami?

— Nie ma żadnej dyskryminacji, jeśli zdarzy się jakiś incydent, proszę przesłać protest do FIFA. Nawiasem mówiąc — incydent rzeczywiście się zdarzył, wyproszono za drzwi polskiego radiowca.

— Co będzie, jeśli do finału trafi Anglia i Argentyna?

— Nic. Będzie to taki sam finał, jak każdy inny. Sport nie ma nic wspólnego z polityką.

Dr Havelange mówi również o pomocy, jakiej FIFA udzieliła krajom biednym, aby mogły właściwie przygotować się do mistrzostw. Sama Afryka otrzymała pięć milionów dolarów i kto wie zresztą, czy w przyszłości jakiś Mundial nie odbędzie się właśnie w Afryce lub Azji. Co do najbliższych gospodarzy mistrzostw, Kolumbii, impreza zostanie jej przyznana tylko wówczas, kiedy okaże się że jest w stanie spełnić wszelkie wymogi FIFA. Chodzi tu o stadiony, hotele, boiska treningowe, pocztę i komunikację.

Tuż po utracie Malwin, Menotti otwarcie i krytycznie ocenił politykę niektórych argentyńskich, zbyt pewnych siebie przywódców. Niebawem prezydent podał się do dymisji, co na szczęście nie grozi Menottiemu, gdyż w pięknym stylu pokonał Węgrów. Diego Maradona strzelił dwie bramki i momentalnie wrócił do łask hiszpańskiej prasy. Korespondenci

12

Przegląd prasy

MAM WĄTPLIWOŚCI

czy „Odgłosy" dobrze robią, publikując przegląd prasy. Na rynku prasowym toczy się bowiem zacięta walka o czytelnika i mało kto opowiada o tym, co piszą inni. Z jednej strony niby to nasz obowiązek informować czytelnika o tym, co piszą inne pisma, jakimi zajmują się problemami, co ciekawego można znaleźć w tygodnikach. Z drugiej jednak strony jest to reklama dla tych innych pism. Zachęta, aby czytelnik po nie sięgnął, skoro można tam znaleźć takie ciekawe artykuły. Lepiej więc nie opowiadać mu o tym. Ale zważywszy na to, że czytelnik dokonuje dziś wyboru, a nie kupuje wszystkiego, jak to robił dawniej, pismo ma obowiązek dawania czytelnikowi przynajmniej przeglądu tego, co znaleźć można na innych łamach. Pozostańmy więc wspaniałomyślni i wypełniajmy nasz obowiązek. Być może czytelnik wynagrodzi nam to przywiązaniem do pisma. Tym bardziej, że jest o czym pisać, gdyż w każdym niemal tygodniu można znaleźć interesujące artykuły, warte wspomnienia i zasygnalizowania.

Oto „PRZEGLĄD TYGODNIOWY" wysłał ekipę reporterów: Mariana Bołtryka, Andrzeja Mrozińskiego i [illegible] Tettera do Łodzi i w numerze 13 z 27 czerwca 1982 relacjonuje wyniki reporterskiej penetracji. Z przedstawionych materiałów wynika, że

W ŁODZI JEST DROŻEJ I GORZEJ

niż na przykład w Warszawie. Ilustracją tej tezy jest łódzka ulica Wschodnia, **„bogata w różnego rodzaju ajencyjne sklepiki".**

„Monstrualnie wysokie ceny spotkałem tam prawie we wszystkich sklepach — czytam w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" — **prowadzących sprzedaż środków piorących, czyszczących, kosmetyków i chemikalii.**

Tak, uderzające ceny proszków do prania — po parę tysięcy złotych za opakowanie; lakierów do włosów po 850 złotych za pojemnik (400 ml prod. NRD), a przede wszystkim wyjątkowo bezczelna cena litrowej butelki płynu do płukania tkanin „WOFALOR", proponowanego za 750 złotych. Cena ta nie wydawałaby mi się aż tak szokująca, gdybym nie widział na własne oczy i nabył przed paroma dniami w staromiejskim kiosku „Ruchu" w Warszawie identycznego płynu za 85 złotych".

Tak to nas — jak się okazuje — robią niektórzy w konia, żeby posłużyć się młodzieżowym żargonem, ale nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. Czytajmy jednak dalej.

„W tym samym sklepie na półkach leżały zachodnioniemieckie mydła „Zielone jabłuszko" — zapach ten wychodzi już nam uszami — za 350 złotych, podczas gdy w Warszawie mydło to dostępne jest już za 200 złotych".

Warszawscy reporterzy poszli też do innych sklepów i dalej porównywali ceny. Oto niektóre z porównań:

„Puszka ananasa (1 dolar 20 centów w Pewexie) w łódzkim sklepie przy ulicy Nawrot — 650 zł (w Warszawie od 400 do 450).

250 g ryżu w torebkach — 150 zł.

Papierosy zachodnie 300 zł (w Warszawie od 200 do 250)."

Inne porównanie.

„W Warszawie na Bazarze Różyckiego za męskie buty „w szpic, przypalane, na wysokim obcasie, trzeba zapłacić 1800 złotych — za podobne w Łodzi o 700 zł drożej."

W Łodzi z pokątnego handlu wódką słynie — niechlubnie — ulica Włókiennicza, w Warszawie — ulica Brzeska. Ale w Łodzi żądają tam za pół litra 1200 zł, a kupić można — jak się potarguje — za tysiąc złotych. W Warszawie natomiast **„płaci się teraz już tylko 800 zł, czasami nawet mniej".**

Warszawscy reporterzy nie ograniczyli się tylko do prywatnych sklepów, bazaru i ulicy Włókienniczej. Oto inna ich obserwacja:

„W Łodzi jest jednak i takie miejsce, w którym ceny usług szewskich są wyższe przeciętnie o sto procent od takich samych, wykonywanych w innych punktach. Miejscem tym jest „Klinika obuwia" przy ulicy Gdańskiej, mająca swój własny cennik ustalony na obuwie ortopedyczne, stosując ten cennik również przy naprawach ze zdrowiem i wygodą stopy mających mało wspólnego.

Przykładowo: wymiana obcasów, spodów i wyściółki w damskich szpilkach w zwykłym zakładzie szewskim kosztuje 500 zł. W „Klinice" równo tysiąc".

No, cóż — wiadomo, w klinice obuwie leczą, w warsztacie — reperują.

Relacja warszawskich reporterów z pobytu na plebanii, gdzie dzieli się zagraniczne dary, nie nastraja już do żartów.

„Panie zajmujące się rozdziałem darów, podobnie jak i siostry zakonne trzymające pieczę z urzędu nad dystrybucją — piszą warszawscy reporterzy — **są zgodne w jednej kwestii — z pomocy korzystają najczęściej ludzie, którzy jej tak bardzo nie potrzebują. Ci najbardziej potrzebujący uważają, że są jeszcze bardziej potrzebujący od nich i nie przychodzą."**

Smutna to refleksja, ale myślę, że tak jest nie tylko w Łodzi. I dlatego byłoby mi trudno nie zgodzić się z końcową uwagą reporterską zanotowaną po pobycie na plebanii.

„Po paru godzinach spędzonych na plebanii człowiek jest zmęczony psychicznie, wstyd i gorycz zaczynają dominować w jego myślach. I chciałbym dożyć czasów, kiedy to Polska będzie mogła zrewanżować się takimi samymi darami RFN, Francji, USA."

Przejdźmy może do czegoś weselszego. „SZPILKI" są wprawdzie pismem satyrycznym, ale pośmiać się tam na ogół nie ma z czego. Na ostatniej stronie można natomiast znaleźć bardzo poważne, choć zjadliwe felietony Klaksona. W numerze z 17 czerwca 1982 roku Klakson przedstawia

TESTAMENT SDB

felieton, któremu nadał motto zaczerpnięte u księdza Józefa Tischnera: **„Kto wybrał chwilową iluzję, by na niej zarobić, ten przeminie wraz z iluzją".** A oto fragmenty tego felietonu:

„Po rozwiązaniu Stowarzyszenia Dziennikarzy Bratkowskiego (SDB) przywódcy tego ugrupowania puścili w nielegalny obieg różne dokumenty, w tym zalecenia, jak mają postępować ich stronnicy w czasie stanu wojennego. No cóż, w naszym kręgu cywilizacyjnym każdy umierający może ogłosić testament. Jeśli jednak dewot legatem swym odda willę na dom publiczny przekreśla wyobrażenie o sobie, które za życia tworzył.

Uzasadnienie rozwiązania SDP satysfakcjonowało nie wszystkich członków tej korporacji. Niektórzy uważali je za ogólnikowe, słabo udokumentowane lub jednostronne. My KLAKSON należeliśmy, wstyd się teraz przyznać, do tych krytyków. Dzięki rozkolportowaniu pozgonnych zaleceń Stefana Bratkowskiego sprawa została wyjaśniona i zamknięta. Były prezes dostarczył przekonującego uzasadnienia posunięć, które w niego godziły. Żeby użyć jego ulubionego pojęcia — on uwiarygodnił swoich własnych przeciwników (...)

Władze ś. p. SDP za życia nieboszczyka zawsze twierdziły, że jest to powszechna organizacja zawodowa wszystkich dziennikarzy, która skupia ludzi wszelkich kierunków politycznych i odcieni, a za prezesury Bratkowskiego wspartej sekretarzostwem przezacnego Dariusza Fikusa orientacje te właśnie mocno się zróżnicowały. Post Factum treścią swego testamentu władze Stowarzyszenia przyznają ze spóźnioną szczerością, iż była to organizacja wyrażająca jeden określony kierunek polityczny, mianowicie przeciwstawny wobec WRON i tych racji, którymi uzasadniane jest wprowadzenie stanu wojennego. „Zasady postępowania dziennikarza" mówią bowiem w punkcie 3 o tym, że kto chwali stan wojenny lub usiłuje uzyskać dlań poparcie społeczne, ten traci twarz, kompromituje zawód dziennikarski. Jest też groźba: zapowiedź kary, która kiedyś zostanie wymierzona dziennikarzom o tego rodzaju poglądach.

W punkcie pierwszym „Zasad" afirmowane jest kontynuowanie działalności zawodowej „w sposób w jaki bym ją uprawiał przed wprowadzeniem stanu wojennego". Ponieważ zaś stan wojenny uniemożliwił legalne kontynuowanie politycznie opozycyjnego pisarstwa, w zasadzie sformułowano aprobatę tylko dziennikarstwa nielegalnego lub emigracyjnego. Straszenie karą osób pracujących w legalnej propagandzie oznacza, że kierownictwo byłego SDP bynajmniej nie walczy o to, żeby każdy dziennikarz mógł głosić to w co wierzy, mówić co zechce, pragnie iść za Albinem Siwakiem jego sprawa, za Stefanem Kisielewskim — wolna wola. Byłe kierownictwo SDP optuje za koncepcją dziennikarstwa politycznie zawężonego do jednego antysocjalistycznego kierunku. Kto nie przyjmie go czynnie lub co najmniej w duchu — ten zostanie ukarany. (...)

Nieboszczyk nie musi być taktykiem, więc pośmiertnie dopowiedziano to, co uprzednio było skrywane. Zagrobny dokument stanowi więc uzasadnienie postanowienia władz o likwidacji Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a bardzo takiego brakowało."

W kolejnym numerze „SZPILEK" — z 24 czerwca 1982 roku — tenże Klakson zajął się zjawiskiem, które pozornie może wyglądać, jak

WOŁANIE O SPRAWIEDLIWOŚĆ SPOŁECZNĄ

a w istocie jest nie tyle nieporozumieniem, co formą odgrywania się na ludziach, którzy mieli to nieszczęście, że przyszło im piastować różne urzędy. Pojęcie władzy i związków ludzi z tą władzą jest u nas dość opacznie pojmowane. Dla sprzątaczki prominentem będzie majster, kierownik, to już „wysoki urzędnik", a dyrektor to ktoś, kto codziennie rozmawia, jak nie z samym Panem Bogiem to przynajmniej z kilkoma świętymi. Dla urzędnika prominentem jest dyrektor, dla dyrektora minister i tak dalej. Wiadomo wszakże, że ci różni prominenci i niebywali dygnitarze różnymi legitymują się kwalifikacjami oraz powiązaniami i kiedy zaczyna się porządkować politykę kadrową, wtedy wracają na miejsca, które powinni byli od dawna zajmować. I wtedy zaczynają się protesty. Swój felieton na ten temat Klakson zatytułował „Sprzeciwy"". Pisze on, że **„Sprzeciw wobec zatrudnienia byłych posiadaczy wysokich stanowisk jest rezultatem mylenia pojęć rozmaitego rodzaju."** Bowiem: **„Teoretycznie można sobie wyobrazić kierowanie upadłych notabli do zajęć prostszych niż te, do których są przygotowani. Tyle, że to byłaby strata pieniędzy publicznych włożonych w ich wykształcenie — a także bezprawie".**

Klakson ze swadą felietonisty dotknął tylko dość istotnego zjawiska. Jest to wprawdzie już przez Melchiora Wańkowicza opisywana bezinteresowna zawiść. Ale nie tylko. U nas praca fizyczna jest w pogardzie i ci, którym przychodzi się nią zajmować uważają się za skrzywdzonych. Wszyscy chcieliby być kierownikami, dyrektorami, zarządzającymi. Stąd ten nasz pęd do rozbudowywania administracji i tworzenia kierowniczych stanowisk. A kto już stanowisko takie zajął — ten musi się narazić innym przez sam fakt nazywania się kierownikiem. A tymczasem.

„Polityka kadrowa — pisze Klakson — **zmierza do obsadzenia stanowiska osobami możliwie najlepszymi, co implikuje dymisjonowanie dobrych, ale gorszych, złych na tę pozycję lecz świetnych na inną itd., itp. Reakcje społeczne, które obserwujemy są w istocie rzeczy walką z racjonalną i właściwą polityką personalną. Dymisje i degradacje, które powinny być czymś dość zwyczajnym przy dążeniu do optymalizacji obsady kadrowej, pojmowane są jako coś na wzór religijnego potępienia wiecznego i strącenia do piekieł."**

Tego typu rozumowanie zawiera w sobie pewne dość istotne niebezpieczeństwo. Jeśli bowiem naturalny ruch kadrowy, sprowadzający się do przesuwania ludzi nieodpowiednich na niższe stanowiska będzie napotykał takie opory, to musi spowodować naturalną reakcję — kurczowe trzymanie się stołka, bo jak nie, to można znaleźć się w sytuacji nigdzie niechcianego, a tej nikt nie pragnie. Poza tym nie bez racji pisze Klakson:

„Sprzeciwy wobec obejmujących pracę eksdygnitarzy czy eksdygnitarzyków podszyte są wszakże przeważnie nie tylko niesprawiedliwością ocen. Podłością także. Niechęć do niektórych osobistości tłumiona jest i nawet skrywana pod pokłonami dopóki osoby te mają władzę, a wyzwala się z kompensacyjną siłą dopiero wówczas, kiedy upadają. Godne to jest pogardy. Deklarują ją niniejszym, proszę społeczeństwa!"

NA KONIEC CYTAT

za „PRZEGLĄDEM TYGODNIOWYM" (nr 13 z 27 czerwca 1982 r.) z wywiadu dyrektora Działu Ekonomicznego ZG RSW „Prasa — Książka — Ruch" — Andrzeja Boniuka udzielonego PAP:

„Zespoły redakcyjne są dziś bardzo zainteresowane tym, jak rozchodzi się ich pismo i opierając się na sygnałach dostosowują się do wymagań i potrzeb czytelnika."

I komentarz „PT":

„Od siebie dodamy, że sygnały odbierane od czytelników dotyczą nie tylko treści „Przeglądu Tygodniowego", ale także informują o poważnych fluktuacjach w terminowym docieraniu do kiosków naszego tygodnika. A na to już wpływu nie mamy..."

Od siebie mogę dodać, że w poniedziałek, 21 czerwca 1982 roku w samo południe usiłowałem kupić gazetę i papierosy w kioskach w centrum Łodzi na rogu ul. Piotrkowskiej i Żwirki, al. Kościuszki i Żwirki, al. Kościuszki i Zamenhofa i wszystkie były... zamknięte. Kiosk z gazetami na najbardziej ruchliwym rogu (koło Centralu) al. Mickiewicza i al. Kościuszki zamykany jest punktualnie o godz. 16. I tu ma być handel? Proszę też popatrzeć, w jaki sposób w kioskach wykłada się u nas czasopisma. To już mówi samo za siebie!

LUCJAN BOGUSZ

PIERWSZY FRANCUSKI KOSMONAUTA NA POKŁADZIE SOJUZA T-6

W czwartek, 24 czerwca o godzinie 20.30 czasu moskiewskiego, z kosmodromu Bajkonur wystartował statek kosmiczny „Sojuz T-6", z radziecko-francuską załogą na pokładzie.

Pojazdem kierują piloci kosmonauci: dowódca statku **Władymir Dżanibekow**, inżynier pokładowy **Aleksander Iwanczenkow** i kosmonauta-badacz, obywatel francuski **Jean-Loup Chretien.** Jest to dziesiąta już międzynarodowa ekspedycja, udająca się w kosmos z radzieckiego kosmodromu. Przypomnijmy, że lot ten odbywa się niemal w czwartą rocznicę startu pierwszego polskiego kosmonauty, ppłk Mirosława Hermaszewskiego.

Celem lotu „Sojuza T-6" jest orbitalny kompleks naukowo-badawczy „Salut 7 — Sojuz T-5". Połączenie „Sojuza T-6" z kompleksem nastąpiło na siedemnastym okrążeniu. W nocy z 25 na 26 czerwca kosmonauci radzieccy i ich francuski kolega przeszli na pokład „Saluta 7" i podjęli współpracę z jego załogą — **Anatolijem Bieriezowojem** i **Walentinem Lebiediewem.** Kosmonauci kontynuować będą bardzo obszerny program badawczy.

Lądowanie kosmonautów przewidziane jest na 2 lipca ok. godz. 18.00 czasu moskiewskiego w Kazachstanie.

W centrum prasowym lotu przebywa około osiemdziesięciu dziennikarzy francuskiej prasy, radia i telewizji.

Wspólny lot orbitalny jest doniosłym wydarzeniem w rozwoju francusko-radzieckiej współpracy naukowo-technicznej w badaniach kosmosu.

W POZNANIU POWSTANIE BANK KREDYTOWY

Zakończyły się obrady VIII „Polonijnego Forum Gospodarczego 82". W czasie dwudniowych obrad przedstawiciele rządu, organizacji spółdzielczych, rzemiosła i administracji gospodarczej dyskutowali z reprezentantami sfer handlowo-przemysłowych Polonii nad dalszym usprawnieniem współpracy gospodarczej z Polonią i rozwojem działalności przedsiębiorstw polonijnych.

Podkreślano z zadowoleniem, że już ubiegłoroczne forum polonijne miało wielkie znaczenie dla przełamania wielu barier hamujących działalność firm polonijnych.

Dużą rolę w rozwoju przedsiębiorstw polonijnych odgrywa Polsko-Polonijna Izba Przemysłowo-Handlowa „Inter-Polcom". Zebrani z uznaniem powitali inicjatywę powołania w Poznaniu banku kredytowego, którego głównym zadaniem będzie obsługa finansowa małych i średnich przedsiębiorstw.

Bank nawiąże do chlubnych tradycji banku spółek zarobkowych działającego w Poznaniu podczas zaboru pruskiego. Bank spółek zarobkowych miał wielkie znaczenie nie tylko gospodarcze — był instytucją patriotyczną, wielce zasłużoną dla sprawy polskości w germanizowanej Wielkopolsce.

AFERZYŚCI Z „PAGARTU" NA ŁAWIE OSKARŻONYCH

Do Sądu Rejonowego dla m. st. Warszawy wpłynęła sprawa przeciwko dwóm osobom z byłego kierownictwa Polskiej Agencji Artystycznej „Pagart" — byłemu dyrektorowi polsko-amerykańskiej spółki „Artpol" z siedzibą w N. Jorku Andrzejowi J. i zastępcy dyrektora „Pagartu", a jednocześnie wiceprezydentowi spółki „Artpol" — Jerzemu M.

Prokurator zarzuca Andrzejowi J. niedopełnienie obowiązków służbowych w zakresie gospodarowania mieniem spółki, co spowodowało straty w wysokości ponad 113 tys. dolarów USA (ok. 3 mln 750 tys. zł).

Jerzy M. stoi pod zarzutem, że doprowadził do powstania strat w wysokości 113 tys. dolarów USA. Jerzy M. odpowiada także za poświadczenia nieprawdy co do rozliczenia 700 dol. Podał on organom kontrolnym fikcyjne uzasadnienie wydatkowania tej kwoty.

PROBLEMY PRASY, RADIA I TV

W drugiej połowie czerwca częściej niż zwykle wracały na łamy prasy zagadnienia związane z funkcjonowaniem prasy, radia i telewizji. 18 czerwca ocenie działalności środków masowej komunikacji poświęcone było posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR. W komunikacie PAP z tego posiedzenia czytamy m. in. „...trzeba więcej uwagi poświęcić skuteczności oddziaływania, co wiąże się z operatywnością i rzetelnością informacji, przekonywującą argumentacją, szybkim reagowaniem na sprawy społeczne i jednostkowe, obiektywnym prezentowaniem opinii publicznej spraw najważniejszych dla kraju i społeczeństwa".

Biuro Polityczne zapoznało się z projektem ustawy „Prawo o prasie". Projekt będzie poddany — w myśl wskazań Biura Politycznego — szerokiej konsultacji społecznej.

Zadaniom prasy, radia i telewizji poświęcona była narada redaktorów naczelnych w Komitecie Centralnym PZPR.

Działalności wydawniczej i sytuacji produkcyjno-ekonomicznej było poświęcone posiedzenie Rady RSW „Prasa-Książka-Ruch".

Kierownictwo tymczasowych władz Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL z prezesem **Klemensem Krzyżagórskim** i **Wiesławem Bekiem** złożyło wizytę w Pradze, w siedzibie władz Międzynarodowej Organizacji Dziennikarzy.

25 LAT „ŻYCIA PABIANIC"

Dziennikarze i czytelnicy „Życia Pabianic" obchodzili w zeszłym tygodniu srebrny jubileusz swojej gazety. Zaprzyjaźnionemu tygodnikowi i Kolegom po piórze życzymy dalszych stu lat, ciekawych publikacji, wysokiego nakładu i nieustającej sympatii czytelników.

Do Redakcji

OBYWATEL
NACZELNY REDAKTOR
TYGODNIKA „ODGŁOSY"

Wydział Zatrudnienia i Spraw Socjalnych Urzędu Miasta Łodzi składa na ręce Obywatela Redaktora podziękowanie za zajęcie się bardzo trudną i skomplikowaną obecnie sytuacją w dziedzinie zatrudnienia absolwentów szkół wyższych w artykule Włodzimierza Pitkiewicza w numerze 7 z dnia 23 maja br.

W przypadku kontynuowania tej problematyki wydział nasz udostępni wszelkie posiadane w tym zakresie materiały z terenu woj. miejskiego łódzkiego.

Jednocześnie czujemy się zobowiązani do sprostowania zamieszczonej w pkt. 7 artykułu błędnej informacji, że podane w tym punkcie zmniejszenia naboru na poszczególne kierunki studiów są sugestiami wydziału, gdyż nie są to sugestie, a ustalenia oraz nie wydziału, lecz uczelnianych komisji rekrutacyjnych.

zastępca dyrektora wydziału
mgr ZYGMUNT ZIELIŃSKI

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki,** (z-ca sekretarza redakcji), **Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (redaktor techniczny), **Jerzy Panasewicz** (z-ca redaktora naczelnego), **Igor Sikiryński** (kier działu literackiego) **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański Glanc** (grafik), **Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652 44, sekretarz redakcji 680 99, publicyści 677 70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo doskrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty roczna 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153-201045-139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762.
Zam. 1136. F-11

Romantycy, pozytywiści i reszta

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1 Stanisław Cat Mackiewicz już po powrocie do kraju otrzymał w przesyłce komplet wydawanego przez siebie tygodnika „Lwów i Wilno". Lektura tego tygodnika wzbudziła w nim refleksje. Opisał je w jednym z rozdziałów wydanej w 1959 roku książki pt. „Zielone oczy".

„Pismo poświęcone było czemuś — napisał Stanisław Cat Mackiewicz — *co stanowiło przez życie całe treść moich sentymentów, przywiązania, miłości. Że ujawnianie tych sentymentów zaraz po drugiej wojnie światowej było niezgodne z realizmem politycznym, wiem o tym dobrze, ale tu muszę sobie samemu jako politykowi powiedzieć: absolwo te. Natomiast ile tam wypowiedzianych jest trafnych przewidywań przyszłości politycznej! (...) Jestem jedynym publicystą polskim, który może czytać swoje przewidywania polityczne sprzed lat głośno bez wywoływania śmiechu na sali."*

„Lwów i Wilno" wychodziło w Londynie od listopada 1946 roku do listopada 1950 roku. Nie ukazywało się regularnie, bo redaktor naczelny, sekretarz redakcji, kierownik działu i publicysta w jednej osobie, mając do pomocy *„jedną siłę administracyjną i jedną korektorkę"* często nie posiadał pieniędzy na honoraria, a i pożyczyć często też nie miał u kogo. To tak gwoli informacji, co to był tygodnik „Lwów i Wilno".

Ów tygodnik we wrześniu 1947 roku przeprowadził ankietę, *„czy odpowiadający przewiduje konflikt pomiędzy Ameryką a Rosją"*. „TAK" — odpowiedziało 96 procent uczestników ankiety, „NIE" — 4 procent.

„A więc — pisze Stanisław Cat Mackiewicz — *jesienią 1947 roku (...) 11 procent odpowiadających na naszą ankietę emigrantów polskich z Anglii, Francji, Niemiec, Szwajcarii etc. odpowiedziało, że wojna wybuchnie w ciągu kilku miesięcy, 25 procent, że za rok, 20 procent, że za dwa lata, inni przewidywali daty późniejsze."*

Tytuł tego rozdziału brzmi: „CIEŃ HAJDUKA ZAMIATA CIENIEM MIOTŁY CIEŃ KARETY". Ale historia — wbrew pozorom i wbrew mitom — nigdy się nie powtarza dwa razy, choć można się w niej dopatrywać podobieństw i analogii. Nic więcej.

2 W 3 numerze tygodnika „TU I TERAZ" opublikowano rozmowę Teresy Krzemień z Janem Pawłem Gawlikiem. Tytuł tej rozmowy: „PAT?". Dotyczy ona między innymi Teatru Telewizji Polskiej. *„Czy jest szansa na premierę w Teatrze Telewizji?"* — pyta Teresa Krzemień. *„Premiery pojawiają się i będą się pojawiać"* — odpowiada J. P. Gawlik. I na tym sprawę Teatru Telewizji Polskiej można byłoby zamknąć, reszta rozmowy dotyczy bowiem spraw głębszych i szerszych. J. P. Gawlik powiada:

— *„Bojkot jest jednym z bardziej interesujących zjawisk stanu wojennego. Jest równocześnie miarą i świadectwem nieporozumień."*

I jeszcze:

— *„...elita polskiego teatru nie spieszy się do pracy w studio."*

„Nie spieszy się" — ładnie powiedziane Myślę, że warto byłoby tu użyć innych określeń: „nie chce", „boi się". Kto bowiem się odważył, ten został... wyklaskany. Jak powiadają ludzie wtajemniczeni po teatrach krążą „szczegółowe regulaminy postępowania", w których mówi się, co aktorowi wolno robić co ma bojkotować i za co zostaje się wyklaskanym". W Łodzi zdarzył się jeden taki wypadek. Nie chcę wspominać nazwiska znanego aktora i pieśniarza. Do tej pory nie podniósł się po tym „incydencie". I kto może się z tego cieszyć? Dla kogo to „zwycięstwo"? Strach ma wielkie oczy, ale daleko przy pomocy strachu ujechać nie można.

Można byłoby całą rzecz zbagatelizować. Można byłoby powiedzieć, że do tej pory narzekaliśmy na chałturzących aktorów, teraz mają okazję wyżyć się we własnym teatrze, a więc maluczko, a teatry zakwitną wspaniałymi premierami niczym łąki na wiosnę. Ale nie łudźmy się. Teatry są w trudnej sytuacji. Muszą określić swój status w reformie gospodarczej, w kryzysie i w procesie wychodzenia z kryzysu. Jeśli chodzi o łódzkie teatry to i ich baza materialna nie jest najlepsza. Niektórym potrzeba natychmiast remontu, którego nie będzie. Przynajmniej na miarę potrzeb. Nie jest to pocieszająca prognoza dla polskiej kultury.

Ale teatr polski ma wielką szansę utrzymania swej obecności wśród milionowej widowni. Tą szansą jest Teatr TVP. Tymczasem...

„Bojkot Teatru TV — powiada Jan Paweł Gawlik — *„oznacza w istocie przekreślenie co najmniej 200-milionowej widowni telewizyjnej — przy najbardziej ostrożnym szacunku jej liczebności. Rezygnujemy z niej na rzecz 7-milionowej widowni żywego teatru... Liczby te (zaniżone przeze mnie w przypadku telewizji) mówią, rzecz prostą, o r o c z n e j widowni Teatru TV. I r o c z n e j widowni 60 teatrów profesjonalnych w Polsce."*

Można byłoby — ponownie rzecz bagatelizując — powiedzieć, że skoro *„elita polskiego teatru nie spieszy się do pracy w studio"*, to być może otworzy drogę młodym, być może pojawią się niejako w zastępstwie nowe, obiecujące talenty. Ale i to płonna nadzieja. „Niespiesząca się elita" ma przecież wpływ na postawy młodych.

3 Jan Paweł Gawlik problem ten widzi na znacznie szerszej podstawie.

„Odczucia te i problemy — powiada — *to dzisiaj brzemienny w następstwach podział narodu opowiadającego się bądź za postawą romantyczną, bądź pozytywistyczną. To najbardziej ważka dla naszej przyszłości odpowiedź na pytanie, czy mamy prowadzić ostrą, nie przebierającą w środkach walkę polityczną w sytuacji przesądzonej i nie pozostawiającej nadziei, czy też lepiej i skuteczniej przysłużymy się przyszłości dbając o koncentrację sił".*

Rozumiem, że podział na „romantyków" i „pozytywistów" jest umowny, jest swego rodzaju kluczem, analogią do przeszłości. Ale to odwoływanie się do przeszłości budzi we mnie sprzeciw. Przede wszystkim dlatego, że prowadzi do niebezpiecznych uproszczeń. Nie można bowiem bezkarnie przenosić minionych wzorów do obecnej, jakże różnej i w inny sposób pogmatwanej sytuacji. Byłoby to bowiem nieliczenie się z realiami, które może tylko zaciemnić obraz tej pogmatwanej sytuacji. Takie rozumowanie — jak twierdzi Jerzy Chłopecki w książce „Rewolucje i postęp" — byłoby *„głuche na prawdę, że między sferą niegdysiejszych a dzisiejszych wartości, czy nawet między ich dawniejszym a obecnym kształtem nie ma przekładni prostej i automatycznej"*. Świadomość przeszłości musi być obecna w naszym dzisiejszym myśleniu, ale jest to zupełnie coś innego niż mechaniczne przenoszenie dawnych wzorów do nowych, inaczej układających się warunków.

Cóż kryje się pod „postawą romantyczną"? Czy tylko jest to dominanta uczucia nad rozumem, bunt przeciw „dzisiejszości"? Czy jest to tylko *„czucie i wiara"*, które silniej przemawiają niż *„mędrca szkiełko i oko"*? Czy jest to może spór o kształt socjalizmu w Polsce, o jego przyszłość, czy też spór o to, czy w Polsce w ogóle ma być socjalizm? Gdyby spór toczył się tylko o przyszłość socjalizmu w Polsce, to nie potrzebny byłby żaden bojkot, gdyż musiałby się on toczyć w ramach istniejących obecnie instytucji, a nie przez ich negowanie.

A może jest to spór o kształt polskiej kultury? Gdyby tak miało być, to warto przypomnieć sobie Uchwałę IX Zjazdu PZPR, która jednoznacznie opowiedziała się za wielonurtowością polskiej kultury.

„Kultura polska — czytamy w Uchwale IX Zjazdu partii — *rozwija się w warunkach ścierania się różnorodnych nurtów ideowych i światopoglądowych. Ta różnorodność i wzajemne przenikanie odmiennych prądów kulturowych dawały pozytywne owoce zawsze, gdy istniał klimat tolerancji, który jest trwałą wartością historii naszego narodu. Partia opowiada się za kontynuacją tej tradycji. Kultura socjalistyczna, wyrastająca z całego postępowego dorobku, jest istotą tożsamości narodowej."*

Spór więc toczy się o co innego. Rozgrywa się on na płaszczyźnie politycznej, jest formą walki politycznej i ideologicznej. I dlatego dużym nieporozumieniem jest przypisywanie ludziom stającym na pozycjach przeciwnych „postaw romantycznych", Romantyzm bywał różnie interpretowany, również jako protest przeciw XVIII-wiecznemu racjonalizmowi, jako nawrót do feudalizmu i średniowiecza, ale w Polsce miał romantyzm treść postępową, głosił wiarę w lud, bronił narodu i głosił umiłowanie wolności. Czy w kształtowanych dziś postawach może zabraknąć elementów romantycznych? Czy możemy odrzucić i pogrzebać dorobek romantyzmu w polskiej kulturze? Czy przeciwstawiając „postawy romantyczne" — „postawom pozytywistycznym" nie sugerujemy czegoś podobnego? Dlatego uważam, że jest to poważne nieporozumienie i uproszczenie. Rozumiem, że nie wszyscy, którzy powstrzymują się od działania wybiegającego poza pragmatyczne wykonywanie obowiązków są przeciwnikami politycznymi, ale przeciwnikom tym się jednak podporządkowują. Z różnych powodów zresztą.

Sytuacja ta przypomina mi coraz bardziej cień hajduka, który cieniem miotły zamiata cień karety.

4 Kultura w życiu naszego narodu ma ogromne znaczenie. Była ona w porozbiorowej Polsce — jak to określił w cytowanej książce Jerzy Chłopecki — *„spoiwem narodowej integralności"*. Tę kulturę tworzyła kształtująca się wówczas polska inteligencja. *„Anglicy, Niemcy, Francuzi* — pisze on — *w czasach pierwszej rewolucji przemysłowej kształtowali swą inteligencję jako warstwę fachowców od administracji, specjalistów od handlu i przemysłu. Myśmy tworzyli ów absolutny fenomen — inteligencję jako warstwę ludzi kulturalnych i wykształconych"*. Mniejsza o spór o rodowód tej warstwy: szlachecki czy mieszczański. Ważniejsze jest jej kulturalne, a nie cywilizacyjne nastawienie. To właśnie kultura, powstająca na ziemiach podzielonych między trzech zaborców, a także kształtowana na emigracji, była owym spoiwem, które integrowało i umacniało naszą narodową odrębność, naszą narodową tożsamość. Jest to bezprzeczna zasługa polskiej inteligencji.

Ale trzeba też pamiętać, że inteligencja jako warstwa zawsze pełni rolę służebną w stosunku do klasy panującej. *„Nie ma bowiem klasy* — że jeszcze raz zacytuję Jerzego Chłopeckiego — *która bez swojej inteligencji byłaby zdolna panować ideologicznie, wytworzyć własną kulturę, a nawet wytworzyć świadomość własnego panowania."* Tylko, że sama inteligencja bez owej klasy panującej również nie może istnieć, jako że nigdy nie była i nie jest „motorem napędowym dziejów". Każda klasa dochodząc do władzy stara się albo pozyskać, albo wytworzyć własną inteligencję. Taki proces dokonał się również w Polsce Ludowej. Ale inteligencja ukształtowana w Polsce Ludowej znalazła się w znacznej części w opozycji do swojej panującej klasy, a przynajmniej do jej ideologii. Dlaczego tak się stało?

Przede wszystkim warto się zastanowić nad pojęciem „inteligencja". W 1963 roku w „Przeglądzie Kulturalnym" ukazał się artykuł Józefa Chałasińskiego o znamiennym tytule: *„Czy jest jeszcze inteligencja w Polsce?"*. Artykuł ten został przedrukowany w książce tegoż autora „Kultura i naród", która ukazała się w 1968 roku. Józef Chałasiński pisze tam:

„Uczony spór o to, czy inteligencja rodziła się w Polsce jako pochodna od szlachty, czy jako intelektualna elita mieszczaństwa, będzie mógł już niedługo obchodzić jubileusz swojego dwudziestolecia. Zmiany społeczne nie czekały na wynik tego sporu i sam termin „inteligencja" czyniły coraz bardziej nieokreślonym. (...) Na treść tego pojęcia składało się bowiem nie samo wykonywanie zawodu wymagającego pewnego wykształcenia, lecz także czynne intelektualne zainteresowanie sprawami literatury i w ogóle kultury."

Po blisko 20 latach od postawienia owego pytania przez Józefa Chałasińskiego można odpowiedzieć, że inteligencja w Polsce jeszcze istnieje, ale pojęcie to stało się bardziej nieokreślonym. Mamy przecież inteligencję, inteligencję twórczą, inteligencję techniczną, twórców kultury, środowiska kulturę upowszechniające, pracowników umysłowych, pracowników nauki, nauczycieli. Środowiska te — jeśli przyjąć taką terminologię — są bardziej powiązane wewnętrznie, hermetycznie pozamykane, żyjące swoimi sprawami, mające czasami nikły związek z rzeczywistością, a już zupełnie luźny z klasą panującą. 20 lat temu Józef Chałasiński zauważał, że *„...więź wspólnoty intelektualnej nauczycielstwa czy „Inteligencji twórczej", jak się obecnie nazywa literatów, jest z Polską Akademią Nauk dzisiaj bardziej luźna i mniej bezpośrednia niż ówczesnej inteligencji twórczej z salonem państwa Łuszczewskich"*. A miał na myśli salon Magdaleny z Żółtowskich Łuszczewskiej, której w roku 1854 składano podziękowania *„za pierwszą myśl i starania w wydaniu dzieła „O obrotach ciał niebieskich" nieśmiertelnego rodaka Kopernika"* i kiedy to radca stanu Szyler wyrażając podziękowania użył słów: *„przyjaciele inteligencji polskiej"*.

Wtedy sprawa była prosta, a kogo dziś zaliczamy do inteligencji? Dziś, kiedy — jak powiada J. Chałasiński — *„kultura umysłowa przestała być sferą aktywności elitarnej klasy wyodrębnionej, a staje się demokratyczną kulturą wszystkich, całego narodu"*. Dodajmy do tego szybko zmieniający się poziom wykształcenia. Możemy narzekać na wadliwe programy nauczania, na ciągle reformowaną bez skutku szkołę średnią, na niesprawny system upowszechniania kultury, na błędy popełnione w naukach humanistycznych i społecznych, ale nie możemy zanegować dokonującego się przeobrażenia modelu kultury polskiej, jako kultury demokratycznej w charakterze jej odbioru, jak i tworzenia. Ten proces jeszcze bardziej zaciemnia obraz współczesnej inteligencji.

Inteligencja współczesna musi przede wszystkim zrozumieć problemy klasy rządzącej, czyli klasy robotniczej. Czy nam się to podoba czy nie, ale to właśnie klasa robotnicza ponosi największe ciężary kryzysu i będzie ponosić je w procesie wychodzenia z kryzysu. Czy nam się to podoba czy nie, ale to różne grupy inteligenckie ochoczo „kupiły" program dorównywania Zachodowi w poziomie życia za pożyczone od tegoż Zachodu pieniądze. Dziś z tego powodu rozterki i zwątpienia. Ale z drugiej strony inteligencja — jako odtwórca i propagator różnych idei, które rozmijały się z czynami — przeżywa dziś w sposób silny i dotkliwy również z tego powodu zwątpienia i rozterki. Nie ma i nie może być konfliktu między klasą robotniczą a inteligencją, jeśli takie powstają trzeba spokojnie i cierpliwie dążyć do wyjaśniania wszelkich nieporozumień i niedomówień. Klasa robotnicza nie może bowiem sprawować swej władzy bez inteligencji, a inteligencja nie może istnieć bez tej klasy.

5 Nie ma dziś chyba w Polsce nikogo, kto nie rozumiałby potrzeby wielu różnych reform. Można spierać się o zasięg tych reform i o ich charakter. Ten ostatni zresztą jest oczywisty — mogą to być jedynie reformy w ramach ustroju socjalistycznego, zmierzające do jego doskonalenia, do usuwania wszystkiego, co przeszkadza i może przeszkadzać w budowaniu socjalizmu w Polsce. Jeśli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?

Z dwu powodów. Po pierwsze — dlatego, że niektórym marzy się nie tyle doskonalenie socjalizmu, ile odejście od niego. A po drugie — dlatego, że wielu jest niecierpliwych, którzy chcieliby, aby te reformy już nastąpiły, aby już przyniosły skutki, aby już się wszystko zmieniło na lepsze. A musi to być — niestety — proces. Inaczej być nie może. Musi to być proces, który też nie obejdzie się bez walki, usuwania przeszkód i sprzeczności. Ale do tego jest potrzebna koncentracja sił, a nie ich rozpraszanie. Potrzeba współdziałania, a nie obstrukcji i bojkotu. Nie cień hajduka ma cieniem miotły zamiatać cień karety, ale my wszyscy prawdziwymi miotłami wysprzątać nasz kraj. Do sprzątania jest sporo. Roboty starczy na długie lata i to solidnej. Im więcej będzie nas do sprzątania, tym szybciej zrobimy porządek.

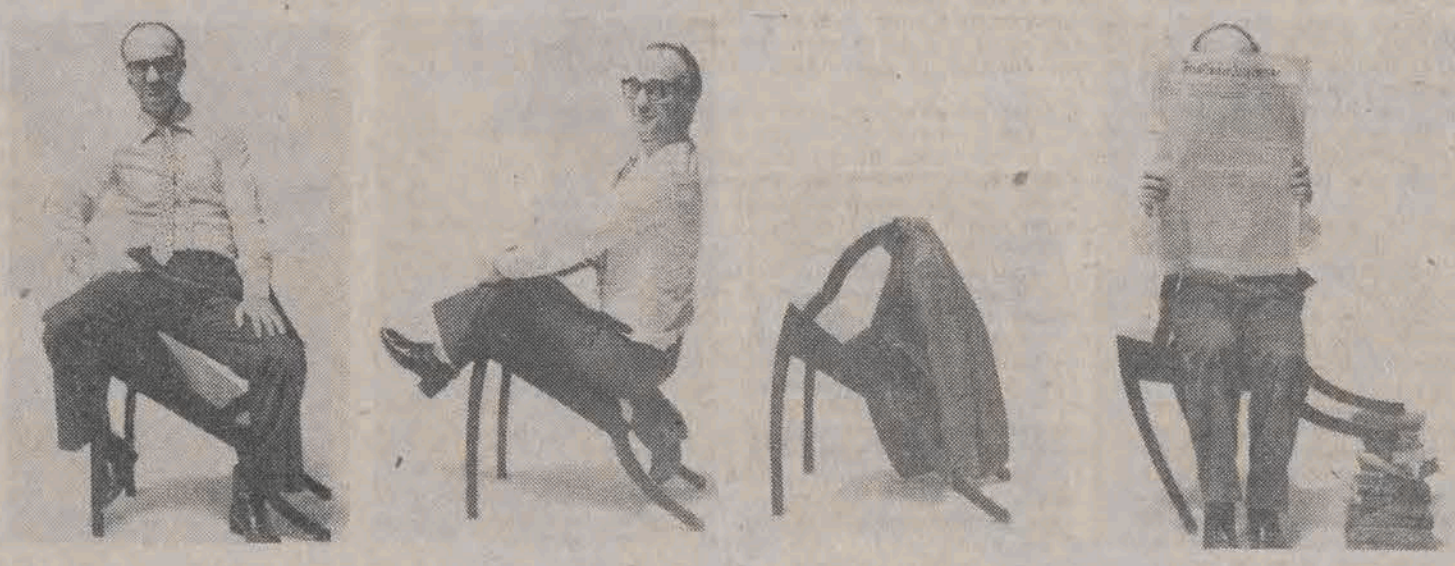

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Państwo i samorząd

Wbrew pozorom a także wbrew rozmaitym opiniom, państwo i samorząd, a więc to co w życiu społecznym przymusowe i to co demokratyczne, nie muszą być sobie przeciwstawiane. Oba te pojęcia oznaczają formy społecznej aktywności oraz określają normy i zasady życia politycznego, które w warunkach państwa socjalistycznego winny mieć charakter komplementarny, wzajemnie uzupełniający się. Wszelkie próby fetyszu, ustawianie tychże pojęć w relacji: państwo albo samorząd lub odwrotnie, będą niczym więcej jak przykładem błędu politycznego pozostającego konsekwencją nieznajomości dialektyki lub ignorowania jej praw.

KLASOWY CHARAKTER

Szczególną formą organizacji społecznej jest państwo. Jest to przymusowa terytorialna i suwerenna organizacja panowania klasowego. Ten ostatni element definicji, czyli klasowy charakter państwa jest szczególnie mocno akcentowany w literaturze marksistowskiej. Natomiast w o wiele mniejszym stopniu jest wybijany wątek państwa jakc instrumentu społecznej integracji. Choć godzi się przypomnieć, iż na tę ogólnospołeczną rolę państwa, zwracał już uwagę F. Engels. W pracy pt. „Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa" pisał, że to właśnie państwo jest tym czynnikiem, dzięki któremu rozbite na klasy, zantagonizowane lub zwaśnione społeczeństwo może egzystować, a nawet się rozwijać. Bez niego klasy i warstwy nawzajem by się zniszczyły w bezpłodnej walce.

Mnogość i rozmaitość interesów klasowo-warstwowych dzieli, a nawet antagonizuje naród, społeczeństwo. Stanowi to zarazem źródło dezintegracji organizacji państwowej. Stąd rolą władzy jest również łagodzenie i skuteczne rozwiązywanie wszystkich konfliktów i sprzeczności występujących na każdym etapie rozwojowym w taki sposób, aby nie stawały się one przyczynkiem do osłabiania państwa w wypełnianiu jego funkcji wewnętrznych oraz zewnętrznych. Społeczeństwo, naród winny w tym względzie być naturalnym sojusznikiem władzy. Jest to podstawowa zasada umowy społecznej, której państwo pozostaje najwyższą formą.

Zdarza się jednak, że sojusz ten zostanie złamany. Zdarza się i tak, że społeczeństwo, a raczej pewna jego część, odstępując od umowy społecznej zwalcza władzę. Może to w skutkach przybrać charakter totalnej, krańcowej negacji władzy, jako takiej. Wówczas to mamy do czynienia z przejawem anarchizmu. Częściej jednak obserwujemy wstrząsy, kiedy dąży się jedynie do negacji konkretnej formy sprawowania władzy.

Pokój społeczny, nie jest żadnemu narodowi, społeczeństwu dany na wieczność. Jednakże od narodu i społeczeństwa, a także od władzy zależy to, czy doskonalenie form i struktur państwowych oraz ustrojowych będzie dokonywało się metodą wstrząsów, rewolucji, anarchii i chaosu, z których to w bólach i dramatach, czasami nawet tragediach zrodzi się „nowe", czy też metodą społecznej ewolucji. Uwarunkowanie to odnieść można przede wszystkim do państwa o wykształconych już i utrwalonych podstawach ustrojowych. W szczególności zaś mam na myśli taki jego typ, gdzie nie mamy do czynienia ze sprzecznościami antagonistycznymi. Takim jest państwo socjalistyczne.

TO CO ŁĄCZY I DZIELI

Integracja państwowa dokonuje się głównie na gruncie wielowątkowych, historycznych przesłanek narodowych, ale i także tradycji społecznych, kulturowych, a nawet politycznych. Pamiętając o tym, twórcy Polski Ludowej kontynuowali szereg instytucji politycznych państwa burżuazyjnego, a nawet Polski szlacheckiej. Jak się wkrótce okazało miało to istotne, pozytywne dla procesów integrujących znaczenie.

Nieco gorzej rozwiązywano w przeszłości problem klasowego charakteru państwa. W początkowym okresie Polski Ludowej, szczególnie zaś w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, fetyszyzując niebezpieczeństwo wynikające z rozwarstwienia klasowego, hołdując doktrynie wzmożonej czujności antagonizowano naród. Łatwo było zostać okrzykniętym wrogiem klasowym, a tym samym i antypaństwowcem. Wypaczenia tamtego okresu nie sprzyjały procesom narodowej integracji. Obiektywnie nie służyły także umacnianiu struktur nowego ustroju. Nadmierna podejrzliwość, nieufność władzy względem społeczeństwa, narodu powodowały, że z jednej strony władza traciła kontakt z narodem, alienowała się, z drugiej zaś — sprowadzała w praktyce hasła ludowładztwa do zasady sprawowania władzy w imieniu ludu. Oznaczało to stałe ograniczanie roli samorządu. Październik 1956 roku, choć w wielu kwestiach przełomowy, niewiele w istocie w tym względzie zmienił.

Przegięciem w drugą stronę było lansowane w ubiegłej dekadzie hasło „jedności ideowo-moralnej narodu". Oznaczało to w praktyce m. in. ignorowanie sprzeczności klasowo-warstwowych, bezskuteczne integrowanie narodu na płaszczyźnie poparcia dla ekipy kierowniczej. Równocześnie pod fasadą demokracji lub pseudodemokracji, skrywano arogancję władzy, jej nieuczciwość, woluntaryzm i odstępstwa od marksistowsko-leninowskich zasad funkcjonowania państwa. Ludowładztwo, którym się wciąż posługiwano w propagandzie, oznaczało to samo, co w okresach poprzednich. Samorząd, zarówno ten produkcyjny, jak i terytorialny był tylko jednym z ornamentów tej fasady.

W momentach trudnych, w sytuacjach konfliktowych władza chętnie brak akceptacji dla niej ze strony narodu tłumaczyła tzw. polskim odruchem „na nie" do wszelkiej władzy, warcholstwem, skłonnością do anarchizmu itp. Przy czym genezy tych wad narodowych doszukiwano się w okresie I Rzeczypospolitej lub w latach zaborów. Miał to więc być jedynie swoisty balast historii. Rzadko w demonstracyjnym braku akceptacji dla władzy upatrywano uświadomienie sobie przez naród jej błędów.

Myślę, że jest to jeden z powodów tego, że ani społeczeństwo polskie, ani jego władza nie potrafiły w przeszłości wyciągnąć konsekwentnie wniosków z doświadczeń. Zawsze była to edukacja połowiczna. Stąd kolejne konkluzje po powtarzających się kryzysach były coraz bardziej smutne, gorzkie. Stąd wreszcie wciąż pokutujące dzisiaj tak mocno w naszym społeczeństwie z jednej strony — negacja władzy, a z drugiej zaś nastroje dekadenckie. Do tego dołączyć trzeba wzmagające się w niektórych kręgach społecznych i środowiskowych, szczególnie wśród młodzieży uczucia nienawiści.

Niezależnie od podziałów zadawnionych, niedawnych i nowych, mając na uwadze fakt, iż istniejące sprzeczności, jakie by one nie były ostre, nie mają w naszym państwie, w socjalistycznym ustroju charakteru antagonistycznego (dla ich rozwiązania nie trzeba zmieniać zasad ustrojowych). Oznacza to, że socjalizm ze swej natury jest reformowalny i dla przeprowadzenia tych reform, dla osiągnięcia postępu nie trzeba kolejnych wstrząsów, zakrętów i zawirowań. Trzeba tylko nadać właściwy sens hasłu: ludowładztwo czyli socjalistyczna demokracja.

UMACNIANIE PAŃSTWA

i jego socjalistycznego charakteru, suwerenności państwowej winno odbywać się z zachowaniem trzech podstawowych warunków.

Warunek pierwszy, to uznanie i przestrzeganie zasady, że podmiotem władzy w państwie socjalistycznym jest klasa robotnicza i warstwy pracujące. Pozostałe klasy występują w sojuszu z klasą panującą. Przy tego rodzaju założeniu władza państwowa spełnia służebną rolę w stosunku do obiektywnych interesów klasy robotniczej. Władza nie może być elitą, lecz awangardą stale i skutecznie kontrolowaną, weryfikowaną i ocenianą przez suwerena, włodarza — klasę robotniczą.

Dla spełnienia tego warunku niezbędnym jest istnienie pewnych gwarancji instytucjonalnych, a także optymalnego poziomu świadomości politycznej narodu (szczególnie klasy robotniczej) oraz tzw. kultura polityczna (społeczeństwa i władzy).

Wydarzenia polskie okresu posierpniowego wykazały, że wszystkiego tego i wszystkim, delikatnie mówiąc, po trosze brakowało. I to zarazem jest nauka pierwsza.

Drugim warunkiem jest stała demokratyzacja systemu politycznego, nadawanie właściwego sensu lodowładztwu zarówno w formach państwowych, jak i społeczno-politycznych. Inaczej mówiąc chodzi o realny udział społeczeństwa, szczególnie zaś klasy robotniczej w zarządzaniu państwem. Stopniowej i systematycznej, ale stałej demokratyzacji muszą ulegać stosunki polityczne, społeczne oraz produkcyjne. Wyrazem dokonujących się zmian w zakresie stosunków politycznych musi być umacnianie roli Sejmu i rad narodowych (samorządu terytorialnego), demokratyzacja zasad wyborczych oraz wypracowanie praktycznych metod rzeczywistej konsultacji społecznej, alternatywnych decyzji władzy.

Spełnieniu drugiego warunku służyć powinna również dbałość o wzrost autetycznej roli organizacji społecznych w systemie politycznym, w tym przede wszystkim silnego, samorządnego i niezależnego ruchu związkowego oraz młodzieżowego. Wiąże się z tym konieczność przywrócenia po decyzjach z 13 grudnia 1981 r. rangi samorządu pracowniczego w zakładach i instytucjach i samorządu chłopskiego na wsi.

Nie będzie też mogło właściwie funkcjonować państwo bez sprawnej, kompetentnej, mądrej, ale i silnej, rzeczywiście akceptowanej i wspieranej przez społeczeństwo władzy.

Trzecim warunkiem umacniania socjalistycznego charakteru państwa i jego suwerenności, jego siły jest stałe umacnianie społecznej własności podstawowych środków produkcji. Wszelkie zamachy na własność państwową, prowadzone w przeszłości pod różnymi hasłami są w istocie działaniami, których celem jest osłabienie socjalistycznego charakteru państwa. Również szkodliwymi są doktryny, które określają państwo socjalistyczne jako swego rodzaju „zbiorowego kapitalistę". Podobnie również i te, które proponują „uspołecznienie" własności przez różne formy jej wyprzedaży, oddawanie własności państwowej załogom, stawiania własności grupowej ponad własność państwową. Ani państwo, czyli aparat władzy, ani załogi nie mogą być podmiotem własności. Tę rolę może pełnić jedynie naród, całe społeczeństwo. Załogi zaś winny być w coraz większym stopniu podmiotem zarządzania, racjonalnego dysponowania na co dzień własnością ogólnonarodową. Bowiem upaństwowienie nie oznacza jeszcze uspołecznienia. W tym przypadku rozszerzanie uspołecznienia może jedynie oznaczać pogłębianie jego treści, a nie negację czy zmianę formy (stosunku i charakteru własności). Tworzenie z robotników akcjonariuszy, jak to postulowali niektórzy zwolennicy doktryny „Rzeczypospolitej Samorządnej", nie oznacza pogłębienia treści samorządności, uspołecznienia, ale grozi w istocie zmianą formy własności.

Nie można było dopuścić do zamiany trójsektorowej formy własności środków produkcji w PRL (z dominującą formą państwową czyli ogólnonarodową) na dwusektorową czyli spółdzielczo-akcyjną i prywatną (drobnokapitalistyczną). I to jest nauka trzecia.

SPÓR O KONCEPCJĘ

Kształt samorządu pracowniczego, który znalazł swoje potwierdzenie w ustawie sejmowej jest wersją bardzo postępową. Niektórzy twierdzą nawet, że radykalną. Ci, którzy sceptycznie patrzą na możliwości urzeczywistnienia w warunkach polskich do końca litery ustawy o samorządzie twierdzą, że samorząd w świecie rozwiniętej gospodarki czyni więcej złego niż dobrego, że stanowi zawsze groźbę anarchizacji gospodarki. Są to zwykle zwolennicy menadżerskiego modelu zarządzania gospodarką.

W sukurs „menedżerom" idą przeciwnicy samorządu, a zarazem zwolennicy techokratyczno-biurokratycznej koncepcji zarządzania sferą gospodarczą. Są wśród nich również zwolennicy doktryny państwa jako „zbiorowego kapitalisty" oraz „państwa totalitarnego". Na szczęście dogmatycy ci są w zdecydowanej mniejszości. Trzeba jednak dodać, że w określonych warunkach niebezpieczeństwo wypaczeń technokratyczno-biurokratycznych w gospodarce może wzrastać. Grupy wyselekcjonowanych doradców robotniczych i im podobne gremia nie zastąpią autentycznego samorządu pracowniczego. Zaś jednoosobowe kierownictwa mogą już wkrótce zaowocować arogancją, dygnitarstwem i samodzierżawiem. W skutkach społecznych okazać się to może hamulcem dla reformy i przełamywania zjawisk kryzysowych.

Jakby na przeciwnym biegunie dla tych propozycji były założenia doktryny „Rzeczypospolitej Samorządnej". Strategia praktycznej realizacji tej koncepcji była dość prosta: adaptacja z teorii syndykalistycznego sposobu zdobywania władzy przez robotników, a więc przejmowania fabryk w ich grupowy zarząd (zasadnicza broń, to różne odmiany strajku) po zastąpienie politycznych struktur państwowych samorządem ogólnospołecznym.

Jej założenie polega na stwierdzeniu, że państwo jest „zbiorowym kapitalistą", wobec tego trzeba z nim walczyć. Nie wierząc w powodzenie walki o interesy robotnicze w ramach partii politycznej, twórcy tej doktryny sięgnęli po metody syndykalizmu, czyli masowy i bardzo aktywny politycznie ruch związkowy z podstawową bronią wyniszczającą państwo („zbiorowego kapitalistę") jaką jest strajk. Zwalczając administrację gospodarczą i polityczną w zakładach (emisariuszy „zbiorowego kapitalisty"), pragnęli oni przejąć własność państwową w grupowe władanie, a administrację zastąpić pełnym samorządem. Jest to teoria tyleż piękna co utopijna i niezbyt odpowiednia do współczesnego rozwoju państwa socjalistycznego.

Mogła się ona okazać jednak w praktyce przyczynkiem nie do pogłębiania treści uspołecznienia, ale preludium do zmiany formy czyli stosunków i charakteru własności. Stać by się to mogło wbrew lub mimo woli tych, którzy udzielili poparcia dla idei „Samorządnej Rzeczypospolitej", ale nie chcieli i nie pragnęli zamiany socjalizmu na cokolwiek, a jedynie urzeczywistnienia jego ideałów i celów. Wielu członkom „Solidarności" mogło wydawać się, że droga, którą im proponowano wiodła prostu ku temu.

Co więc pozostaje na dziś, na jutro? Myślę, że nic innego jak odrzucenie wszystkich skrajności zarówno tych dogmatycznych, technokratyczno-biurokratycznych, jak i utopijno-syndykalistycznych. To po pierwsze. Po drugie — to stworzenie możliwie szybko warunków do „odwieszenia" samorządów, czyli wprowadzenia w życie uchwalonej przez Sejm PRL ustawy o samorządzie pracowniczym. Proponuje ona model, w którym jest możliwe — przy mądrym jego wdrażaniu w praktykę społeczno-produkcyjną — łączenie daleko posuniętej samorządności (a w domyśle także odpowiedzialności załogi za przedsiębiorstwo) z niezbędnymi, ale nie krępującymi elementami menadżerskimi. Tylko taki samorząd będzie z jednej strony skuteczną formą procesu stałego pogłębiania treści uspołecznienia własności, gwarantem tego, że wreszcie polska klasa robotnicza stanie się podmiotem zarządzania w państwie socjalistycznym, z drugiej zaś — będzie skuteczną zaporą dla niebezpieczeństwa działań anarchizujących życie gospodarcze. Jest to więc szansa na model optymalny.

NADZIEJE NA SAMORZĄD

Z dyskusji nad samorządem wypływają różne wnioski. Nadziei towarzyszą również obawy. Jedni obawiają się tego, iż powołane na powrót samorządy, staną się terenem uprawiania przez zawieszone związki nielegalnej działalności. Te obawy są wyrażane również przez część aktywu partyjnego i gospodarczego. Optują oni za jak najpóźniejszym wprowadzeniem w życie ustawy o samorządzie. Wyrazem ścierania się poglądów na problem samorządności pracowniczej wśród członków PZPR może być fakt, że zapis w uchwale ostatniego posiedzenia KC na ten temat był kolejną, czternastą wersją.

Z drugiej strony wśród znacznej części załóg zgłaszane są obawy, że proponowana metoda „odwieszenia" samorządów stać się może przyczynkiem do ich „uśmiercenia". Zgłaszane są wątpliwości co do potrzeby analizy składu osobowego samorządów, desygnowania doń przedstawicieli różnych grup i organizacji zamiast wyborów (chodzi o pierwszą fazę ich działalności jeszcze w okresie stanu wojennego), itp. Istnieją również i takie poglądy, że samorządy będą bojkotowane przez działaczy „Solidarności". Jeśli tak, to oznaczać by to mogło, że uczestniczyliby w nich jedynie przedstawiciele pozostałych związków, partii i organizacji młodzieżowych.

Jedno wydaje się być oczywiste, a mianowicie to, że należy uczynić wszystko, aby samorządy nie stały się terenem rozgrywek politycznych w zakładach pracy. Byłoby to sprzeczne z ideą samorządności i literą ustawy.

Równie oczywistym wydaje się być i to, że bez samorządu pracowniczego reforma udać się nie może. Samorząd stanowi bowiem jeden z jej integralnych elementów. Jest m. in. stymulatorem społecznej, a przede wszystkim zawodowej aktywności.

Trzeba nam, aby wyjść skutecznie z kryzysu, przełamać nie tylko bariery ekonomiczne, surowcowe i energetyczne, ale również uruchomić wielki potencjał tkwiący w załogach fabryk. Ludzie wszak przecież stanowią najważniejszy, decydujący składnik procesu produkcyjnego. Niezbędnym zatem jest rozbudzenie wśród pracowników społecznych motywacji do zwiększonego wysiłku, przełamanie bariery niewiary i niechęci. Tymczasem motywacje ekonomiczne, płacowe są dość poważnie ograniczone. Właściwie przez jakiś czas nie odgrywać będą większego znaczenia. Kiedy bowiem człowiek zarabia jedynie tyle, aby przeżyć, wówczas to zwykle nie pracuje najlepiej. A obiecywać dziś już wiele nie można.

Nie sądzę bynajmniej, że samorząd, a więc tym samym motywacje społeczne są panaceum na wszystkie dolegliwości naszej schorowanej gospodarki. Ale pragnę przypomnieć, że samorząd to przecież nie tylko świadomość i wola wspólnego gospodarowania „na swoim", to także odpowiedzialność za wyniki, efekty współzarządzania. W tym momencie następuje zespolenie motywów społecznych i ekonomicznych. Możliwa jest integracja funkcji kontrolnej z poczuciem świadomej odpowiedzialności za efekty produkcyjne, stosunki społeczne w zakładzie, a także zainteresowanie spełnianiem przez przedsiębiorstwo jego funkcji socjalnych i wychowawczych.

Fabryka, to nie tylko produkcja i związane z nią, szczególnie dziś niełatwe problemy, ale także załoga, ludzie z ich poglądami, postawami i potrzebami. Jednostronność w widzeniu i ocenie zjawisk społecznych jest zawsze przyczyną projekcji rzeczywistości, albo jedynie w jasnych lub w ciemnych barwach. Jest także przesłanką, powodem wielu napięć oraz konfliktów. Tych, jak dotąd, nam nie brakowało. Samorząd nie spowoduje, że pozbędziemy się ich raz na zawsze, a jedynie przyczynić się może do ich skuteczniejszego, spokojniejszego rozładowywania.

RYSZARD BINKOWSKI

Kwadratura jaja

W grudniu ubiegłego roku prezydent Łodzi musiał przydzielać mieszkańcom po kilka jajek, a na targowiskach płacono za sztukę po 25 zł. Teraz mamy czerwiec, w magazynach leży stale 10 mln jaj, których nie ma kto zagospodarować, a świeżych transportów przybywa. Grozi nam wybuch nowej śmierdzącej sprawy, społeczeństwo jest tym mocno poruszone, snuje różne domysły. No bo zimą jajek nie było, potem też miało nie być, głównie z braku pasz, a teraz zaczynają się psuć. Co to jest? Jakiś manewr specjalny czy tylko błąd w obliczeniach? W taki błąd ludziom nie chce się wierzyć.

I słusznie. Sam napisałem niedawno, że jeszcze w tym roku odczujemy niedostatek jaj na rynku. Ale ja nie zamierzam zmieniać zdania. Chodzi tylko o to, żeby wreszcie wyjaśnić w sposób niedwuznaczny, jak doszło do obecnej „klęski" urodzaju. Tak, mamy do czynienia ze swego rodzaju „wysypem", który za kilka miesięcy minie, na czwarty kwartał pozostaną jeszcze gromadzone zapasy, ale w przyszłym roku nie będzie już tej nabiałowej obfitości.

Sprawa zaczyna się od tego, że w kraju istnieje zasadniczy podział w produkcji drobiarskiej. Fermy państwowe zajmują się produkcją brojlerów, natomiast drobiarze prywatni hodują kury — nioski. Kiedy na przełomie roku 81-82 zalecono wstrzymanie wylęgu kurcząt — wskutek braku dewiz na zakup odpowiednich pasz oraz restrykcji gospodarczych, hodowcy nie wycięli od razu w pień swoich kur. I te kury niosły jaja, które zamiast do wylęgarni, trafiały do magazynów. Prawdą jest, że wielu prywatnych hodowców zamknęło fermy, ale najtwardsi zaczęli nawet kupować po wysokich cenach zboże na targu, żeby przetrzymać swoje stada. Pytam, czy im się opłacał taki interes? Otóż tak, ponieważ zimą, gdy mieliśmy olbrzymie trudności z mięsem (skup spadł niemal do zera), państwo chcąc zapewnić społeczeństwu dostateczną ilość białka, ustanowiło wysokie ceny skupu jaj.

I teraz zdarzyła się historia zgoła nieprzewidziana. Otóż rolnicy, którzy dotąd zatrzymywali jajka dla siebie lub sprzedawali je na targu, ruszyli szturmem do punktów skupu. Cena wolnorynkowa obniżyła się do ceny skupu i cen detalicznych w sklepach — po prostu zadziałała reforma. Gospodynie przeto zamiast stać z jajkami na mrozie, zaczęły wybierać wszystko to, co zniosły kury w zagrodzie, i sprzedawać do geesu. A ponieważ cena jajek w sklepie i na targu była wysoka, zaś mięsa na kartki mało, setki tysięcy drobnych działkowiczów, właścicieli domków z ogródkami w miastach, miasteczkach i osiedlach zaczęło wykupować kury od plajtujących drobiarzy, zaprzestając nabywania jaj od chłopów i w sklepach.

I w ten sposób nagromadziło się sporo zapasów, które na dziś wynoszą ponad 200 mln sztuk. Przemysł przetwórczy pracuje całą parą, przerabiając jaja na proszek i masę jajeczną, używa ich do makaronów (których mamy już nadmiar), ale i tak co miesiąc odkłada się kilkadziesiąt milionów sztuk.

Można by rzec, iż od przybytku głowa nie boli, że należy się cieszyć, iż mamy wreszcie czegoś w nadmiarze. Niestety, wielu ludziom głowa pęka z tego powodu. Po pierwsze — chłodnie trzeba opróżnić z mrożonek i jaj, żeby było miejsce na kolejny wysyp — truskawkowy — oraz na zgromadzenie zapasów z „wysypu mięsnego", który właśnie się kończy. (Od połowy czerwca poważnie spadł skup bydła i trzody — przyp. RB). Po drugie — z konieczności część jaj, które są produktem nietrwałym, umieszczono w nieprzystosowanych do tego magazynach. Jak się coś zmarnuje, wkroczy prokurator. Zaczęto więc szukać ratunku w obniżce cen detalicznych. To niewiele pomogło, ponieważ popyt na jaja nie wzrósł. Ale wraz z tym posunięciem poszła znaczna obniżka cen skupu — do 80 złotych za kilo. Kilogram stanowi przeciętnie 15 sztuk, czyli jedno jajko za pięć złotych z groszami. Skup maleje, prywatni hodowcy, w tym gospodynie wiejskie, znowu pojawili się na ulicach, by podciągać swoje ceny do cen detalicznych. Bo w sklepie łódzkim w połowie czerwca duże jajko — 9 zł, średnie — 7,50 zł, a małe — 6 zł. A w kraju różnie — są jajka po pięć złotych, po sześć, i to te największe, a na wsi można kupić nawet za cztery złote. Za-

Skromnie, ale z nadzieją

TERESA JERZYKOWSKA

Targi Poznańskie potwierdziły raz jeszcze trafność starej zasady, że handel i współpraca gospodarcza nie znoszą sztucznych barier. Poprzez stosowanie embarga, sankcji i broni kredytowej nigdy jeszcze nie osiągnięto w polityce zamierzonych celów. Świadczy o tym uczestnictwo w tegorocznych MTP wystawców indywidualnych z krajów, które zastosowały te środki wobec Polski. Ogółem do Poznania przyjechało w tym roku 2.600 wystawców z 26 krajów (w tym około 1000 firm polskich i 600 z państw kapitalistycznych) prezentując swoje towary na 104 tysiącach m kw.

Tegoroczna impreza **była jednak znacznie skromniejsza,** niż przed kilku laty, miała natomiast charakter bardziej roboczy, niż pokazowo-perspektywiczny. Zwłaszcza strona polska prezentowała rzeczywiste możliwości naszego przemysłu, rezygnując z praktykowanego w latach poprzednich pokazywania najnowszych, często nie wdrożonych jeszcze do produkcji, osiągnięć.

Tak więc **ekspozycja polska,** ulokowana na powierzchni 64 tys. m kw., miała przede wszystkim charakter eksportowy. Bogato prezentowała się oferta hutnictwa, przemysłu maszynowego i elektromaszynowego, także przemysłu chemicznego. Dużym zainteresowaniem zwiedzających cieszyły się pawilony central handlujących wyrobami przemysłu lekkiego: **„Textilimpexu"** i **„Skórimpexu",** gdzie pokazano odzież, bieliznę, obuwie i galanterię skórzaną, jakich nie tylko obecnie, ale i w latach prosperity nie było w naszych sklepach.

Obok wyrobów gotowych polska ofertę eksportową stanowiły również **wolne moce produkcyjne** w wielu dziedzinach przemysłu, m. in. w przemyśle elektromaszynowym i chemicznym gdzie tego rodzaju propozycja stanowi pewną nowość. Istnieją one również w przemyśle lekkim, tu jednak sprawa znana jest od dawna. W tej dziedzinie, od wielu lat świadczyliśmy usługi w zakresie tzw. przerobu dla kontrahentów zagranicznych. Poszukiwaliśmy także na targach handlowców bądź przemysłowców którzy skłonni byliby zaangażować swój kapitał w dokończenie kilkunastu wstrzymanych inwestycji o różnym stopniu zaawansowania. W sumie zaproponowaliśmy sporo, zwłaszcza biorąc pod uwagę nasze znacznie okrojone w ostatnim czasie możliwości.

Nie było jednak w polskiej ofercie żadnych szlagierów, towarów, które w niedalekiej przyszłości miałyby szansę stać się naszą specjalnością na rynkach światowych. Wyraża się w tym, nie od dziś zresztą, brak wypracowanego proeksportowego modelu gospodarki. Obecnie trwają prace nad koncepcją takiego modelu, proponuje się w ramach reformy określone rozwiązania prawne i przywileje dla producentów-eksporterów, jednak efekty tych działań nie będą chyba jeszcze widoczne także i na przyszłorocznych targach.

Niektóre z propozycji eksportowych wydają się **kontrowersyjne.** Dotyczy to m. in. towarów pokazywanych przez wspomniane już centrale **„Textilimpex"** i **„Skórimpex".** Zwłaszcza ta ostatnia zaprezentowała się równie dobrze, jak w najlepszych latach: efektowne skóry z lisów, nutrii i norek, futra, a także obuwie, w tym wiele udanych modeli produkcji zakładów **„Otmęt"** i **„Chełmek",** największych dotychczas eksporterów butów. To jednak, co nam wydaje się szczególnie atrakcyjne, niekoniecznie odpowiada najwyższym światowym standardom. Tak też jest i w tym przypadku: **w produkcji obuwia reprezentujemy poziom średni, w futrzarstwie zaledwie w niektórych asortymentach zbliżamy się do czołówki.** Ponadto, w ostatnim okresie coraz ostrzejsza staje się w tej branży konkurencja na rynkach światowych, gdzie trafia dużo wyrobów skórzanych z Hongkongu, Tajwanu i Korei Południowej, oferowanych po bardzo niskich cenach. Stawia to pod znakiem zapytania opłacalność naszego eksportu na niektóre rynki.

Podobnie pewien niepokój budzić może odzież i bielizna, zaprezentowana przez **„Textilimpex"** — ich produkcja uzależniona jest w poważnym stopniu od dostaw surowców z importu, a ponadto, aby **sprzedając wyjść na swoje, musielibyśmy uzyskać ceny znacznie wyższe** od tych, jakie oferują inni światowi producenci podobnych wyrobów.

Sporą pozycję w polskiej ofercie eksportowej stanowiły **wyroby rzemieślnicze.** Prezentowała je centrala handlowa **„Remex",** spółdzielnie rzemieślnicze i indywidualni producenci. Po raz pierwszy, w ramach MTP odbywały się także, jako integralna część imprezy, **targi rzemiosła artystycznego.** 170 rzemieślników pokazało wyroby wszystkich niemal branż — od srebrnej biżuterii, poprzez tkaniny, ceramikę i szkło, aż po wyroby z metalu Ciekawostką jest fakt, że były to przedmioty przeznaczone do natychmiastowej sprzedaży, a ich nabywcy zwolnieni zostali od cła wywozowego. Obok wyrobów zaliczanych do grupy rzemiosł artystycznych, prywatni wytwórcy oferowali **bogaty wybór zabawek, artykułów sportowo-rekreacyjnych i gospodarstwa domowego, galanteryjnych drobiazgów i kosmetyków.** Wystąpili również z propozycjami eksportu usług, zwłaszcza w branży budowlanej. Ogółem wartość oferty polskiego rzemiosła przekracza 1 miliard złotych.

Kolejną ekspozycją tłumnie odwiedzaną przez zwiedzających był pawilon, w którym prezentowały się **firmy polonijne.** Wśród nich jedno z najmłodszych przedsiębiorstw tego rodzaju, polsko-duńsko-szwedzka spółka **„Poltrade",** istniejąca zaledwie od dwóch miesięcy. Mimo tak krótkiego czasu firma już obecnie może pochwalić się sporymi osiągnięciami i zapowiada się na jedno z największych przedsiębiorstw polonijnych. Na targach pokazała m. in. palety, kontenery i obejmy typu „Euro", przeznaczone na rynek zachodni (wartość zamówień przekroczyła już 1 milion dolarów), a także towary poszukiwane na naszym rynku: proszki do prania, środki dezynfekcyjne i ochrony roślin, galanterię i odzież skórzaną, i skóropodobną, rewelacyjny środek do regeneracji akumulatorów samochodowych domowym sposobem. Jeszcze w tym roku firma da na rynek krajowy 12 milionów par rajstop, wyprodukowanych z dostarczonego przez siebie surowca w jednym z większych krajowych zakładów tej branży, ZPDz. **„Opolanka".** Asortyment zostanie także poszerzony o koncentraty soków owocowych. Wyroby będą sprzedawane za pośrednictwem sieci salonów **„Mody Polskiej",** z którą podpisano już kontrakty, a także w sklepach ajencyjnych. Jednym ze sposobów uzyskania trwałego miejsca na rynku będzie — jak informuje przedstawiciel firmy — szybka reakcja na zmieniające się zapotrzebowanie odbiorców, a także konkurencyjne w porównaniu z innymi producentami ceny.

Ekspozycję firm polonijnych z dużym zainteresowaniem obejrzeli uczestnicy **polonijnego forum gospodarczego,** organizowanego już po raz ósmy. Najważniejszym elementem tegorocznego forum było zapoznanie przedsiębiorców i handlowców polskiego pochodzenia oraz przedstawicieli zainteresowanych tą formą współpracy z naszym krajem instytucji i organizacji gospodarczych projektem ustawy określającej zasady prowadzenia działalności na terenie PRL, a także przedstawienie kompleksowej oferty współpracy i kooperacji.

W sytuacji, w jakiej obecnie znajduje się polska gospodarka, rozwój firm polonijnych stanowi jedną z ważnych możliwości poprawy zaopatrzenia rynku wewnętrznego i wzrostu produkcji eksportowej. Jest to także droga do zwiększenia udziału Polonii w międzynarodowej wymianie handlowej z Polską, a także rozszerzenia współpracy gospodarczej na inne dziedziny życia, jak kultura, turystyka, itp. W forum uczestniczyło około 200 osób z 16 krajów, co świadczy, że sprawami tymi zainteresowana jest nie tylko strona polska, lecz także i zagraniczni przedstawiciele Polonii.

O zainteresowaniu sprawami gospodarki polskiej świadczył także liczny udział przedstawicieli koncernów i przedsiębiorstw, instytucji naukowych i dziennikarzy zagranicznych w sympozjum na temat wdrażania reformy gospodarczej, zorganizowanym przez Polską Izbę Handlu Zagranicznego i prowadzonym przez prof. Zdzisława Sadowskiego. Szczególne zainteresowanie budzi problem, w jaki sposób reforma gospodarcza wpłynie na wywiązanie się Polski z zawartych wcześniej i podpisanych w ostatnim okresie umów handlowych.

Widomym efektem działania reformy gospodarczej było stoisko targowego debiutanta, przedsiębiorstwa **„Interpegro",** które na samodzielnej ekspozycji w Naramowicach zaprezentowało kwiaty oraz warzywa, owoce i ich przetwory, pochodzące z 39 państwowych gospodarstw rolnych, kombinatów ogrodniczych i sadowniczych oraz przedsiębiorstw przetwórstwa warzywno-owocowego. Utworzyły one niedawno dobrowolne zrzeszenie, powołując jednocześnie **„Interpegro",** jako przedsiębiorstwo handlu zagranicznego, reprezentujące interesy członków zrzeszenia w eksporcie i imporcie. Towarzystwo rozpoczęło działalność z początkiem maja i w krótkim czasie zdołało wyeksportować do drugiego obszaru płatniczego pomidory, szparagi, truskawki i kwiaty za sumę pół miliona dolarów. Początek jest więc obiecujący, efektownie prezentowała się również targowa ekspozycja. Czy przedsiębiorstwo stanowi dużą konkurencję dla tak znanych firm, jak **„Agros"** czy **„Hortex-Polcoop",** które również interesująco przedstawiły się w Poznaniu, zobaczymy na przyszłorocznych targach.

O tym, że przemysł nasz potrafi produkować dobre wyroby, mogące stać się poszukiwanym towarem eksportowym, świadczą wyniki **konkursu o złoty medal 54 MTP.** Konkurs odbywał się już po raz czwarty. Zgłoszono do niego 192 produkty odznaczające się szczególnymi walorami konstrukcyjnymi, technologicznymi lub użytkowymi. Rozstrzygano go w dwóch grupach: wyrobów inwestycyjnych i konsumpcyjnych, przy czym w obu Polska może pochwalić się największymi sukcesami. **Z 23 przyznanych medali zdobyła 14, w tym 6 za towary konsumpcyjne.**

Mimo skromniejszej niż zazwyczaj oprawy, mniej pokazowego, a bardziej roboczego charakteru imprezy, tegoroczne Międzynarodowe Targi Poznańskie należy **uznać za udane,** tym bardziej, że stanowiły one pierwszą, tak poważną prezentację naszych możliwości w warunkach przechodzenia na nowy model funkcjonowania gospodarki. Targi udowodniły naszym partnerom z RWPG, jak i pozostałym uczestnikom, że **Polska jest w stanie odzyskać handlową wiarygodność i na powrót stać się znaczącym partnerem gospodarczym dla krajów Europy i świata.** Opinię taką, wyrażaną przez krajowych i zagranicznych gości, potwierdzają zawarte kontrakty, których łączna wartość przekroczyła 60 miliardów złotych. Przy tym, co szczególnie cenne dla naszej gospodarki, blisko 50 miliardów złotych stanowią umowy o charakterze eksportowym. Spośród polskich central handlu zagranicznego największe obroty zanotowały **„Metalexport"** — 10,7 miliarda złotych, **„Metronex"** — 9,5 mld zł oraz **„Electrim"** — 9 mld zł. Spośród krajów zachodnich największe obroty zanotowano z firmami z RFN — 1,4 mld zł, następnie Wielkiej Brytanii, Szwecji i Szwajcarii. Ogółem wartość umów zawartych z tymi krajami wyniosła 3,6 mld zł. Największy targowy kontrakt zawarty został z ZSRR. Jego wartość wynosi 40,5 mld zł. Liczne i wartościowe umowy podpisaliśmy także z pozostałymi krajami RWPG.

Nie wszystkie handlowe rozmowy, prowadzone w czasie targów w Poznaniu, zakończyły się podpisaniem kontraktów. Niektóre z nich, zapoczątkowane w czasie trwania imprezy, kontynuowane będą po jej zakończeniu w przedsiębiorstwach i centralach handlu zagranicznego. Tak więc można się spodziewać, iż ogólny bilans targów, wyrażony kwotą obrotów, jeszcze wzrośnie, przyczyniając się do wyjścia z impasu w handlu zagranicznym, którego wyniki, zwłaszcza w dziedzinie eksportu, są w pierwszych miesiącach br. dalekie od zadowalających.

na twardo

dnemu producentowi nie opłaca się taki handel, ale sprzedawać musi, bo straci jeszcze więcej. Zgrzyta zębami, gdy pasza droga, ale swoje robi. I dlatego są jaja w nadmiarze. To znaczy są i ich nie ma... Zgadza się, zwariować można, lecz tego faktu nie da się ukryć. W jednym sklepie leżą jaja, a naprzeciwko całkiem pusto. Dlatego, że do łódzkich sklepów dostarcza się towar tylko raz w tygodniu. Decyduje koszt transportu, cena paliw. Nie opłaca się wozić kilka razy po dwie skrzynki jaj do jednego sklepu. Nic dziwnego, że w dobie reformy PTHW broni się przed taką imprezą.

A handel też chce zarobić. Handel już trzykrotnie tracił na przecenie jaj, musi trzymać się marży — złotówka na sztuce. Tymczasem w jednym sklepie jajka są rano, w drugim po południu, a w trzecim nie ma wcale przez okrągły tydzień. A jak są, to częściowo obślimaczałe, robaczywe, personel musi to myć, żeby sprzedać. W jednym tylko sklepie na 10 skrzynek było 100 jaj zepsutych.

Cena detaliczna wydaje się wciąż wysoka, ale mimo to Zakłady Drobiarskie sprzedają jaja poniżej kosztów produkcji. Wprawdzie obiecuje się im rekompensatę, ale wszelkie takie zapewnienia budzą wątpliwości, gdyż w ramach samofinansowania, trzeba wyjść na swoje, to jest cel nadrzędny.

I dlatego cena w sklepach nie spada. Ale przecież oprócz samofinansowania istnieją też cele społeczne. Pomyślano i o tym. Zrzeszenie Przedsiębiorstw Przemysłu Drobiarskiego podjęło decyzję o sprzedaży 100 mln jaj po średniej cenie 4 zł za sztukę. Zakłady Drobiarskie zostały zobowiązane do wożenia tych tanich jajek do fabryk, do stołówek pracowniczych, bufetów, ośrodków kolonijnych, żłobków, przedszkoli, itp.

Z jednej strony jest to decyzja bardzo słuszna, z drugiej jednak budzi wątpliwości. No bo Zakłady Drobiarskie powinny się pozbyć szybko zapasów, ale jakim kosztem? Jeżeli tracą już na cenie, to nie chcą tracić na transporcie. Jeżeli bowiem wymienione wyżej placówki chcą tanich jajek, to niech odbierają je własnym transportem.

A poza tym w tym właśnie miejscu zaczyna się ostro rysować kwadratura jaj na twardo, albo raczej tzw. zbuka grożącego eksplozją fetoru, na co tylko czeka prokurator. Chodzi o to, że większa podaż mięsa (np. bezkartkowa wołowina z kością oraz drób wymieniony za granicą za jaja) sprawia, że maleje popyt na drogie jaja w sklepach. Jeżeli w fabrykach sprzedaje się jajka po 4 zł prosto z samochodu, to ludzie nie kupią już drogich jajek w sklepie. W sklepach nie sprzedaje się tanich, jaj wcale, toteż drogie leżą i grożą zepsuciem.

— No cóż, jeszcze się taki nie urodził, co by wszystkim dogodził. A tymczasem w łódzkich magazynach i chłodniach wciąż straszy zapas 10 mln jaj. Wydaje się, że to mało, 10 jajek na obywatela aglomeracji łódzkiej. Rzecz jednak w tym, że wciąż jeszcze spływają jaja ze skupu. Stare trzeba koniecznie usunąć, by zrobić zapasy ze świeżych jaj na czarną godzinę. Rodzi się dylemat, który nie powinien być dylematem. Bo kiedy powstaną większe straty? Kiedy te jaja się zepsują, czy gdy obniży się ich cenę?

Logika i rachunek ekonomiczny nakazują znacznie obniżyć ceny. I pchnąć te tanie jaja do gastronomii, a ta niech obniży ceny swojej jajecznicy i innych potraw. Wiadomo też, że państwowe piekarnie prawie wcale nie zajmują się galanterią piekarniczą. A gdyby tak dać tanie jaja prywatnym cukiernikom? Oni odbiorą je własnym transportem, przez jakiś czas moglibyśmy kupować taniej wyroby cukiernicze. Podobno jaja potrzebne są również do produkcji lodów. W przedsiębiorstwach państwowych nawaliły sprężarki, ale prywatni cukiernicy mogą przecież robić tańsze lody.

Jedno jest pewne: najpóźniej do połowy lipca należy upłynnić zapasy jaj. Trzeba je sprzedać po symbolicznej cenie, żeby się nie zmarnowały. To nakaz chwili, bo ów jajeczny róg obfitości także jest chwilowy.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

W rocznicę Wersalu

W sobotę 28 czerwca 1919 roku podpisano w Wersalu traktat pokojowy, stanowiący po Kongresie Wiedeńskim z 1815 roku drugi najdonioślejszy dokument w dotychczasowej pisanej historii ludzkości. Dokument ten zmieniał gruntownie mapę całego świata, wytyczał nowe granice państw, przywracał lub nadawał byt państwowy narodom, które były go pozbawione nieraz od wielu stuleci.

Traktat wersalski obejmował 400 artykułów i dotyczył spraw nawet bardzo szczegółowych, z których część wydaje nam się dzisiaj wręcz egzotyczna. Dla Polski miał on oczywiście znaczenie szczególnie doniosłe — przesądzał przecież nasz niepodległy byt po z górą stuletniej niewoli, scalał w jeden organizm państwowy trzy części, wtopione dotychczas w trzy różne organizmy, w dodatku wojujące ze sobą; w oczach sprzymierzonych Polacy zasilali więc w czasie wojny zarówno obóz ich własny (Rosję), jak i obóz przeciwny (Austrię, Niemcy).

1.

„Przeszłości nie zapomniano i jeszcze nieraz spotkać się można z pewnym niedowierzaniem w stosunku do Polaków — ze względu na bliższe stosunki drobnej garstki z Niemcami jak i na orientację austriacką części polskiego społeczeństwa" — pisał Stanisław Kutrzeba, jeden z członków polskiej Komisji — jakbyśmy dziś powiedzieli — rzeczoznawców w Wersalu. Już we wrześniu 1919 roku wydał on u Gebethnera i Wolffa w Warszawie książeczkę pt. „Kongres, traktat i Polska", w której dzieli się swoimi uwagami co do udziału Polaków w rokowaniach. Cóż za godne zazdrości tempo! Traktat podpisano w końcu czerwca, w miesiąc później (Ustawą z 31 lipca 1919) ratyfikowała go Polska, a zanim został ogłoszony w Dzienniku Ustaw (nr 35 z 26 kwietnia 1920 r.) — już znalazł się na rynku publicystyczny komentarz pióra jednego z uczestników wydarzeń.

Stosunki części Polaków z Niemcami i Austriakami, które Kutrzeba podaje jako powód rezerwy sprzymierzonych wobec sprawy polskiej, to także legiony Piłsudskiego. *„Dowodem* — pisze Kutrzeba — *choćby rozprawy w Izbie Poselskiej* (francuskiej — przyp. mój) *w grudniu 1918 r., w których przypominano w przykry sposób, iż obecny Naczelnik Państwa* (Piłsudski — przyp. mój) *stał po stronie państw centralnych w początkach wojny. Przecież nawet tytuł profesora warszawskiego niezbyt dobrą jest w Paryżu rekomendacją, boć ten uniwersytet powstał za zgodą Niemców..."*

Trudna była pozycja delegatów polskich w Paryżu. Z tej trudnej, politycznie bardzo niepewnej pozycji musieli walczyć o granice przyszłego państwa polskiego. Dla Francji bardzo ważnym było posiadanie na wschód od Niemiec silnego sprzymierzeńca, którym zawsze była Rosja. Polska — zupełna niewiadoma — nie zapewniała dostatecznej pomocy w razie przyszłego konfliktu z Niemcami, liczono wciąż jeszcze na upadek rewolucji i na powrót do dawnego układu sił w Europie. Według koncepcji francuskiej, powstanie niepodległej Polski jako jeden z celów prowadzonej wojny miało osłabić Niemcy, nie osłabiając jednak Rosji.

Anglia z kolei trzymała się wiernie swej wypracowanej od wieków tradycji politycznej: natychmiast po zakończeniu wojny przystąpić do pomagania zwyciężonemu, aby zwycięzca (w tym wypadku: Francja) nie wzrósł zanadto w potęgę.

„Lloyd George (przedstawiciel Anglii w Wersalu — przyp. mój) *argumentował wobec p. Paderewskiego* — pisze Stanisław Kutrzeba — *na głośnym w naszej prasie posiedzeniu rady czterech, iż trzeba zrobić koncesje* (graniczne — przyp. mój) *na niekorzyść Polski, bo inaczej Niemcy nie dadzą swej sygnatury na traktacie, a o Polskę koalicja nowej wojny prowadzić nie będzie. Trzy wielkie, potężne syndykaty* (tj. związki zawodowe — przyp. mój) *angielskie: górników, kolejarzy i robotników portowych — szły w tym kierunku, by do wznowienia wojny nie dopuścić i żądały ustępstw dla Niemiec."*

Podczas dyskusji na temat „korytarza", Gdańska i dostępu Polski do morza, Lloyd George mówił dosłownie [1]):

„Projekt podporządkowania dwóch milionów i stu tysięcy Niemców władzy narodu, wyznającego inną religię, narodu który w ciągu całej swej historii ani razu nie dowiódł, że potrafi sam się rządzić — taki projekt doprowadziłby nas wcześniej czy później do nowej wojny na wschodzie Europy".

Angielskiemu ministrowi sekundował dzielnie premier Południowej Afryki, będącej wówczas kolonią angielską, generał J. Smuts, szara eminencja wersalskich kuluarów i jeden z członków delegacji brytyjskiej. Pisał on w liście do Lloyd George'a w sprawie polskiej:

„Myślę, że zabawiamy się budowaniem domu na piasku. W wyniku wielu rozważań byłbym za tym żeby poddać rewizji granice Polski, które ustalono prowizorycznie w projekcie traktatu: pozostawić Niemcom Górny Śląsk i wszystkie tereny faktycznie niemieckie, zacieśnić granice wokół wolnego miasta Gdańska i zamiast oddawać to miasto pod nadzór Polaków, jak to zaproponowano, podporządkować je władzom niemieckim z jednoczesnym poddaniem administracji pod kontrolę Ligi Narodów. Uważam długą okupację Nadrenii i tak duże powiększenie Polski, o jakim nigdy w czasie wojny nie było mowy, za dwa kardynalne błędy traktatu. Te dwa błędy stanowią silne zagrożenie przyszłego pokoju Europy i podkreślam konieczność użycia wszelkich środków w celu ich uniknięcia, zanim nie będzie za późno. W tej chwili jeszcze nie jest za późno" [2]).

Przytoczone tu głosy polityków brytyjskich dostatecznie ilustrują trudności, jakie mieli do zwalczenia delegaci polscy. Ostateczne brzmienie traktatu wersalskiego ustalono w pierwszych dniach maja i w dniu 7 maja 1919 r. wręczono projekt do przestudiowania Niemcom. Na dzień wcześniej, w dniu 6 maja otrzymali go Polacy. Oczywiście — nie mogło być mowy o dokładnym zapoznaniu się ze wszystkimi artykułami. *„Nikt nie zdołał odczytać* — pisze St. Kutrzeba — *tego co podpisuje. Na przykład delegacja polska wcale nie wiedziała o istnieniu art. 93..."*

Podany przykład rzeczywiście daje wyobrażenie o tym jak traktowano polskiego partnera. Artykuł 93 traktatu brzmi bowiem tak:

„Polska przyjmuje postanowienia, które Główne Mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone uznają za konieczne dla ochrony w Polsce interesów mieszkańców, różniących się od większości rasą, językiem lub religią i godzi się na zamieszczenie tych postanowień w Traktacie z tymi Mocarstwami".

Polska, podpisując Traktat, a więc także jego art. 93, godziła się tym samym z góry na wszelkie przyszłe układy co do mniejszości narodowych, a trzeba powiedzieć, że zawarte później układy te ingerowały głęboko w sprawy wewnętrzne naszego państwa. Takich zobowiązań „w ciemno" było więcej, jak na przykład w sprawie wolności tranzytu przez ziemie polskie, w bardzo ważnej sprawie obywatelstwa polskiego, umiędzynarodowienia Niemna i Wisły, i innych.

Mimo wszystko należy jednak stwierdzić, że wielkie paryskie przetargi skończyły się wynikiem dla Polski korzystnym, a przynajmniej korzystniejszym, niż można się było w tamtej sytuacji spodziewać. Wiele w tym zasługi polityków polskich, którzy bronili spraw polskich w Paryżu. Kto wie, czy — aby oddać sprawiedliwość historii — nie powinniśmy uznać, że na fakt powstania niepodległej Polski w granicach, jakie przetrwały do września roku 1939, złożyły się trzy równorzędne, wzajemnie się uzupełniające i wspierające czynniki:

— wyjątkowa sytuacja międzynarodowa w chwili zakończenia wielkiej wojny, w roku 1918 (klęska Niemiec i Austrii, rewolucja w Rosji, groźba rewolucji w Niemczech).

— wielki wysiłek zbrojny i organizacyjny samych Polaków (legiony Piłsudskiego, Polska Organizacja Wojskowa, Armia Hallera, powstania Śląskie, powstania Wielkopolskie),

— dyplomatyczne zabiegi Polaków podczas rokowań wersalskich (Paderewski, Dmowski, Grabski).

2.

Myślę, że tak istotny dla naszych dziejów dokument, jak Traktat Wersalski, wart był przypomnienia w 63 rocznicę jego podpisania. A jeśli już jesteśmy przy Wersalu, to może gwoli anegdotycznego wzbogacenia tematu nie od rzeczy będzie przypomnieć parę drobiazgów, które — jak wspomniałem na początku artykułu — wydają nam się dziś prawie egzotyczne, a wtedy uznane zostały za wymagające najwyższych decyzji układających się stron.

Oto artykuł 131 Traktatu: Niemcy mają zwrócić Chinom przyrządy astronomiczne, zabrane z Pekinu w roku 1901 przez wojska ekspedycyjne kajzera, w czasie powstania bokserów. *„Niemcy zobowiązują się również do zapłacenia wszelkich kosztów, które wyniknąć mogą przy dokonaniu tego zwrotu, włącznie z kosztami rozebrania, zapakowania, przewozu i ustawienia na nowo w Pekinie".*

Artykuł 246: *Niemcy będą zobowiązane zwrócić Jego Królewskiej Mości Królowi Hedżasu oryginał Koranu, który należał do Kalifa Osmanu i został wywieziony z Medyny przez władze tureckie dla ofiarowania byłemu cesarzowi Wilhelmowi II. Czaszkę Sułtana Makaona, wywiezioną za czasów protektoratu niemieckiego z Afryki Wschodniej i przewiezioną do Niemiec, Niemcy wydadzą Rządowi Jego Cesarskiej Mości Monarchy Brytanii..."*

Artykuł 247 dotyczy biblioteki uniwersytetu w Louvain, spalonej przez Niemców podczas inwazji na Belgię w 1914 roku. Jako rekompensatę Niemcy mają z mocy Traktatu Wersalskiego dostarczyć Belgom równe co do wartości *„manuskrypta, inkunabuły, księgi drukowane, mapy i przedmioty kolekcji"*, a także zrekonstruować tryptyk Baranek Boży i tryptyk Ostatnia Wieczerza — dwa arcydzieła sztuki, wywiezione podczas wojny do muzeów niemieckich.

Artykuł 263: W chwili wybuchu wojny, w składach konsygnacyjnych Hamburga, Bremy, Antwerpii i Triestu znajdowały się duże zapasy kawy, będące własnością firm brazylijskich. Na mocy Traktaktu Wersalskiego Niemcy mają zapłacić Brazylii pełną wartość tej kawy wraz z procentami, według cen i według kursów dewizowych sprzed 1914 roku...

Gdzież tu szukać analogii pomiędzy pierwszą, a drugą wojną światową! Ta druga nie została zakończona traktatem pokojowym. Gdyby taki traktat został sporządzony, to ile musiałby liczyć artykułów, żeby znalazły się w nim wszystkie dzieła sztuki, biblioteki, ołtarze, relikwie, zapasy ze wszystkich magazynów i w ogóle wszelkie dobra materialne i moralne, zniszczone i zrabowane przez najeźdźcę! Jakim niebotycznym zmianom uległy proporcje wartości: przecież teraz żongluje się tylko milionami ludzi, tysiącami kilometrów terenu, całymi zagłębiami przemysłowymi i całymi miastami. Czy to koła historii stały się tak olbrzymie, czy człowiek tak mały?

1) Wilhelm Ziegler — „Wie kam es zum Kriege 1939" wyd. w grudniu 1939 r.

2) Podaje za w/w książką Zieglera z tym zastrzeżeniem że jest to rzecz napisana na użytek propagandy III Rzeszy i cytowany w niej list J. Smutsa może po prostu nie być prawdziwy.

As polskiego lotnictwa

HENRYK SZUBERT

Poczesne miejsce w historii polskiego lotnictwa zajmuje podpułkownik Stanisław Jakub Skarżyński — wytrawny pilot, zdobywca podniebnych przestrzeni, pochodzący z terenu obecnego województwa sieradzkiego. Ten as lotnictwa sportowego i uczestnik walk z Niemcami hitlerowskimi w drugiej wojnie światowej rozsławił polskie skrzydła na całym świecie. Dlatego też w związku z przypadającą w br. 40 rocznicę bohaterskiej śmierci Skarżyńskiego warto choć pokrótce przypomnieć postać tego lotnika i jego odważne czyny w dziedzinie lotnictwa sportowego i bojowego.

Urodził się w dniu 1 maja 1899 roku w Warcie, jako syn Władysława i Wacławy z Kozłowskich. Szkołę średnią kończy we Włocławku. W latach pierwszej wojny światowej bierze udział w ruchu niepodległościowym, głównie na terenie Kalisza. Już w listopadzie 1918 roku wstępuje Skarżyński do Wojska Polskiego. Początkowo służy w piechocie, a następnie zostaje przeniesiony do lotnictwa. Uczy się i działa w społecznych organizacjach lotniczych i obronnych. W roku 1925 kończy szkołę pilotów w Bydgoszczy, studiuje także na Politechnice Warszawskiej. Uczestniczy aktywnie w działalności Aeroklubu RP, Polskiej Komisji Szybowcowej, Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej oraz innych organizacjach społecznych.

W roku 1931 Stanisław Skarżyński, wówczas porucznik lotnictwa, wspólnie z por. inż. Andrzejem Markiewiczem odbył wielki rajd ponad Europą i prawie całą Afryką na małym, jednosilnikowym górnopłacie Ł-2, skonstruowanym i budowanym seryjnie w Państwowych Zakładach Lotniczych, wyposażonym w silnik Wright-Skoda, też wyprodukowany w Polsce. A więc lotnicy posiadali samolot całkowicie krajowej konstrukcji. Trasa wspaniałego lotu rozpoczynała się i kończyła w Warszawie.

1 lutego Skarżyński i Markiewicz opuścili stolicę. Potem kolejno lądowali w Krakowie, Gyon (Węgry) i w Atenach. Z Aten dotarli do Afryki. Afrykańska trasa wiodła przez Kair, Chartum, Elisabethville, Luebo, Leopoldville, Lagos, Port Etienne i Casablankę. Trudny i niebezpieczny rajd nad Afryką trwał długo i dopiero 12 kwietnia Skarżyński i Markiewicz pożegnali ten ląd udając się do miejscowości Alicante w Hiszpanii. Stąd przez Perpignan, Bordeaux, Paryż, Berlin i Poznań dotarli do Warszawy. Ogółem nasi lotnicy przebyli trasę wynoszącą 25 770 kilometrów, co stanowiło wyczyn na skalę światową. Po powrocie z tego gigantycznego w owych czasach rajdu Stanisława Skarżyńskiego przezwano „Wielkim Afrykańczykiem".

Afrykańska wyprawa stała się dla Skarżyńskiego bodźcem do następnego, jeszcze trudniejszego, sportowego wyczynu lotniczego. Rozpoczyna przygotowania do przelotu nad południowym Atlantykiem. Skryty lotnik przez dłuższy czas nie ujawniał swego zamierzenia. Nawet gdy udawał się ponownie do Afryki na małym samolocie sportowym polskiej konstrukcji RWD-5 bis (RWD — pierwsze litery nazwisk konstruktorów — Rogalski, Wigura, Drzewiecki), oficjalny komunikat podał, że nasz lotnik pragnie „zaatakować międzynarodowy rekord długości lotu dla tej kategorii samolotów".

Samolot Skarżyńskiego został odpowiednio przystosowany do rekordowego lotu. Do maszyny RWD-5 wbudowano zamiast drugiego miejsca dodatkowy zbiornik na paliwo. W ten sposób przekształcony samolot otrzymał wspomnianą już nazwę RWD-5 bis oraz znaki rejestracyjne SP-AJU. Niewielki pojazd powietrzny, zaopatrzony w 120-konny silnik mógł zabrać przy całkowitym napełnieniu zbiorników 750 litrów benzyny.

Nocą 7 maja 1933 roku, o godzinie 23 wyruszył Skarżyński do lotu przez południowy Atlantyk z nadbrzeżnej miejscowości Saint Louis w Senegalu w kierunku brazylijskich brzegów. Tuż przed świtem samolot dostał się w strefę deszczów. Również i na dalszym odcinku trasy maszyna musiała toczyć walkę z burzami, z trudem przedzierając się przez potężne ołowiane chmury i deszczowe kurtyny. Odległość między Saint Louis, a przylądkiem Sao Rooue, wynoszącą 3160 km, polski lotnik przebył w czasie 17 godzin i 15 minut, a swój transatlantycki przelot zakończył na lotnisku w Maceio.

W Brazylii witano Skarżyńskiego niezwykle gorąco i serdecznie. Ponieważ był on człowiekiem skrytym, małomównym i skromnym, ale jednocześnie odważnym, nadano mu wówczas przydomek „Milczący Kondor".

Udany przelot nad południowym Atlantykiem — rezultat wielu dokładnych przygotowań i przemyśleń Skarżyńskiego — stanowił rekord światowy, za który Międzynarodowa Federacja Lotnicza nagrodziła naszego pilota Medalem Bleriota — jednym z najważniejszych odznaczeń lotniczych. Skarżyński otrzymał też wiele innych odznaczeń zagranicznych i krajowych. Do nich doszły w czasie drugiej wojny światowej jeszcze cenniejsze odznaczenia bojowe.

Swój wspaniały lot opisał Skarżyński w książce pt. „Na RWD-5 przez Atlantyk". Była to jego druga — po pracy pt. „25 770 km ponad Afryką", napisanej w roku 1931 — interesująca pozycja książkowa wydana przez Aeroklub RP.

Po zdobyciu południowego Atlantyku nasz lotnik wykonał jeszcze rajd nad lądem południowo-amerykańskim, odwiedzając ośrodki polonijne, gdzie wyczyn Skarżyńskiego wzmógł dumę narodową rodaków i przybliżył im Polskę. Pierwszym lotniskiem w kraju, na którym wylądował wracając z zagranicy, była nie Warszawa, a Łódź. Uczynił to dla uniknięcia niemiłych mu owacji i zapewne z sympatii do tego miasta. Niespodziewany przylot do Łodzi i zaskoczenie, jakie tym wywołał przedstawił Skarżyński we wspomnianej już wyżej książce. Ponownie przybył on do Łodzi 27 maja 1934 roku, kiedy to na lotnisku Łublinek odbyło się uroczyste przekazanie Aeroklubowi Łódzkiemu dwóch samolotów RWD-8, ufundowanych przez społeczeństwo tego miasta i województwa łódzkiego.

Gdy w roku 1939 nadciąga nad nasz kraj hitlerowska nawałnica, Stanisław Skarżyński bierze udział w walkach polskiego lotnictwa. Po zakończeniu tragicznej kampanii wrześniowej nie rezygnuje on z dalszej walki z faszystowskimi Niemcami. Podobnie jak wielu polskich żołnierzy przedostaje się do Francji, a po jej kapitulacji w roku 1940 do Wielkiej Brytanii. Tutaj doświadczony pilot podpułkownik Skarżyński przez pewien czas jest komendantem jednego z większych ośrodków szkolenia polskich pilotów w Newton, a potem przechodzi do lotnictwa bombowego. W początkach 1942 roku zostaje komendantem lotniska Lindholme w północnej Anglii.

Mimo, że zajmowane przez Skarżyńskiego stanowisko, jak i przekroczona przez niego w tym czasie granica dozwolonego do odbywania lotów wieku, wykluczały właściwie jego uczestnictwo w lataniu bojowym, nie zrezygnował on jednak z czynnego i bezpośredniego udziału w walce z hitlerowcami. Nadal latał nad Niemcy biorąc odwet za pamiętny wrzesień 1939 roku. W nocy 25 czerwca 1942 roku Skarżyński, jako pilot jednej z wielkich, dwusilnikowych maszyn Vickers-Armstrong „Wellington", zabierających na wyprawdę bojową do 4,5 ton bomb, wyruszył na bombardowanie miasta Bremy. Chociaż lot był trudny, Skarżyński wykonał zadanie — dotarł do celu i zrzucił bomby, został jednak ranny w obie nogi.

W drodze powrotnej do Anglii, uszkodzony przez niemiecką artylerię samolot Skarżyńskiego zaczął nad Morzem Północnym tracić wysokość i dotarcie do wybrzeży brytyjskich stało się niemożliwe. Ranny, na pół przytomny z bólu pilot bezbłędnie posadził maszynę na wodzie i wyszedł na skrzydło samolotu, aby wraz z resztą załogi próbować ratunku przy pomocy nadmuchiwanej gumowej łódki. Ze skrzydła zmyły go jednak wysokie fale wzburzonego morza. W ten tragiczny sposób zdobywcę południowego Atlantyku pochłonęło Morze Północne. Stało się to 26 czerwca 1942 roku. Pozostali członkowie załogi samolotu uratowali się. *Zwłoki naszego lotnika wyłowione przez Niemców u brzegów wyspy Terschelling (wyspy Fryzyjskie)* pochowane zostały przez miejscową ludność na cmentarzu wojskowym (grób nr 62).

Symboliczna mogiła Skarżyńskiego — bohaterskiego lotnika, odznaczonego wieloma wysokimi odznaczeniami polskimi (m. in. Krzyżem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych) oraz zagranicznymi — znajduje się w jego rodzinnym mieście — Warcie. Działacze społeczni i krajoznawczo-turystyczni tego miasta zgromadzili pamiątki związane ze Skarżyńskim, umieszczając je najpierw w Izbie Pamięci Narodowej w pobliskim Małkowie, a następnie przenosząc do Muzeum Miasta i Rzeki Warty, otwartego w roku 1981. W roku 1968, podczas uroczystości obchodów święta lotnictwa, na domu, w którym urodził się i mieszkał as naszego lotnictwa (Warta, ul. Skarżyńskiego nr 10) umieszczono pomiątkową tablicę ku jego czci, ufundowaną przez miejscowy Oddział PTTK i społeczeństwo miasta. Napis na tablicy głosi: **„Tu urodził się i mieszkał ppłk pil. Stanisław Skarżyński 1. V. 1899 — 26. VI. 1942. Wsławił się lotem wokół Afryki — 1931, samotnie przeleciał Atlantyk płd. — 1933. Zginął śmiercią lotnika,**

PTTK w Warcie 8. IX. 1968 r.".

W związku z 40 rocznicą śmierci Stanisława Skarżyńskiego w dniu 19 czerwca br. otwarto w Muzeum Miasta i Rzeki Warty (Warta, ul. 20 Stycznia nr 26) interesującą wystawę wspomnieniową, a w dniach 19—20 czerwca br. odbył się rajd turystyczny poświęcony jego pamięci.

Dom, w którym urodził się ppłk. pilot St. Skarżyński.

Palestyńczycy – kim są?

HENRYK SROCZYŃSKI

Popularna wśród Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu Jordanu ballada głosi:

Możesz wziąć ostatni skrawek naszej ziemi
Moją młodość zamknąć w więzieniu
Możesz ograbić mnie z dziedzictwa
Nad dachami mojej wioski zarzuć sieć terroru
Ale
Ja się nie ulęknę
I do ostatniego uderzenia pulsu
Stawię ci opór.

Syjonizm, który zrodził państwo Izrael, niezamierzenie wyzwolił silne poczucie narodowe u Palestyńczyków — narodu o którym poeta, Mahmoud Darweesh napisał kiedyś, że „nie ma żadnej ojczyzny, żadnego sztandaru i adresu".

Z pewnością trudno dziś wielu Izraelczykom wyobrazić sobie odwrót od obsesyjnych wizji swego państwa na obszarze całej Palestyny, ale logika następujących wydarzeń w świecie nieubłaganie wskazuje, że wcześniej czy później państwo żydowskie będzie musiało dać Palestyńczykom tę ojczyznę i ten adres.

Izrael nie może drogą wypierania Palestyńczyków i bezpośredniej ich eksterminacji wystawiać swe państwo — na ryzyko coraz większej wrogości całego świata arabskiego wobec Żydów. Perspektywy dla tego narodu byłyby, w sytuacji zjednoczenia Arabów, co najmniej ponure.

Nie można liczyć, że problem bliskowschodni, jako jedno z najbardziej zapalnych ognisk w świecie, wciąż będzie odkładany przez obydwa supermocarstwa. Nie jest też możliwy jakikolwiek postęp w rozwiązywaniu kwestii tego regionu bez rozstrzygnięć w bolesnej sprawie Palestyńczyków. A zatem — jeśli ktoś będzie musiał ustąpić, to przede wszystkim Izrael.

Żydzi byli udręczeni przeszłością, ich pamięć obciążona jest brakiem zaufania — obawy dotyczą bezpieczeństwa ich państwa. Ale nic nie może usprawiedliwiać nienawistnego stosunku Żydów do Palestyńczyków, którym nie zniknęła z oczu ojczyzna, a tym bardziej nie znajduje żadnych usprawiedliwień ślepe i nieczułe na ból, cierpienia i na śmierć postępowanie wojsk izraelskich.

Historia

Historia Palestyny jest długa i pełna konfliktów. Ten obszar leżący na skrzyżowaniu niezwykle ważnych szlaków handlowych, które łączyły Azję, Afrykę i Europę, przyjmował liczne fale migracyjne ludów i często był nękany przez najeźdźców.

Różne źródła zgodnie dziś stwierdzają, że ziemie Palestyny, Libanu, Syrii i Iraku zasiedlała, począwszy od 3.500 roku p.n.e., ludność z głębi Półwyspu Arabskiego. Pierwsze w historii państwo obejmujące teren Palestyny powstało w 2.000 roku p.n.e. i zwało się Kanaan.

Dopiero 800 lat później plemiona żydowskie uciekające przed prześladowaniami z Egiptu przeszły Pustynię Synajską i dotarły do rejonu Morza Martwego, a następnie do rzeki Jordan. Okrutnie rozprawiając się z ludnością kanaanejską (dokładnie jest to opisane w księgach Starego Testamentu), Hebrajczycy podbili część Palestyny, zaś reszta jej obszaru pozostała w rękach kanaanejczyków.

Niemal równocześnie z falą imigrantów żydowskich przybywali do Palestyny i zajmowali południowe wybrzeże Morza Śródziemnego wywodzący się z Krety Filistyni; Palestyna, po arabsku „Filistin", właśnie od tego ludu otrzymała swą nazwę.

Hebrajczycy skoncentrowali swe osadnictwo w środkowej części Palestyny — ich siedzibą stała się głównie górzysta Judea. Powstałe tam Królestwo Izraela i Judy (pod panowaniem Saula, a następnie Dawida i Salomona), nie przetrwało jednak dłużej niż 200 lat. Kres Królestwu Żydowskiemu położyły najazdy Asyryjczyków i Babilończyków. Po tym kolejno Palestynę podbijali: Persowie, Grecy (pod wodzą Aleksandra Macedońskiego) i Rzymianie. W VII wieku n.e. gdy z głębi Półwyspu Arabskiego ruszyła wielka fala emigracyjna muzułmanów, dotarła ona również do Palestyny i ostatecznie został utrwalony charakter Palestyny, jako ziemi arabskiej.

Ale Palestyna wciąż przeżywała nowe najazdy. Po Krzyżowcach przybyli tu Mongołowie, później ziemie te zdobyli Egipcjanie i z kolei przeszły one pod władze imperium osmańskiego. Przez krótki okres przebywały tu również wojska napoleońskie.

Prawa

Mimo zmiennych kolei losu, utrzymywała się w Palestynie rdzenna ludność wywodząca się od Kanaanejczyków i Filistynów. Palestyńczycy uważają więc, że ich prawa do ojczyzny sięgają nie VII wieku n.e., lecz XX wieku p.n.e., kiedy to powstało pierwsze państwo Kanaan; istniało ono przez tysiąc lat.

Gwoli prawdy historycznej trzeba powiedzieć, że od czasu osiedlenia się w Palestynie Hebrajczyków, także nieprzerwanie żyła tam grupa wyznawców judaizmu. Społeczność hebrajska nigdy jednak nie przeważała liczebnie na obszarze Palestyny. Żydzi głosząc, że mają prawo do „ziemi obiecanej" powołują się głównie na istnienie Królestwa Izraela i Judy.

Problem palestyński, a właściwie kwestia praw do tego obszaru, pojawiła się ponad 60 lat temu, gdy został zawarty układ brytyjsko-francuski w sprawie podziału dawnych posiadłości tureckich. Jak ustalono, obszar biblijnej Palestyny w 90 proc. zamieszkiwany przez ludność arabską i w 5 proc. przez ludność żydowską (pozostali to głównie chrześcijanie), miał być pod wspólnym zarządem tych dwu mocarstw kolonialnych. Wnet jednak Francja otrzymawszy brytyjskie poparcie swych roszczeń do Syrii, zrzekła się praw do Palestyny.

Brytyjczykom bardzo zależało na uzyskaniu mandatu nad tym terytorium, choćby z tego względu, że zapewnili Federację Syjonistyczną iż „Rząd Jego Królewskiej Mości ustosunkował się pozytywnie do założenia w Palestynie siedziby narodowej dla narodu żydowskiego i dołoży wszelkich starań, aby ułatwić osiągnięcie tegoż celu". Nawiasem mówiąc wcześniej, w zamian za pomoc w pokonaniu Turcji otomańskiej, Anglia obiecała Arabom niepodległość większości wschodnich obszarów arabskich włącznie z Palestyną. Mimo iż pomoc ta była wielka, wycofano się z danego przyrzeczenia.

W związku z deklaracją oferującą europejskiemu ruchowi syjonistycznemu „siedzibę narodową", konferencja w San Remo w 1920 r. przyjęła postanowienia zapowiadające powstanie tzw. Agencji Żydowskiej która by organizowała imigrację osadnictwa w Palestynie. Wobec braku ziem nadających się do zagospodarowania, organizacje żydowskie rozpoczęły na szeroką skalę wykupywanie posiadłości arabskich, nie zawsze drogą legalną.

Rozwiązaniem kwestii żydowskiej w Palestynie miała być decyzja ONZ podjęta w 1947 r., decyzja o utworzeniu dwu samodzielnych państw: żydowskiego i arabskiego. Po proklamowaniu Izraela w 1948 r., który zobowiązał się w deklaracji niepodległościowej do troski o jedność gospodarczą Palestyny, państwo to rozpoczęło w drodze konfliktów, stałą ekspansję na ziemie arabskie.

Już w półtora roku po uzyskaniu niepodległości, Izrael wraz z Jordanią, dokonał podziału arabskiej części Palestyny. Jordania anektowała wówczas Cisjordanię, zwaną też Zachodnim Brzegiem Jordanu, która w wyniku wojny w 1967 r. znalazła się pod okupacją izraelską. Począwszy też od 1948 r., kiedy to exodus ludności palestyńskiej objął 250 tys. osób, parokrotnie ruszały z podbitych obszarów fale wygnańców.

Ludność

Kiedy na I Kongresie Syjonistycznym w Bazylei w 1897 r. powołano do życia Światową Organizację Syjonistyczną, stawiającą sobie za główny cel „utworzenie w Palestynie ojczyzny narodowej dla Żydów", na obszarze tym zamieszkiwało tylko 24 tys. ludności żydowskiej, tj. około 5 proc. całego zaludnienia Palestyny. Zaś w roku w którym została ogłoszona Deklaracja Belfoura zapowiadająca utworzenia państwa żydowskiego, przedstwiciele tej narodowości stanowili tylko 8 proc. mieszkańców Palestyny.

Po I wojnie światowej ruch syjonistyczny spotęgował swoją działalność. W organizowaniu imigracji do Palestyny pomagały mu wszystkie państwa w Europie i Stany Zjednoczone. Naród palestyński nie był jednak biedny — kilkakrotnie powstawał przeciwko Anglikom i organizacjom syjonistycznym intensywnie rozwijającym imigrację.

W chwili powstania państwa Izrael w Palestynie było już 6649 tys. Żydów, co stanowiło 29 proc. ludności. Posiadała ona jednak tylko 6 proc. obszaru tego regionu.

Mimo iż w dalszym ciągu trwała wielka imigracja Żydów, to jednak dzięki wysokiemu przyrostowi ludności palestyńskiej, naród ten potroił swą liczbę ludności w ciągu 32 lat i utrzymywał korzystne dla siebie proporcje. Obecnie, jak się szacuje, jest 4,2 mln. Palestyńczyków, z czego na terenach okupowanych żyje 1,7 mln. zaś reszta w innych krajach, głównie w Jordanii, Libanie, Kuwejcie, Syrii i Egipcie.

Palestyńczyk od wielu lat jest synonimem wygnańca, człowieka pozbawionego swej ojczyzny i tułającego się po obozach utrzymywanych dzięki międzynarodowej pomocy. Wobec konsekwencji jakie wiązać by się musiały z podjęciem kwestii ojczyzny dla Palestyńczyków, w polityce bliskowschodniej państw zachodnich nie mieściła się sprawa tego narodu — po prostu nie przyjmowano do wiadomości praw Palestyńczyków, wyrzuconych ze swoich domów. Problem tego narodu był również niewygodny dla rządów niektórych państw arabskich. Sądzono więc, że odkładając tę kwestię, zyska się na czasie: Palestyńczycy zaasymilują się wśród innych narodów. Krańcowym wyrazem tego stosunku do wygnańców był ich pogrom w 1970 r. w Jordanii (pod kulami żołnierzy Królestwa Haszymidzkiego padło wówczas około 20 tys. Palestyńczyków) oraz 19-miesięczna wojna wewnętrzna w Libanie, która miała na celu wyeliminowanie Organizacji Wyzwolenia Palestyny, jako siły politycznej w konflikcie bliskowschodnim.

Walka

W sytuacji, gdy ani apele międzynarodowe, ani rezolucje ONZ w sprawie przywrócenia utraconych praw Palestyńczykom nie przynosiły skutków, podjęli oni w styczniu 1965 r. walkę zbrojną. Przez szereg lat Palestyńczycy głosili hasła radykalne, podtrzymujące na duchu wygnańców, a jednocześnie dodające im sił. To nieprzejednane stanowisko wobec Izraela było konsekwencją cierpień i strat. Choć wszyscy sąsiedzi Izraela doznali z jego winy dużych cierpień, to jednak największą tragedię sprowadziło państwo żydowskie właśnie na naród palestyński.

Ale z czasem przywódcy tego bezdomnego narodu wzięli pod uwagę realia na Bliskim Wschodzie i przestali mówić o ustanowieniu państwa palestyńskiego na całym obszarze Palestyny (zakładano likwidację Izraela). Wysunęli też postulat utworzenia swego państwa na jakiejkolwiek części terytorium, z którego wycofałby się Izrael. Chodzi tu zwłaszcza o Cisjordanię oraz Strefę Gazy.

Ta koncepcja, zresztą nie nowa, bo arabska konferencja na szczycie w 1974 r. przyznawała OWP wyłączne prawo występowania w imieniu ludności Zachodniego Brzegu, zyskiwała sobie przychylne stanowisko nawet w Stanach Zjednoczonych. Układ zawarty w Camp David wprawdzie nie narzucał żadnego rozwiązania kwestii palestyńskiej, ale zawierał klauzulę, według której Izrael miał zgodzić się na samostanowienie ludności palestyńskiej zamieszkałej na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy.

Rząd Begina podpisawszy traktat pokojowy z Egiptem, począł stawiać nie do przebycia przeszkody w kwestii praw Palestyńczyków — proponował nadanie temu rejonowi Palestyny statusu „autonomii administracyjnej". Propozycje izraelskie z oburzeniem zostały odrzucone przez OWP, wzbudziły też protesty wśród tych państw arabskich, które były skłonne pójść na znaczne ustępstwa wobec Izraela. Wypowiadając się na temat koncepcji Tel Awiwu w sprawie autonomii, przywódca OWP, Jaser Arafat powiedział, że Izrael zmierza do utworzenia na Zachodnim Brzegu bantustanów, takich jakie rasistowska RPA zorganizowała dla ludności murzyńskiej na swym obszarze.

Izrael sądził, że problem palestyński zostanie rozwiązany w bezpośrednich negocjacjach z ludnością na Zachodnim Brzegu, co pozwoli wyeliminować w przyszłych ustaleniach Organizację Wyzwolenia Palestyny. Jak się jednak okazało, nie ma wśród Palestyńczyków, ani jednego polityka, który poszedłby na współpracę z Izraelem i Egiptem. Nie ma „quislingów" palestyńskich, którzy chcieliby działać z pominięciem OWP.

Nadzieje

Odkładanie problemu palestyńskiego, które w zamyśle Tel Awiwu działa na korzyść Izraela, a z drugiej strony coraz bardziej intensywna działalność polityczna OWP, sprawiły, że kwestia praw Palestyńczyków zyskała ogromne wsparcie międzynarodowe. Nie chodzi tu już tylko o przyznane Palestyńczykom prawa przez ONZ, ale i o stanowisko poszczególnych rządów. O autorytecie i wsparciu żądań Palestyńczyków świadczy zwłaszcza fakt, że OWP uznana została przez ponad 100 krajów; swe przedstawicielstwa organizacja ta utrzymuje w 80 państwach.

Naród palestyński, mimo losu jaki został mu zgotowany, energicznie działa na wygnaniu. Przede wszystkim dba o wysoki poziom wykształcenia swej młodzieży. Ludzi z wyższym wykształceniem jest 16—17 na tysiąc, czyli tyle samo co w Izraelu i o wiele więcej niż w krajach arabskich oraz w państwach Trzeciego Świata. Połowa palestyńskich absolwentów pracuje jako nauczyciele. Cztery główne dziedziny, w których Palestyńczycy najczęściej się specjalizują to: nauczyciel, inżynier, lekarz i pracownik administracji.

Dla współczesnych Palestyńczyków zdobywanie wykształcenia jest drogą do zachowania tożsamości narodowej. Wielu młodych Palestyńczyków sądzi, że wykształcenie przybliża nadzieje na wyzwolenie Ojczyzny.

Choć Palestyńczycy są ofiarami polityki eksterminacji, to jednak z optymizmem patrzą w przyszłość. OWP walcząc zgodnie z zasadami międzynarodowymi o prawa dla ludności Palestyńskiej i kierując się duchem pojednania, wierzy, że powstanie demokratyczne państwo w Palestynie, w którym wszyscy obywatele — Żydzi, chrześcijanie i muzułmanie jako sobie równi będą mogli żyć w warunkach wzajemnego szacunku i bez wzajemnej dyskryminacji.

Wspomnienie serdeczne

IGOR SIKIRYCKI

Jesienią 1937 roku, za pierwsze w życiu własne pieniądze, zarobione podczas wakacji, kupiłem sobie rower, a ściślej mówiąc, tylko pół roweru: kierownicę, ramę znakomitej firmy Kamińskiego i pięknie chromowaną przekładnię.

Na koła już niestety nie wystarczyło, ponieważ nieco wcześniej zajrzałem do księgarni „Gebethnera i Wolffa", by przejrzeć najnowsze tomiki poetyckie.

Byłem wówczas uczniem II klasy Państwowego Liceum im. Hetmana Jana Zamoyskiego w Lublinie, miałem siedemnaście lat, a na sumieniu kilka wierszy opublikowanych w międzyszkolnym piśmie. Tak więc poezja interesowała mnie do tego stopnia, że mogła zachwiać nawet perspektywą niezwłocznego nabycia roweru.

Kupiłem najpierw „Trzynaście wierszy" Światopełka Karpińskiego i już miałem opuścić księgarnię, gdy zwrócił moją uwagę leżący na ladzie tomik poetycki o skromnym tytule „Piołun i obłok". Otworzyłem książkę nie patrząc nawet na nazwisko autora i po przeczytaniu kilku strof natknąłem się na krótki wiersz pt „Preludium":

Do napisania wiersza
Potrzebna iskra jedna,
Która jak gwiazda pierwsza
Boga z człowiekiem jedna,
Która jest naraz kwiatem,
I snem, i ciszą nieba,
I nic, i nic poza tem
Już więcej nie potrzeba.

Wiersz ten urzekł mnie swoim pięknem i prostotą. Wtedy dopiero zamknąłem książkę i na okładce odczytałem nazwisko autora: był nim Jan Brzechwa.

W osiem lat później, w maju 1945 roku, losy powojenne, a ściślej mówiąc, skrzydła wojskowego samolotu przeniosły mnie z Lublina do Łodzi. Przez kilka lat kontynuowałem tu pracę radiowego spikera rozpoczętą w lubelskiej „Pszczółce". I tu właśnie w październiku 1945 roku poznałem Jana Brzechwę.

Nasze pierwsze spotkanie miało miejsce w hotelu „Savoy" podczas otwarcia „Klubu Pickwicka", któremu patronował Związek Zawodowy Literatów Polskich.

Moja obecność na tej imprezie wiązała się nie tyle z faktem, że miałem już w kieszeni legitymację kandydata Związku Literatów, a przede wszystkim z funkcją radiowego sprawozdawcy.

Po części oficjalnej, zakończonej błyskotliwym przemówieniem ówczesnego prezydenta miasta, Kazimierza Mijala, atmosfera ogromnie się ożywiła, tym bardziej, że rozpoczął swoją działalność pickwickowski bufet. Mój nastrój także uległ poprawie. Wpłynęła na to obecność wielu pisarzy, „starych znajomych" z okresu lubelskiego. Szczególnie serdecznie przywitał się ze mną Janusz Minkiewicz, toteż wkrótce nabrałem odwagi i poprosiłem, by dopomógł mi w zawarciu znajomości z Janem Brzechwą.

W parę minut później siedziałem już przy stoliku prezesa, obok jego niezwykle miłej żony, która prowadziła ożywioną rozmowę ze znaną mi już wcześniej popularną pieśniarką, Zofią Sykulską. Małżonek pani Zofii, Jan Marcin Szancer, pochylony nad kartką maszynopisu proponował Brzechwie przedłużenie jakiegoś wiersza dla dzieci przynajmniej o parę strof. Brzechwa zastanawiał się chwilę, po czym stwierdził: — Wiesz, mój drogi, że nie znoszę morałów, ale w tym wypadku możesz dopisać jakąś złotą myśl, na przykład „Każda praca się opłaca".

— Trochę za krótkie — zauważył Szancer.

— Może pan mu coś powie— Brzechwa zwrócił się do mnie.

Wtedy, zapewne pod wpływem pickwickowskiej nalewki, nabrałem odwagi i dodałem: Oprócz tej co życie skraca.

Brzechwa uśmiechnął się.

— Widzisz, Marcinie, rośnie nam konkurencja. Cóż zrobić, wypijmy za młodych poetów.

— Może zechce pan powiedzieć nam jakiś cały wiersz — zaproponowała pani Zofia.

Wtedy zwróciłem się do Brzechwy. — Jeśli pan pozwoli, przypomnę pański wiersz z tomu „Piołun i obłok", wiersz, który zachowałem w pamięci jeszcze z czasów szkolnych.

Sprzeciwów nie było, wobec czego z lekką tremą, półgłosem powtórzyłem strofy „Preludium".

Szancer skwitował wiersz dość lakonicznie. — Ładne to, tylko bardzo trudne do zilustrowania.

Brzechwa także próbował żartować. — No, proszę, a ja myślałem, że da się jakoś ukryć tę moją twórczość dla dorosłych.

Na to Szancer: — O nie, mój drogi, przecież to twórczość przez duże tfu.

Bardzo mi się ten dialog spodobał, ale dopiero znacznie później dowiedziałem się, że autorem tego powiedzonka o twórczości był właśnie Brzechwa.

Późnym wieczorem, kiedy już sami zostaliśmy przy stoliku, Brzechwa zapytał mnie, czym się teraz zajmuję. Wyjaśniłem mu, że poza pracą w radiu studiuję filologię polską i uczęszczam do szkoły teatralnej, toteż na pisanie mam niewiele czasu.

— Nie chodzi mi o pisanie, na pisanie zawsze jest za mało czasu, ale ponieważ ma pan już kilka zajęć, chcę panu zaproponować jeszcze jedno. Otóż nam, to znaczy naszemu związkowi, potrzebny jest młody, energiczny dyrektor literacki „Klubu Pickwicka". Oczywiście ideałem byłaby jego przynależność do ZLP, ale sądzę, że pan właśnie i ten warunek niebawem spełni. Decyzji nie musi pan podejmować natychmiast. Daję panu pięć, no, powiedzmy, dziesięć minut czasu.

I tak oto, po upływie dziesięciu minut zostałem mianowany dyrektorem literackim „Klubu Pickwicka", którego działalność artystyczna odegrała niemałą rolę w życiu kulturalnym powojennej Łodzi.

Do udziału w tradycyjnych czwartkowych wieczorach udało mi się pozyskać takich prelegentów, jak Leon Schiller, Władysław Bieńkowski, Jerzy Zaruba, Stefan Kisielewski, Antoni Bohdziewicz, Erwin Axer, oraz całą plejadę znakomitych aktorów.

Stopniowo jednak moja dyrektorska inwencja zaczęła się wyczerpywać, zwłaszcza, że i fundusze przeznaczone na organizację imprez skurczyły się ogromnie.

Brzechwa, z którym niemal codziennie spotykałem się w klubie, pocieszał mnie dobrym słowem, rokując nadejście lepszych czasów, a robił to tak genialnie, że ciągle odkładałem rezygnację z niezbyt wygodnego stanowiska.

Pewnego dnia Janek zaprezentował mi niezwykłe widowisko. Do „Klubu Pickwicka" wchodziło się przez salę restauracji hotelu „Savoy", po schodach prowadzących na pierwsze piętro. U szczytu schodów znajdował się niewielki taras z widokiem na całą salę. Kiedy znaleźliśmy się na tarasie, Janek zatrzymał się i oparł dłonie na balustradzie.

— Spójrz na ten stolik, ostatni z prawej strony.

— Ten, przy którym siedzi szpakowaty pan w towarzystwie dwóch pań?

— Tak, ten.

— Nie widzę nic ciekawego.

— A teraz?

— Teraz bierze jakąś książkę i coś pisze.

— A wiesz kto to jest?

— Nie wiem.

— To jest Jan Brzechwa.

— Jaki Brzechwa, twój kuzyn?

— Nie. Jan Brzechwa czyli ja.

Widząc przerażenie w moich oczach, Janek uspokoił mnie zaskakującym wyjaśnieniem.

— Otóż pan, którego tam widzisz, podaje się za Jana Brzechwę i w dodatku składa autografy na moich najnowszych książkach.

— Skąd o tym wiesz?

— Od znajomego kelnera.

— No dobrze, ale cóż on na tym zyskuje?

— Jak to, co? Wdzięczność mamuś obdarzonych autografem, a może i coś więcej.

— Moim zdaniem faceta trzeba natychmiast zamknąć.

— Nie masz racji. Otóż on mi wyświadcza ogromną przysługę. Wiesz przecież, że nie lubię podpisywać moich książek, a jemu widocznie sprawia to ogromną przyjemność. Poza tym robi to bardzo dobrze. Ma ładny charakter pisma i całkiem niezłą prezencję. Jednym słowem nie przynosi mi wstydu.

W kwietniu 1946 roku Zarząd Związku skierował do mnie pismo rozszerzające moje klubowe kompetencje do spraw ściśle gospodarczych. Tego już było stanowczo za dużo.

Wieczorem, jak zwykle, spotkałem się z Jankiem. Zauważył natychmiast, że jestem wzburzony. Co się stało?

— Nic. Po prostu dosyć mam już tego klubu, tym bardziej, że moje dyrektorstwo literackie, zamieniło się w odpowiedzialność za bufet. Nie uważasz, że to jest nie w porządku?

— Uważam i dlatego ja tego pisma do ciebie nie podpisałem.

— Jednym słowem, zgadzasz się, żebym to wszystko rzucił natychmiast?

— Nawet popieram. A teraz mam dla ciebie dobrą wiadomość. Zdobyłeś pierwszą nagrodę za wiersz „Nowy krajobraz" w konkursie naszego związku. Ale to nie wszystko. Na mój wniosek, zarząd postanowił wydać własnym sumptem twój tomik wierszy. Postaraj się tylko, żeby ci ktoś zrobił okładkę, bo na to nie mamy pieniędzy. Masz kogoś na oku?

— Mam, Karola Baranieckiego.

— Świetnie, to dobry grafik.

I tak zakończyło się nasze ostatnie „służbowe" spotkanie w „Klubie Pickwicka".

Od tej pory znacznie więcej czasu poświęciłem studiom i pracy radiowej. Tę moją spikerowską gorliwość skwitował Brzechwa taką fraszką:

Wciąż w radio głos Igora słyszę,
Niemal o każdej porze,
To nie są żarty, towarzysze,
To orka na Igorze.

Nadszedł wreszcie czas, kiedy Janek wrócił do swojej ukochanej Warszawy. Ale i wtedy nasze drogi splatały się bardzo często. Przez szereg lat spędzaliśmy razem letnie i zimowe urlopy w ZAIKS-owych domach w Zakopanem lub w Krynicy. Bliskie kontakty naszych żon, a także krąg wspólnych znajomych, oddających się namiętnie grze w brydża i kierki, wszystko to razem sprawiło, że nasza przyjaźń nabrała cech trwałych. Mimo licznych kontaktów osobistych, pisywaliśmy do siebie długie listy, a każdy mój pobyt w Warszawie zaczynał się i kończył wizytą u Janka.

Pewnego razu Brzechwa zaskoczył mnie niezwykłą propozycją:

— Cieszę się, że cię widzę. Właśnie wczoraj „Książka i Wiedza" zaproponowała mi przekład „Konika Garbuska". Bajka jest naprawdę piękna, ale ja, niestety, piszę teraz dalszy ciąg „Przygód Kleksa" i nie mogę się od tego oderwać. Poleciłem im ciebie.

— Mnie? Przecież ja nie znam rosyjskiego.

— To bardzo dobrze. Przy okazji się nauczysz.

Po roku, kiedy mu wręczyłem gotowy przekład, podszedł do telefonu i zadzwonił do Szancera.

— Słuchaj uważnie, Marcinie, radzę ci nie przegapić okazji. Tak pięknej bajki, jak „Konik Garbusek" jeszcze nie ilustrowałeś.

Nie minęła godzina, a już Szancer zjawił się u Brzechwy i natychmiast zabrał się do wertowania przekładu. Janek tymczasem wręczył mojej żonie wybór bajek „Brzechwa dzieciom" z dedykacją:

Nie macie dzieci — to mnie smęci!
Niechaj ta książka Was zachęci!

W parę lat później, nasz małoletni syn, wychowany na bajkach Brzechwy, otrzymał od niego „Sto bajek" z takim apelem:

Oto książeczka do oglądania,
Bo to rysunków zbiór bogaty,
Ale ją czytać wujek zabrania —
Czytać należy książeczki Taty.

Dedykacja była niezwykle aktualna, ponieważ zachęcony przez Janka napisałem już kilka własnych bajek. Za jedną z nich, pt. „O komarze i orkiestrze, która grała w górnym Dniestrze", otrzymałem nawet radiową nagrodę. Niestety, z wydaniem bajki pojawiły się nieprzewidziane trudności. Wreszcie okazało się, że zdaniem Urzędu Kontroli Prasy, należy zmienić tytuł bajki ponieważ Dniestr leży poza granicami naszego kraju. Opowiedziałem tę historię Jankowi. Poradził mi, żebym po prostu zmienił Dniestr na inną rzekę. Tak też zrobiłem. Przy okazji Brzechwa opowiedział mi o swoich podobnych kłopotach. Otóż komuś tam bardzo się nie spodobało, że jedna z bohaterek jego bajki, pani Gadalińska, pochodziła z miasta Pińska — wobec tego Janek zmienił Pińsk na Młyńsk. Z początku nie mogłem w to uwierzyć, ale kiedyś istotnie znalazłem ten Młyńsk w bajce „Dwie gaduły".

Pewnego razu zdarzyła mi się historia, o której długo nie mogłem zapomnieć. Otóż gryząc laskowe orzechy, natrafiłem na orzech, z którym w żaden sposób nie mogłem sobie poradzić, chociaż mam mocne zęby. Wtedy wpadłem na pomysł napisania bajki o takim niezwykle twardym orzechu, z którym nie mógł sobie poradzić ani „dziadek do orzechów", ani kowal, ani traktor, ani nawet dynamit. Pointą miała być wiewiórka, która bez trudu rozgryzła i zjadła orzech. Bajkę napisałem stosunkowo szybko i wkrótce otrzymałem umowę na jej wydanie. Jakież było moje zdziwienie i przerażenie, kiedy w świeżo wydanym wyborze wierszy Brzechwy znalazłem bajkę opartą na identycznym pomyśle.

Napisałem natychmiast do Janka, przesyłając mu swego „Orzeszka", z informacją o tym, że postanowiłem wycofać ten utwór. W parę dni później otrzymałem następujący list:

Warszawa, 25.1.1963

Drogi Igorze,

Jest mi niewymownie przykro, że Cię wyprzedziłem z pomysłem o orzechu. Zresztą pomysły zawsze się powtarzały. Kryłow nic sobie z tego nie robił i zrzynał z La Fontaine'a. Jeśli chodzi o mnie, nic a nic mi nie szkodzi, żeby Twój „Orzeszek" został wydany... Daję Ci więc zupełną carte blanche i ściskam serdecznie Ciebie wraz z całą Rodziną

Jan Brzechwa

W 1956 roku mój przekład „Konika Garbuska", z pięknymi ilustracjami Szancera, doczekał się już drugiego wydania. I wtedy, kupując pierwszy mój samochód, przypomniałem sobie przygodę z rowerem, i to, że kiedyś, przez Brzechwę zabrakło mi pieniędzy na koła, a dziś dzięki niemu, mam cztery i piąte zapasowe.

Od tej pory widywaliśmy się jeszcze częściej Nasze karciane spotkania stały się tradycyjnym rytuałem, a odbywały się prawie zawsze w tym samym nieodmiennym składzie: Brzechwa, Artur Tur, Jerzy Jurandot i Tadeusz Żeromski. Jedyną damą, jednomyślnie akceptowaną przez to niezwykle wymagające towarzystwo, była pani Lidia Wysocka.

Janek imponował mi zawsze niezwykłym spokojem i taktem, choć graczem był namiętnym i pełnym pasji. Niestety, szczęście dopisywało mu niezbyt często. Mimo to, bardzo lubił grę w karty, co zresztą znalazło wyraz nawet w jego bajkach i wierszach.

Oto fragment baśni o „Korsarzu Palemonie":

... I rzekł żartem w swej przemowie:
„Czterech królów piję zdrowie:
Karowego, kierowego,
Pikowego, treflowego.
Zmarły król Fafuła IV
Bardzo lubił zagrać w karty".

A oto fragmenty wiersza „Spóźnione refleksje":

... Każdy wiek, jak to mówią, ma swe przywileje,
Prawda to jest banalna i slogan utarty,
Toteż ja, proszę państwa, odkąd się starzeję
Mam całkiem nową pasję, mianowicie — karty.
... Karty! Kto je wynalazł, ten jest dla mnie geniusz
Nie jakiś Archimedes, Newton czy Marconi,
Od kart się nie uwolnisz, gdy ci weszły w rdzeń już,
Za nimi odtąd stale wyobraźnia goni.
Teraz, gdym się zestarzał, umysł mam otwarty,
Przejrzałem, zrozumiałem i wiem już niezbicie,
Że przez to iż tak późno zacząłem grać w karty,
Bezpowrotnie i głupio zmarnowałem życie.

Jeśli idzie o jakieś komentarze podczas gry, czy też ostre odzywki, to Janek darzył nimi tylko swego starego przyjaciela, Artura Tura. Wyglądało to mniej więcej tak: śmiałe zagranie Tura Janek komentuje: — Janko ryzykant! — Złośliwe zagranie Tura, Janek: — Ażebyś popękał w szwach!

I oto pewnego razu sprawdziło się. Kiedyś Tur, po nie najlepszej licytacji, rozłożył karty na stole. Na ten widok Janek powtórzył życzenie o szwach. Tur poderwał się z krzesła, aby obejrzeć karty partnera i tak niefortunnie zaczepił połą marynarki o krzesło, że istotnie ponękał w szwach.

Jeśli idzie o mnie, to z tych niezapomnianych spotkań wyniosłem także sporo pomysłów. Jednym z nich było napisanie bajki pt. „Janko ryzykant". Niestety, była to bajka, której nie zdążyłem już przeczytać przyjacielowi, któremu tak wiele zawdzięczam.

Jan Brzechwa

Miejsce dla kpiarza

Tworzą się w Polsce ogromne rzeczy,
Najgorszy bałwan też nie zaprzeczy,
Ale za mało u nas się wnika
W znaczenie kpiarza i satyryka.
Kpiarz w ogólności ludzi nie łaje,
Nie gani osób, lecz obyczaje,
Prawdziwa cnota kpiarza poważa —
Obywatele! Miejsce dla kpiarza!

Satyryk takie posiada oko,
Co patrzy czujnie, widzi głęboko,
Kpi z biurokracji, tępi nieróbstwo,
Za nic ma pychę, wyszydza głupstwo,
Próżność ośmiesza, błędy wytyka —
Czyż milszy lizus od satyryka?
Lizus wam schlebia, kpiarz się naraża
Obywatele! Miejsce dla kpiarza!

Gdziekolwiek spojrzeć na naszą ziemię,
Wszędzie są zjazdy i akademie,
Wszędzie zebrania, zloty, pochody,
Wiece, kongresy, albo obchody,
Lecz satyryków nigdy tam nie ma.
Przed czym obawa? Dlaczego trema?
Cnota na kpiarza się nie obraża —
Obywatele! Miejsce dla kpiarza!

W Sejmie wśród posłów brak satyry —
Rząd satyryka również unika,
A dać mu tekę! A dać mu mandat!
Krytyka lepsza niż propaganda.
A nie zamykać przed nim podwoi,
Przecież się cnota krytyk nie boi,
Prawdziwa cnota kpiarza poważa —
Obywatele! Miejsce dla kpiarza!

Gdy czytać prasę — same pochwały,
Tak jakby wady istnieć przestały,
Tak jakby człowiek z samego względu
Na jego urząd miał być bez błędu.
W „Szpilkach" pochlebstwa czyta się tylko
Cóż to za „Szpilki"? Szpila tym „Szpilkom"...
Szkoda wprost pióra i kałamarza,
Obywatele! Miejsce dla kpiarza!

Podsumowanie

Miałem stosy, miałem pełne worki
Rymów męskich, żeńskich i nijakich,
Rozsypały mi się jak paciorki,
Rozleciały się jak leśne ptaki.
Miałem rytmy posłuszne mej dłoni,
Miałem lotne wesołe pomysły —
Pogubiłem je i nic już po nich,
Jak deszczowe krople się rozprysły.
Miałem lata młode i beztroskie,
Prawdę mówiąc — wszystkie były młode,
Dziś, jak lalki powleczone woskiem,
Imitują dawną swą urodę.
Miałem w życiu dziewcząt niezbyt dużo,
Ale cóż to były za dziewczęta!
Już się takie nigdy nie powtórzą,
Już ich nie ma, a ja je pamiętam.
Nie spostrzegłem, jak się postarzałem,
Nie te siły już i rzutkość nie ta,
Wkrótce życie weźmie rozbrat z ciałem,
Ale w głowie — wciąż raj Mahom'a.

Ballada o tkaczu i tkaczce

Był sobie w Łodzi młody tkacz
I była także tkaczka —
Przy takiej tkaczce kręć się, skacz,
A ona nic. Dziwaczka!

Tkaczowi krew ucieka z lic,
Męka go żre miłosna,
A tkaczka w śmiech, a tkaczka nic,
Poprawia tylko krosna.

Tkacz do niej czule mówi: „Patrz,
Ulituj się nad męką!"
Lecz cóż dla tkaczki taki tkacz?
Mniej nawet niż czółenko.

Ona na ośmiu krosnach tka,
On ledwie pięć ma krosien,
Ona ma już dwadzieścia dwa,
A on zaledwie osiem.

Ona się śmieje, a on w płacz,
Ból nęka nieboraczka,
Nie może jej dogonić tkacz,
Bo taka to jest tkaczka.

Od siebie wciąż go pędzi precz,
Uczuciom każe stygnąć:
„Współzawodnictwo — główna rzecz
Wpierw musisz mnie prześcignąć!

Ze skóry wprost wyłazi tkacz,
Wysila mózg i dłonie:
„Kochana, nieco wolniej racz,
To może cię dogonię".

A ona nic. Przoduje wciąż,
Po nowe krosna sięga:
„No, jakiż będzie z ciebie mąż?
Po prostu niedołęga!"

I mówi: „Precz ode mnie! Stop!
Tak nie należy robić,
Swą żonę woli pobić chłop
Niźli jej rekord pobić".

Tkacz nie ustawał w pracy swej,
Rozmyślał całe noce,
Aż wreszcie pobił rekord jej
O przeszło dziesięć procent.

Tu tkaczka rzekła: „Ano, cóż,
Tak tkaczki się zwycięża!"
I nie stawiała przeszkód już
I wzięła go za męża.

Tkacz kochał żonę swoją, acz
Mówiono, że dziwaczka.
Był sobie w Łodzi pewien tkacz
I była także tkaczka.

Anioł

Za życia byłem aniołem,
Anioł orze — kto inny zbiera.
Aureolę miałem nad czołem
Z puli premiera.

Mimo anielskiej dobroci
Nieraz świerzbiły mnie kości,
Bo aureola się złoci —
Każdy zazdrości.

A zresztą ludzie dokoła
Okropnie są podejrzliwi,
Gdy który spotka anioła
Tylko się dziwi.

Koledzy śmiali się ze mnie,
Że skrzydła sobie przypiąłem,
Nikt nie wie, jak nieprzyjemnie
Być dziś aniołem.

Aż wreszcie pewnej jesieni
Duch wątłe opuścił ciało.
Lekarze byli zdziwieni
Tym, co się stało.

A ja? Znalazłem się w ziemi,
By się przekwalifikować.
— Nie będzie — myślałem — źle mi,
Losie mój, prowadź!

Drogą przenikań i osmoz
Nieznanych dotąd nauce,
Dostałem się w antykosmos
I już nie wrócę.

Tu wreszcie znajdę odmianę,
Tu będąc duchem — golasem
Kim innym teraz się stanę,
Tak!... A tymczasem...

Powitał mnie siwy jegomość
I rzekł: — z marksizmu to wziąłem.
„Niebyt określa świadomość" —
Będziesz aniołem.

„...Potrafimy znaleźć język porozumienia"

Dokończenie ze strony 1

tetu porozumiewawczego środowisk twórczych, który zorganizował kongres kultury mający stanowić po prostu alternatywę dla mecenatu państwowego, pod wzniosłymi hasłami demokracji i pluralizmu, gdy w rzeczywistości w niektórych pionach kultury, niektórych branżach i instytucjach, opanowanych przez zwolenników komitetu, dało się zaobserwować coraz wyraźniejszą dyskryminację twórców reprezentujących odmienne poglądy, tj. ludzi lewicy społecznej. Już wtedy, przed grudniem 81 uruchamiano skutecznie bardzo silne presje wobec wszystkich, którzy nie chcieli się opowiadać przeciwko partii, państwu i jego ustrojowym zasadom. Uważam, że podobnie jak tamte hasła — demokracji i pluralizmu, tak i dzisiejsze hasło emigracji wewnętrznej jest dla wielu eleganckim frazesem, który stanowi po prostu najbezpieczniejszą z możliwych formę manifestacji postawy politycznej.

— Przepraszam, dla kogo — bezpieczną?

— Przede wszystkim dla tych, którzy ją uprawiają. Milczenie bywa dostojne, zagadkowe, mądre... Bierność to coś w rodzaju ogrodu, z którego w każdej chwili można bezpiecznie wyjść, skoro zaproszenie przez władze do współpracy zachowuje stale jeszcze swą ważność, a kiedy się przez tę nadal otwartą furtkę wyjdzie, nikt nie będzie pytał, ani miał za złe — dlaczego tak późno. Uprawia zresztą i wymusza na innych emigrację tego rodzaju wielu przed sierpniem 80 mile widzianych „u dworu", którym nagromadzone wówczas zasoby materialne pozwalają dość długo jeszcze pozostawać na tej emigracji, ale grają oni także losami mniej znanych, przede wszystkim młodszych ludzi ponoszących straty nie tylko materialne, ale także wypadających stopniowo poza główny nurt obiegu wartości kulturalnych, a skradzionego czasu nikt im już nie wróci. Tych zwłaszcza pragnęlibyśmy odzyskać dla nich samych i dla nas wszystkich, dla polskiej kultury.

Nie chciałbym jednak, aby w ten sposób przeze mnie przedstawiane zjawisko uległo spłaszczeniu. Jestem głęboko przekonany, że wielu ludzi uczciwych i zatroskanych o kraj i polską kulturę, straciwszy orientację w procesach obecnie zachodzących, woli, moim zdaniem, zachować powściągliwość wobec ofert i awansów zarówno z jednej, jak i z drugiej strony, a to dlatego, że świat stał się dla nich nieprzejrzysty i boją się w nim poruszać, żeby nie zrobić niesłusznego kroku w sensie moralnym. Dopiero na tym tle możliwa jest ocena postępowania różnych manipulantów i krętaczy.

— Czy emigracja wewnętrzna jest stanem, wobec którego organizacje partyjne środowisk twórczych powinny zachować jak najdalej idące zrozumienie. Czy nie należałoby więc biegu spraw pozostawić czasowi, w przeświadczeniu, że jeśli postępujemy słusznie, przekonamy z czasem ludzi stawiających wyżej dobro kraju niż osobiste plany i ambicje?

— Nadmiarem czasu niestety nie rozporządzamy, ponieważ hasło emigracji „podpowiedziane" przez ekstremistów z antysocjalistycznej opozycji i systematycznie kolportowane w postaci „instruktażu" m. in. poprzez zagraniczne kanały, jest przez przeciwników ustroju socjalistycznego w Polsce i na świecie dyskontowane propagandowo w sensie: „popatrzcie, ilu ludziom stan wojenny w Polsce zamknął gębę!" A przy tym pewne koła owej wewnętrznej emigracji stawiają jako warunek jej porzucenia powrót do status quo ante, tj. stanu sprzed 13 grudnia, wiedząc doskonale, że na otwarcie drogi do demontażu państwa socjalistycznego władza się nie zgodzi i że ma ona w tym poparcie pokaźnej części społeczeństwa.

Proszę zwrócić uwagę, że w środowiskach literacko-artystycznych te nieziszczalne warunki stawiają władzy często ci, co bojkotując jedne formy udziału w życiu zawodowym potrafią brać te same państwowe pieniądze w innej postaci, np. ministerialnych stypendiów, a w niektórych przypadkach także honoraria z ośrodków dywersyjnych i ich zakamuflowanych ekspozytur.

— Tak się nam to wszystko wydaje zrozumiałe i jakby oczywiste, pomimo całej psychologicznej złożoności spraw. Toteż mógłby ktoś wyrazić wątpliwość, dlaczego w takim razie twórcy kultury, a więc intelektualiści w tak znacznej swojej części nie potrafią tych przesłanek rozumowania zaakceptować. Co prawda łączy się to dla mnie ze swoistym fenomenem, że wybitni ludzie tych profesji, bardzo nieraz wnikliwi w różnych dziedzinach rozważań nie pojmują jednak najelementarniejszych prawideł rządzących życiem społeczno-politycznym czy gospodarczym. Nawet prawo popytu i podaży bywa dla nich najzupełniejszą abstrakcją, czego się nie spotyka u jawnie konserwatnych publicystów zachodnich. Czy pan się z tym nie styka?

— Owszem, stykam się, ale nie zdumiewam. A pan ma chyba zbyt „nabożny" stosunek do ludzi nauki i sztuki, a w każdym razie oczekuje pan od większości z nich zbyt wiele, tzn. nie tego, czego wolno oczekiwać. Otóż artysta i naukowiec niekoniecznie muszą być intelektualistami...

— Muszę przerwać. Czy chodzi panu o wzajemne proporcje — u każdego człowieka różne — pomiędzy intelektem a emocją, czy też o bezwzględną wartość wyposażenia intelektualnego?

— Chodzi mi o to, że nie każdy, kto uprawia profesję artystyczną lub naukową „produkuje" również własne oryginalne myśli, gdyż często tylko powiela pewien przyswojony zasób wiadomości i stereotypów. W naszej tradycji zakorzeniło się przyznawanie „ryczałtem" funkcji elity intelektualnej artystom, a zwłaszcza pisarzom oraz naukowcom, a także całej inteligencji, a więc ludziom nie zawsze „wytwarzającym" poglądy i opinie, lecz najczęściej jedynie pośredniczącym w ich rozpowszechnieniu. W polskim społeczeństwie funkcjonuje historyczny, a więc i „dziedziczny" prestiż inteligencji, zwłaszcza artystów i pisarzy, i to nie tylko we właściwej im dziedzinie działania. Stąd tak duża waga przywiązywana przez antysocjalistyczne siły do politycznej indoktrynacji środowiska twórców. Nie umniejsza to w niczym znaczenia i rangi wybitnych osiągnięć artystycznych tych twórców, którzy w polityce nie rozumieją zagadnień elementarnych. To po prostu nie ich domena.

— Najwyższa pora na skonkretyzowanie pytania: co robi warszawska organizacja partyjna literatów dla pozyskania swojego środowiska zawodowego?

— Co powinniśmy byli robić i co robimy... Ustalenie tego wiąże się ściśle z naszymi próbami określenia, czym jest i czym może być organizacja partyjna w środowisku twórczym. Szukamy więc płaszczyzn określenia naszej tożsamości partyjnej. Mamy wprawdzie jako generalną wytyczną linię IX Zjazdu partii i jego uchwały, ale dokumenty te nie precyzują przecież wszystkiego. Zaczęliśmy od przeprowadzenia rozmów (nie w celu weryfikacji) ze wszystkimi członkami organizacji na temat — czym powinna ona być. Wymagało to od egzekutywy ogromnego wysiłku, wielu ludzi niechętnie się „otwiera", co jest skądinąd zrozumiałe.

Ponadto, wobec zawieszenia Związku, spadł na nas obowiązek podjęcia problemów, które w normalnym trybie nie do nas należą. Odnosi się to do elementarnych spraw związkowych i bytowych, zabezpieczenia możliwości funkcjonowania warsztatu pracy twórczej zarówno dla tych co idą z nami, jak i naszych oponentów, też przecież tworzących literaturę polską. W sumie zakres zadań kolosalny. Mimo dużych nieraz rozbieżności zdań w różnych sprawach, pracujemy też nad inicjatywami ustawodawczymi i przygotowaniem politycznych warunków do reaktywacji Związku. Czas pokaże, które z naszych działań okażą się optymalne.

Działamy przy tym w warunkach walki politycznej, przeciwstawiając się nadużywaniu solidarności zawodowej jako środka nacisku politycznego, nie chcemy bowiem solidaryzować się z tymi i występować w obronie tych, którzy prowadzą działalność na płaszczyźnie innej niż polityczna dyskusja i czynami swoimi godzą w podstawowe interesy ustroju i państwa, interesy narodu. We wszystkich innych sprawach staramy się działać w interesie środowiska literackiego jako całości. Przeciwstawiamy się też nadmiernie ostrym propozycjom rozwiązań w przekonaniu, że literatura sama w sobie nie jest bronią o zasięgu taktycznym, nie jest sferą bezpośredniej propagandy, jak np. dziennikarstwo, ma bowiem inne, długofalowe zadania, inną specyfikę oddziaływania dzięki artystycznym środkom wyrazu. Dążymy do tego, żeby literatura polska w tej konfliktowej sytuacji poniosła możliwie jak najmniejsze straty, po tylu już stratach w przeszłości poniesionych.

Józef Lenart

Foto: M. Zajdler

— Jak pan widzi szansę reaktywacji Związku Literatów Polskich?

— Dopóki to będzie możliwe, dopóty będziemy podtrzymywali stanowisko, że Związek należy chronić jako wspólne dobro i wspólny dorobek wielu pokoleń pisarzy o różnych orientacjach światopoglądowych, a walkę o to prowadzimy nie z władzą, lecz z tymi ludźmi, którzy ciągle jeszcze nie rozumieją, że swoją polityczną działalnością narazili na szwank najistotniejsze interesy polskiej zbiorowości literackiej, a przez to i kultury.

— Wracając do platformy IX Zjazdu. Czy jego otwarty i konstruktywny program nie jest dostatecznie znany środowisku literackiemu, czy też panuje nieufność do wiarygodności posunięć podejmowanych w imię Zjazdu?

— Materiały zjazdowe nie zostały dostatecznie przyswojone przez środowisko literackie, jak i bodaj przez całą partię. Nie było na to czasu, bo przypomnijmy sobie, że sam demokratyczny wybór robotniczo-chłopsko-żołnierskiego Komitetu Centralnego, który otwierał szeroko szanse porozumienia narodowego, spotkał się, właśnie z tej przyczyny, z wściekłą, nie przebierającą w środkach kampanią propagandową opozycji antysocjalistycznej, również w środowiskach twórczych. Najwidoczniej więc chodziło o zamazanie w świadomości społeczeństwa faktu, że Zjazd stanowi istotny krok na drodze rozwoju demokracji socjalistycznej. Chciano wymowę tego faktu przygłuszyć, ponieważ chodziło nie o socjalistyczną demokrację, lecz o obalenie socjalistycznej władzy. Dotarcie do wszystkich z uchwałami Zjazdu jest obecnie naszym głównym zadaniem. Właśnie przygotowujemy zebranie partyjne zapraszając bezpartyjnych kolegów — pisarzy do udziału w nim. Jestem przekonany, że z każdym, kto zechce ustosunkować się do naszych poczynań rzetelnie i otwarcie potrafimy znaleźć język porozumienia.

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

Kronika kulturalna

W Klubie Młodych Pisarzy „Wiadukt" odbył się w miniony piątek kolejny warsztat literacki. Jednocześnie z odbywającym się warsztatem Klub ogłosił turniej jednego wiersza o nagrodę Komisji Kultury Zarządu Łódzkiego ZSMP. Turniej odbędzie się 30 czerwca w kawiarni „Pałacyk". Warunkiem uczestnictwa jest odczytanie swojego wiersza i złożenie go do jury konkursu. Tego samego dnia w „Pałacyku" spotkać się będzie można z pisarzem Władysławem Huzikiem. Tematem spotkania będzie jego najnowsza książka „Dworska szkoła jazdy".

---

22 czerwca, w Teatrze Wielkim, odbyło się setne przedstawienie **„Strasznego Dworu"** Stanisława Moniuszki. Premiera tego spektaklu miała miejsce w 1978 roku.. Realizatorami byli Roman Wodiczko (kierownictwo muzyczne), S. Żerdzicki (reżyseria), L. Jankowska (scenografia), Z. Kiliński (choreografia). W jubileuszowym setnym przedstawieniu wystąpili: M. Szczucka-Kudanowska, U. Jankowiak, J. Mirecka, K. Rosińska, T. Gawronski, G. Jadczak, T Kopacki, Z. Krzywicki, S. Michoński, J. Rynkiewicz. Dyrygował: T. Kozłowski

Warto przypomnieć, że liczbę stu przedstawień w łódzkim Teatrze Wielkim osiągnęły: „Kniaź Igor", „Aida", „Madame Butterfly", „Baron cygański".

Teatr „Stu Krzeseł" wystąpił z nową premierą. Tym razem jest to przedstawienie sztuki Tomasza Łubieńskiego pt. **„Ćwiczenia z aniołem"**. Akcja sztuki oparta jest na kanwie przeżyć młodych małżonków. Żonę gra **Barbara Kacprzak**, a męża **Zbigniew Szostek**. Spektakl przygotowała i reżyserowała **Krystyna Henczowa**.

Teatr „Arlekin" zaprezentował najmłodszej widowni premierę przedstawienia **„Marcin — Zuch" — Henryka Ryla**. Akcja toczy się jakby w dwu płaszczyznach — realistycznej i baśniowej, która się wytwarza pod wpływem kontaktu bohatera ze zwierzętami. Spektakl reżyserował autor, **Henryk Ryl**. Scenografię przygotował Ali Bunsch.

Za kilka dni ukaże się w kioskach nowy tygodnik **„Twórczość Robotnicza"**, który jest organem Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury. W zespole redakcyjnym, obok kilku zawodowych dziennikarzy, znalazło się kilkunastu robotników.

W dniach 2—4 lipca, w Kazimierzu trwać będzie XVI Ogólnopolski Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych. Zjadą się do Kazimierza najlepsze w kraju zespoły śpiewacze kapele i muzycy grający na różnych instrumentach.

Podczas festiwalu odbędą się także dwie specjalne imprezy dla dzieci. W konkursie „Duży-Mały" startować będą najmłodsi, stawiający pierwsze kroki w grze na tradycyjnych instrumentach ludowych i próbujący śpiewać regionalne przyśpiewki. Na imprezie „Bosa Nóżka" spotkają się natomiast dzieci uczące się wykonywać proste ludowe instrumenty muzyczne — oczywiście pod okiem doświadczonych mistrzów.

Podczas festiwalu przewidziany jest również wieczór gawęd i poezji. Nie zabraknie także tradycyjnych już Targów Sztuki Ludowej.

22-letnia polska pianistka, Joanna Domańska, zajęła pierwsze miejsce na Międzynarodowym Konkursie Muzyki Brahmsa we włoskim mieście Terni. Uczestniczyło w tym konkursie 75 pianistów z 27 krajów

Po ogłoszeniu wyników konkursu Joanna Domańska wystąpiła na zaproszenie telewizji włoskiej z recitalem na rzymskim Foro Italico.

W warszawskim Teatrze Adekwatnym przygotowano adaptację sceniczną powieści Jerzego Andrzejewskiego **„Ciemności kryją ziemię"**. Tego zadania podjął się z dobrym skutkiem Wojciech Feliksiak. Spektakl reżyserowała **Magda Teresa Wójcik**. Scenografie przygotowali: **Joanna i Zygmunt Zaradkiewiczowie**. W rolach głównych — **Henryk Boukołowski i Z. Parachimowicz**.

We Włoszakowicach przed kilkoma dniami zakończył się **Ogólnopolski Konkurs Młodych Instrumentalistów**. W tym roku była to już 15-ta edycja Konkursu. Konkursowi patronuje Towarzystwo Muzyczne im. Karola Kurpińskiego w Lesznie.

---

19 czerwca zmarła w wieku 64 lat wybitna aktorka i reżyser teatralny — **Lidia Zamkow**. Kilka lat temu reżyserowała w łódzkim Teatrze Powszechnym sztukę **„Lot nad kukułczym gniazdem"**.

Z inicjatywy poznańskiego Muzeum Historii Ruchu Robotniczego powstaje Muzeum „Armii Poznań 1939". Mieścić się ono będzie w Cytadeli Poznańskiej, w obiekcie „Mała Śluza". Już 1 września br otwarta tam zostanie stała ekspozycja — „Armia Poznań 1939" Wystawa zorganizowana będzie pod patronatem Społecznego Komitetu Budowy Pomnika „Armia Poznań 1939".

Skierniewickie Biuro Wystaw Artystycznych zorganizowało poplenerową wystawę obrazów artystów z regionów: łódzkiego, warszawskiego i skierniewickiego o tematyce przyrodniczej.

Na przełomie czerwca i lipca trwać będzie kolejny, siódmy już wojewódzki plener malarski we wsi Wycześniak Tematem pleneru będzie 100-lecie ruchu robotniczego w Polsce oraz „Portret województwa". Wezmą w nim udział także plastycy z NRD.

Z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka zorganizowano także konkurs plastyczny dla dzieci Mali twórcy zaprezentowali na nim m.in. projekt plakatu — znaczka, poświęconego Mistrzostwom Świata w Piłce Nożnej w Hiszpanii.

BWA podjęło również działalność popularyzującą współczesną sztukę wśród młodzieży szkolnej. Materiały poglądowe z historii sztuki udostępnia się wszystkim szkołom w Skierniewicach, a od września rozpocznie działalność studium wiedzy o sztuce przeznaczone dla wszystkich szkół regionu. Studium prowadzić będą specjaliści z Muzeum Sztuki Współczesnej w Łodzi.

---

19 czerwca, na scenie Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach rozpoczęła się **XX Śląska Wiosna Teatralna**. Udział w Wiośnie zgłosiło 6 zespołów. Widzowie, nie tylko z Katowic, ale także innych miast, co jest nowością tegorocznej Wiosny będą mogli obejrzeć „Szewców" Stanisława Ignacego Witkiewicza, „Pieszo" Sławomira Mrożka, „Cyda" Corneille'a, „Krewniaków" Michała Bałuckiego, „Klątwę" i „Sędziów" Stanisława Wyspiańskiego oraz „Moralność pani Dulskiej" Gabrieli Zapolskiej. Nowością tegorocznej Wiosny jest także wprowadzenie widowisk muzycznych i spektakli dla dzieci.

„Dyrekcja Teatru im. S. Jaracza zaprasza na premierę komedii Gabora Dregely pt. **„Panna Lili i jej dwaj mężowie"** w reż Ewy Gilewskiej, scenografii Ewy Mikulskiej choreografii Janiny Niesobskiej i z muzyką Piotra Hertla.

Ta salonowa komedia, pełna tańców i znakomitej muzyki opowiada o perypetiach posła Tannera, którego przyjaciel żeni się z tytułową panną Lili, podszywając się pod owego posła jako że sam jest już związany węzłami małżeńskimi z inną kobietą. Co wynika z tego zabawnego qui pro quo — o tym na Scenie 7 15 W spektaklu udział biorą: H. Bieluszko, E. Kalita A. Krawczykówna, B. Pawelec, K. Sammler, A. Kierc, A Herder, K. Iwański, M. Małek, Z Urbański. Serdecznie zapraszamy."

Nieprawda, że nie... czyli „Fidelio" w Teatrze Wielkim

Ten pomysł niewielu tylko osobom wydawał się słuszny. „FIDELIO...? W Łodzi...?!! To przecież nie dla niej!!!". Znakom zapytania, dwuznacznym wykrzyknikom zdumienia i wieloznacznym wielokropkom wątpliwości nie było końca. Wątpliwości tych nie rozstrzygnęła premiera, bowiem zasadność tej właśnie repertuarowej decyzji oceni — przychodząc, bądź nie przychodząc na „Fidelia" zaprezentowanego przez Teatr Wielki — łódzka publiczność. Ilekroć o niej myślę, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że bez najmniejszych z jej strony objawów akceptacji takich działań, nazbyt często bywa ona poddawana zabiegom przypominającym ubezwłasnowolnienie. Co nie jest dla Łodzi, a więc dla łódzkiej publiczności — to zdają się wiedzieć wszyscy, a suma tytułów sztuk i oper negowanych w przekonaniu o głębokiej znajomości jej upodobań i gustów układa się w szeroki wachlarz pozycji najwartościowszych artystycznie. Co natomiast jest „dla Łodzi", co składa się na „kanon sztuk dla polskiego Manchesteru" — odpowiedzi na to pytanie jak dotąd nie ma, najczęściej bowiem zastępują ją porozumiewawcze spojrzenia „wtajemniczonych", wiedzących i przekonanych.

Wobec „obiektywnie" i apriorycznie istniejącej choć przez nikogo nie werbalizowanej negacji ambitniejszych od „Barona cygańskiego" pomysłów repertuarowych, potwierdzenia ich słuszności Teatr Wielki postanowił szukać przez zastosowanie jednego z podstawowych praw logiki, przez negację negacji, w myśl zasady, że „nieprawda, że nie..."

Nieprawda, że nie... — powiedział Teatr Wielki i w dniu, w którym w słonecznej Hiszpanii nasza „jedenastka" rozgrywała swój drugi mecz, a więc w bardzo ostrej konkurencji, w warunkach rywalizacji prawdziwie i dosłownie sportowej, zgromadził na premierze „Fidelia" Ludwika van Beethovena taką liczbę widzów, że jego wielka sala wypełniła się do ostatniego miejsca.

Kolejny sezon artystyczny dobiega końca. Polskie teatry operowe zamykają go różnymi tytułami. Analiza ostatnich premier, a dziś, jak nigdy, ważny jest w niej również kontekst czasu historycznego, w jakim spektakle przygotowywane na zakończenie sezonu ujrzały światła ramp, pozwala stwierdzić, iż teatrom muzycznym mającym na podorędziu wygodny argument specyfiki uprawianego przez siebie gatunku, bynajmniej nie spieszno do podejmowania tematów i dyskusji wokół problemów najważniejszych i kwestii uniwersalnych, ponadczasowych, zawsze, a dziś szczególnie aktualnych. Na tym tle nasz Teatr Wielki odróżnia się zdecydowanie i bardzo dla siebie korzystnie. Gdy bowiem na stołecznej scenie operowej rozgrywa się „dramat rozdartej sukni" („Hrabina"), a gdzie indziej — perypetie chińskiej księżniczki („Turandot"), Łódź poszczycić się może wprowadzeniem na swoją operową scenę dzieła, które wspaniałą muzyką sławi wzajemną wierność, moc najszlachetniejszych ludzkich uczuć, zwycięstwo sprawiedliwości, sens walki o godność i wolność człowieka. Wielkim hołdem złożonym sile prawdziwego człowieczeństwa jest bowiem „Fidelio" Ludwika van Beethovena.

„Fidelio" rzadko pojawia się na operowych scenach. To monumentalne dzieło, jedyna opera w wielkim dorobku kompozytorskim Beethovena nie jest niestety wolne od słabości. Te zaś spowodował niewątpliwy i bezdyskusyjny brak zmysłu teatralnego wielkiego twórcy. Odkrycie tej szczególnej ułomności twórczej Beethovena, ułomności, która bolesnym dla teatru piętnem odbiła się na kształcie kompozytorskim „Fidelia", nie jest kwestią ostatnich lat. Ze swoją słabością warsztatu twórcy operowego borykał się sam Beethoven i ona właśnie stała się jedną z przyczyn pierwszych niepowodzeń pierwszych inscenizacji tego dzieła.

Wzajmnie uzupełniającym się tworzywom muzycznego dzieła teatralnego Beethoven odebrał ich odmienność oraz ich odmienne, własne i indywidualne prawa, jakimi rządzą się by we wzajemnej ze sobą symbiozie osiągnąć organiczną spójność, tę specyficzną dla teatru, w tym także teatru operowego jedność w wielości. Siła wewnętrznego przeżycia kazała kompozytorowi głos ludzki uczynić elementem wyrazu muzycznego, a więc tego środka ekspresji, który był najbardziej podatny jego artystycznej woli i ludzkiej emocji. Głos śpiewaka stał się więc w „Fideliu" jednym z instrumentów mającym wespół z innymi wyrazić wszystko, co barwą i siłą „czystego" dźwięku wyrazić pragnął kompozytor w sposób i za pomocą środków jakimi wyrażał się w ogóle. Brak zmysłu dramatycznego i takiego właśnie instrumentalnego traktowania głosu ludzkiego egzemplifikuje wspaniały skądinąd i niezwykle kunsztownie skomponowany, zachwycający muzycznie kanon z pierwszego aktu, w którym cztery tak odmienne, że wzajemnie wykluczające się uczucia wyrażane są przez występujące w tej scenie postacie synchronicznie, czterema różnymi głosami w tej samej melodii. Instrumentacją nadrzędnej idei dramatycznej można by nazwać całość dzieła, jakim jest „Fidelio". Pierwszeństwo, a właściwie absolutną wyłączność ma tu dźwięk, brzmienie, linia melodyczna i harmonia. Czasem odnosi się wrażenie, że poszczególne fragmenty orkiestrowe i wokalne można by pozamieniać bez uszczerbku dla pełni dramatycznego wyrazu, dla przekazania myśli i idei. Wszystko to nie umniejsza jednak rozmiarów, wagi i wielkości dzieła. Ze swoimi „teatralnymi" czy raczej „ateatralnymi" ułomnościami pozostaje „Fidelio" dziełem wielkim, znaczącym i godnym poznania.

Wielkość Beethovena osiągnięta arcydziełami symfonicznymi każe do jedynego w jego dorobku dzieła operowego podchodzić ze szczególną troską. Wymaga ono pietyzmu, dbałości i wielkiej delikatności. Nazwisko i zasługi twórcy zobowiązują inscenizatorów „Fidelia" (a nazywał go Beethoven swoim „ulubionym dzieckiem") do takiej pracy nad dziełem, do takich wokół niego zabiegów, by z wielu słabości tej opery uczynić jej siłę. Nie chcę przez to powiedzieć, że Beethovenowi trzeba pomagać czy tuszować błędy. Trzeba natomiast eksponować niezaprzeczalne wartości artystyczne „Fidelia", jego niezwykłe piękno i siłę zapisaną w partyturze.

Teatr Wielki zrobił dużo dla zaprezentowania „Fidelia" w pełni i urodzie jego artystycznego wyrazu. TADEUSZ KOZŁOWSKI sprawujący kierownictwo muzyczne spektaklu starał się pokazać melomanom całe piękno muzyki Beethovena. Sprawnie poprowadził on orkiestrę starając się zachować niezbędne dla pełnego odbioru dzieła proporcje siły brzmienia sceny i orkiestry. Melomanom szczególnie podobać się mogła precyzja kwintetu. Wątpliwa i niesłuszna wydaje mi się natomiast podjęta przez Tadeusza Kozłowskiego decyzja o rezygnacji z „Leonory" — słynnej uwertury poprzedzającej drugą odsłonę drugiego aktu. Dla melomanów jest ona szczególnie cenna i nie ma żadnych podstaw, by zubażać dzieło o jego tak znakomitą i organicznie z nim związaną część.

Spośród występujących na scenie solistów palmę pierwszeństwa przyznałabym ZDZISŁAWOWI KRZYWICKIEMU (Rocco), doprawdy bez zarzutu wywiązującemu się z trudnego zadania wokalnego i aktorskiego. Interesującą postać stworzył WŁADYSŁAW MALCZEWSKI, lecz słabiej niż zwykle zdawał się być dysponowany wokalnie. Podobnymi słowami wypadałoby mi określić tak zawsze zachwycającą TERESĘ MAY-CZYŻOWSKĄ. Ta wielka śpiewaczka i wspaniała aktorka przyzwyczaiła nas już do kreacji tak wybitnych, że najmniejsza skaza na tworzonych przez nią wielkich portretach wokalnych i aktorskich (a Leonora — miała kilka drobnych potknięć intonacyjnych) jest jeśli nie bardziej widoczna, to bardziej niż u innych zaskakująca, aż niewiarygodna, więc w tym przypadku tłumaczę ją premierową tremą. Poprawny, choć nie pozostawiający szczególnego wrażenia wydał mi się gościnny występ w roli Marceliny DANUTY PAZIUKÓWNY. Wyjątkowe natomiast wrażenie, tyle, że negatywne wywarł na mnie JANUSZ ZIPSER. Wielka aria Florestana była w jego wykonaniu popisem braku i umiejętności operowania pozbawionym głębi i nośności głosem, braku czystości intonacyjnej, braku umiejętności aktorskich i takiego braku dykcji, że przyprawiał on słuchacza o niemiłe uczucie zażenowania. W niewielkiej partii Don Fernanda z powodzeniem wystąpił JERZY JADCZAK.

WOLFGANG WEIT, reżyser spektaklu, zrealizował przedstawienie według jasnej, prostej i czytelnej koncepcji. Znakomite w jego inscenizacji sceny zbiorowe nabrały szczególnego dramatyzmu i za opracowanie tych właśnie scen należą się reżyserowi wyrazy szczególnego uznania. Zaproponowana przez niego kompozycja tych scen uczyniła ich muzyczną i dramatyczną (mimo ich wielkiego napięcia emocjonalnego) statyczność walorem w tym widowisku najważniejszym, pozwoliła bowiem królować muzyce Beethovena. Wokalne przygotowanie chóru jest dziełem Henryka Karpińskiego. Jadwiga Jarosiewicz autorka scenografii nadała przedstawieniu bardzo interesujący wyraz plastyczny. Dekoracje i kostiumy przez nią zaprojektowane, są nie tylko wprost charakteryzujące, ale wydają się być symbolami spraw, problemów i postaw ponadczasowych. Nie ma tu aktualizacji, jest natomiast wzbogacająca ideę tego spektaklu uniwersalizacja i monumentalizacja służąca, jak sądzę, zintensyfikowaniu wyrazu dramatycznego.

„Fidelio" w Teatrze Wielkim w Łodzi jest spektaklem interesującym. Miejscami kontrowersyjnym. Jednak niepodzielnie króluje w nim muzyka Beethovena. Ona jest najważniejsza. Z niej narodziło się wszystko inne. Jest wielka tak jak sprawy, które wyraża. Jak sprawy, które od wieków pozostają i na wieki pozostaną w centrum zainteresowania każdego widza i każdego słuchacza. Nieprawda, że nie...

EWA PANKIEWICZ

„Fidelio" Ludwiga van Beethovena, akt II, scena I.
Soliści: Włodzimierz Malczewski (Pizzarro), Zbigniew Krzywicki (Rocco) i Janusz Lipser (Florestan).

Foto: Chwalisław Zieliński

Belfrowanie w dobrym stylu

NA MARGINESACH WIELKIEJ SZTUKI

— „Człowiek, który umie obcować ze sztuką, chce ją poznawać i rozumieć jest piękniejszy wewnętrznie. Nie każdy wynosi takie potrzeby i umiejętności z rodzinnego domu. Musi więc je wykształcić szkoła, jeżeli chcemy mieć społeczeństwo światłe, świadome i wrażliwe".

Zanotowałam te słowa podczas rozmowy z Pawłem MARKOWSKIM. Jest to chyba najkrótsza i zarazem najpełniejsza charakterystyka tego od 1957 roku nauczyciela (pedagogika — to pierwsza miłość), od 1971 roku absolwenta (dyplom z wyróżnieniem) Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, zaś dziś — nie wiem — bardziej aktywnego artysty, czy też pełnego pomysłów i poświęcenia pedagoga, nie tylko dla młodych, ale i dla swoich kolegów, nauczycieli plastyki, którzy przygotowania artystycznego nie mają.

Na poparcie moich wątpliwości mogłabym przytoczyć tu spis wystaw i imprez plastycznych, w których Markowski brał udział z jednej strony, a z drugiej — wykaz nagród, odznaczeń i wyróżnień jakimi niemal rokrocznie honorują go na równi resort oświaty i resort kultury. Lista ta jednak byłaby bardzo długa, kilkadziesiąt pozycji co najmniej, przez to więc dla czytelnika trochę może nużąca. A zresztą, co najważniejsze, w sumie niewiele wnosząca do charakterystyki tej niepowszedniej — nie tylko w środowisku łódzkim — postaci. Bowiem wszelkie uhonorowania są w tym przypadku jedynie świadectwem zauważania faktów, które i tak by zaistniały, może jedynie w odrobinę mniejszym wymiarze.

Pedagogiczne doświadczenie i obserwacje wyniesione z wieloletniej pracy w średnim szkolnictwie zawodowym oraz z działalności wśród nauczycieli znajdują odbicie w konsultowaniu i recenzowaniu — w części dotyczące nauczania plastyki, programu dla liceów poligraficznych; w opracowaniu jednego z rozdziałów w broszurce p.t. *„Materiały pomocnicze dla nauczycieli klas początkowych". Czy — wreszcie — w samodzielnej pracy — „Dekoracje stałe i okolicznościowe w szkole — poradnik dla nauczycieli"*. Pod tym suchym i dla niektórych być może mało zachęcającym tytułem kryje się wcale niebagatelny problem kształtowania otoczenia w jakim pracuje uczeń. Bo — jak pisze Markowski w zakończeniu tej niewielkiej książeczki — *„zadanie kształtowania upodobań artystycznych i estetycznych w szkole spełnia nie tylko dobry program, dobry nauczyciel, dobrze poprowadzona lekcja, ale również odpowiednio zorganizowane środowisko szkolne, (...) również funkcjonalność pomieszczeń, ich ład i estetyka, (...) Oddziaływanie całego środowiska szkolnego stwarza przyzwyczajenia, nawyki, kształtuje kulturę młodzieży, dobry smak, wdraża do dobrej organizacji pracy".*

Niedawno na tych łamach (Odgłosy nr 9) przedstawiałam Stanisława Czajkę, również malarza, grafika i pedagoga. Nasuwają się więc porównania. U Czajki dominują działania na rzecz przełamania niewiary w twórcze możliwości przeciętnego zjadacza chleba, zachęcenia go do samodzielnego działania (*„W końcu wszyscy wielcy z początków sztuki nowoczesnej dochodzili do swych doświadczeń osobistą pracą, byli w gruncie rzeczy samoukami. Cała ta sztuka była głównie amatorska. Każdy więc może próbować to robić"*). Markowski zaś powiada: *„— nawyk obcowania ze sztuką musi wykształcić szkoła".*

Wydaje się, że obaj panowie reprezentują sprzeczne postawy pedagogiczne. Jeden stara się oddziaływać bezpośrednio na ucznia, drugi nie stroni od działań pośrednich poprzez nauczycieli; sprzeczność okazuje się pozorna, bo cel działań jest wspólny — pobudzenie twórczej aktywności jak najliczniejszych rzesz młodzieży. Takie postawy raczej się więc wzajemnie uzupełniają, niż sobie przeczą.

Paweł Markowski uważa, że im więcej będzie dobrych nauczycieli, tym szybciej proces doskonalenia się społeczeństwa będzie przebiegał, tym szybciej — że użyję zwrotu zanotowanego w rozmowie ze Stanisławem Czajką — uda się przeorać społeczną świadomość.

A gra idzie o dużą stawkę, o to aby właśnie owa społeczna świadomość szybciej zdążała za przemianami cywilizacyjnymi, aby społeczeństwo rozwijało się harmonijnie.

Czajkę zniechęca trochę ociężałość systemu oświatowego, stąd jego zwrot bezpośrednio ku potencjalnym miłośnikom sztuki; Markowski — i tu właśnie jest przeciwieństwo postaw — system oświatowy traktuje jako oręż, który koniecznie dla rozbudzania kulturalnych aspiracji młodzieży należy wykorzystać. Tę tezę popiera obserwacjami z pracy w szkołach, gdzie plastyka jest jedynie przedmiotem nieobowiązkowym, prowadzonym podczas zajęć świetlicowych, czy w kołach zainteresowań oraz w szkołach, gdzie jest to przedmiot ujęty programem nauczania.

„— Uważam, że chociażby jedna lekcja w tygodniu jest niezbędna. Ta skromna ilość, ale w systematycznym układzie już wystarczy jako punkt wyjścia do szerszych działań, pobudzania młodzieży do aktywności pozalekcyjnej. Gdyby od klas początkowych plastyka była przedmiotem właściwie prowadzonym, zwrot „ślepe społeczeństwo" straciłby sens. Dlatego właśnie nie tylko uczniom przekazuję swoją wiedzę i zamiłowania, a staram się dotrzeć również do nauczycieli, bo właśnie od nich bardzo wiele zależy".

Nauczyciel nie działa jednak w pojedynkę, pracuje w zespole i albo znajduje w nim wsparcie, zwłaszcza kierownictwa takiego zespołu, albo rozbija się o mur niezrozumienia. Nie każdy ma tak zdecydowaną wolę urzeczywistniania swoich poglądów, przekonywania do ich słuszności jak właśnie Markowski, a przecież i on skromniejszymi wynikami w pracy mógłby się zapewne wykazać, gdyby nie dyrektorzy szkół, w których pracuje. Zarówno Jan Dawidowski z Zespołu Szkół Energetycznych nr 1 im. Komisji Edukacji Narodowej jak i Mieczysław Chmiel — dyrektor Zespołu Szkół Papierniczych i Poligraficznych są współtwórcami pedagogicznych osiągnięć w tych placówkach. Bez ich zrozumienia i poparcia nie brałaby młodzież udziału w licznych konkursach krajowych i międzynarodowych, u energetyków nie byłoby wielu doskonale działających kół zainteresowań, nie odbywałyby się — jak to miało miejsce w latach siedemdziesiątych u poligrafów — wystawy organizowane przez Biuro Wystaw Artystycznych. Zaś bez tego wszystkiego młodzież nie dopominałaby się o wspólne odwiedzanie muzeów i pokazów plastycznych, nie chodziłaby do teatrów i na filmowe konfrontacje.

Pewnie, że bez tego wszystkiego można żyć, o ileż jednak mniej ciekawie.

Paweł Markowski jest przede wszystkim pedagogiem, ale nie można pominąć zupełnie jego działalności jako artysty. Udział w wystawach, nagrody i wyróżnienia — wspomniałam na początku, że lista tego jest długa — prace kupowane przez wiele muzeów i instytucji państwowych, liczne są też w zbiorach prywatnych.

Kilka miesięcy temu mieliśmy okazję poznać malarskie zainteresowania i dokonania tego artysty. Zbyt długi upłynął już czas od tej wystawy, aby dziś szczegółowo odwoływać się do pokazanych na niej prac. Warto jednak — jak sądzę — powtórzyć tutaj kilka uwag, jakie na temat twórczości Markowskiego napisał w katalogu jego wystawy Grzegorz Sztabiński: *„Obrazy Pawła Markowskiego, gdy są oglądane oddzielnie lub w małych zestawach, zdają się być rezultatem różnokierunkowych poszukiwań i decyzji, (...), (...) sądzę, że niezależnie od rezultatów ostatecznych jest w nich coś bardzo ważnego — uczciwość poszukiwań. (...) (Markowski) ze stanowczością próbuje znaleźć wspólny mianownik dla tego co jest mu bliskie. I tę postawę, to dążenie należy cenić i szanować".*

Markowski pedagogikę i twórczość stara się traktować równolegle i równorzędnie. Być może skupienie się na jednej dziedzinie dałoby rezultaty szybciej i w sposób bardziej dostrzegalny dla krytyków. Ale jest w tym właśnie owo małe zastrzeżenie: „być może". Sprawdzić bowiem tego się nie da. Równie dobrze mogłoby się okazać, iż malarz bez pedagoga istnieć w tym przypadku nie może. Jak też zresztą i odwrotnie.

K. NAMYSŁOWSKA

Paweł Markowski „Pejzaż z drzewem".

Foto: Marek Guz

W kręgu fantastyki

Amerykański pisarz Ray Bradbury jest bardzo popularny w Związku Radzieckim. Jego książki były ponad dwadzieścia razy wydawane po rosyjsku i w innych językach narodów ZSRR. Wiele jego opowiadań publikowały radzieckie czasopisma literackie.

Pisarz ukraiński Leonid Panasenko (ur. 1949 r.) nazywa Bradbury'ego jednym ze swoich najulubieńszych autorów.

Opowiadanie, które drukujemy, Panasenko poświęcił 60 rocznicy urodzin Raya Douglasa Bradbury'ego.

LEONID PANASENKO

Ślady na mokrym piasku

Przymilny głos producenta zaczynał złościć.

— Nie! — powiedział ostro Ray Douglas Bradbury. — Pański wariant jest nie do przyjęcie... Nie, nie jestem wrogiem samego siebie. Przeciwnie, dbam o swoją reputację...

Głos producenta oblepiał słuchawkę. Zrobiła się nagle oślizgła niczym żmija i znakomity pisarz zapragnął cisnąć ją precz.

— Przecież tu chodzi o drobny epizod, panie Bradbury — szeptała słuchawka.

— Niech pan sobie wyobrazi, że opowiadanie to dziecko, tak się często mówi — Bradbury z żalem zauważył, że zdenerwowanie psuje metaforę. — Taki jakiś pięcio-sześcioletni zdrowy brzdąc. Wszystko ma na swoim miejscu — ręce, nogi, zbudowany jest jak trzeba. Ten epizod to rączka ściskająca w piąstce nić charakteru. Dlaczego mam kaleczyć własne dziecko?... Niech pan pomyśli. Dobrze.

Pisarz wyprowadził rower na ścieżkę, szarpnął dzwonek. Delikatne, chłodne dźwięki niczym kropelki rosy zamigotały na dawno nie strzyżonym żywopłocie.

— Ech, zgińcie smutki! — wykrzyknął pisarz i oparłszy się o pedał — strzemię wskoczył na wyimaginowanego konia.

Radośnie zagwizdał wiatr. Szprychy zamigotały i rozpłynęły się w przestrzeni. Opony przylgnęły do ziemi.

Po jakichś trzystu metrach Ray zmniejszył tempo — nie, już nie da wzlecieć, nic z tego! A przecież bywało, że rozpędzał się na łące albo z górki, tej przy wyrobisku, rozpędzał się, zamykał oczy i jego nieważkie ciało wzbijało się razem z rowerem, rozwiewały się włosy... Bywało!

Gniew na producenta minął. To nawet niegłupi gość, ale strasznie natrętny. Czy raczej — dokuczliwy. O sile rozumu może ma on jakieś pojęcie, lecz co może wiedzieć o sile namiętności?

Rower, jak koń znający drogę do domu, przywiózł go nad rzekę. Ray często tu spacerował. Płaski brzeg, piasek — mokry i ciężki niczym złe wspomnienie, milkliwa woda. Takie to były poranki. Ale dzisiaj słońce chyba pomyliło w garderobie kostium — zamiast październikowego, podszytego mgłami, pajęczyną i chłodną rosą, włożyło lipcowy — i rzeka promieniowała zadowoleniem, szemrała coś łagodnego i niezrozumiałego. Na obu jej brzegach odsłonił się czysty horyzont, słychać było szelest spadających liści.

„A co ja wiem o namiętności? — pomyślał pisarz. — Widziałem w niej tylko pierwotną siłę. Cały świat, człowiek, wszystko, co żyje, to niewątpliwie przejawy namiętności. Co tu gadać: samo życie, to niewątpliwie przejawy namiętności. Co tu gadać: samo życie jako zjawisko — to namiętność przyrody. Ale jest też druga strona medalu... Tworzę wyimaginowane światy. To na pewno najdelikatniejsza materia namiętności. Lecz ja, niestety, spalam się. Jakie to głupie — namiętność, rodząc jedno, spala drugie. Prawo zachowywania namiętności..."

Pomyślał również, że po to, by rozwiać smutki, dobrze by było wyjechać. Gdziekolwiek. Jak najdalej.

Spojrzał na niebo. Niebo westchnęło i wzdłuż rzeki przeleciał szybki deszczyk.

— Douglas — ktoś zawołał go cicho.

Pisarz szybko rozejrzał się.

Pusto!

Brzeg jest nagi, a do lasu daleko. Zebrało się tam niezłe grono wiązów, dębów i klonów. W dzieciństwie chodził tam na dzikie winogrona. Była to namiętność do wszystkiego co niedojrzałe — do kwaśnych jabłek, zielonych poziomek...

— Niech pan chwilę zaczeka — poprosił go ten sam niewidzialny. — Zaraz wejdę w ciało.

Ray zauważył w końcu, że jakieś dziesięć kroków od niego, powietrze kołysze się dziwnie i drga, jak gdyby na jego oczach rodził się miraż.

W następnej sekundzie rozległo się niegłośne klaśnięcie i na brzegu pojawił się wysoki nieznajomy w czymś czarnym i długim podobnym do płaszcza. Mocno zapachniało ozonem.

— Nie uwiera? — życzliwie zapytał Bradbury. Uśmiechnął się. — Mam na myśli ciało.

— Przepraszam, mistrzu. Źle się wyraziłem. Ale to jest rzeczywiście moje ciało. — Nieznajomy podszedł do pisarza i wznosząc do góry ręce wykrzyknął radośnie. — Więc tak pan wygląda!

„A to co? — pomyślał Bradbury. — Mnich interesujący się fantastyką? Albo... Albo jestem po prostu przemęczony. Dużo pracowałem we wrześniu. A i październik był „gorący". Czyżby wyobraźnia tak się rozigrała?"

— Proszę się uspokoić — nieznajomy zatrzymał się. — Nie jest pan chory. Jestem tak samo realny jak pan. Proszę mi wybaczyć te zuchwałe słowa; nie przystoi mi uczyć pana, jak należy odnosić się do Cudu. Jeżeli chodzi o ubranie, to jest to peleryna ochronna. Macie tu bardzo wysoki stopień promieniowania. W domu czeka mnie gruntowna dezaktywacja.

Bradbury ochłonął z zaskoczenia.

— A skąd pan jest? — zapytał, przyglądając się uważnie nieznajomemu.

— Z daleka — odpowiedział nieznajomy — z dwa tysiące sześćset jedenastego roku. Jestem prezesem Stowarzyszenia Miłośników Bradbury'ego.. Przyjechałem do pana, mistrzu. Chciałbym też zaznaczyć, że mamy bardzo mało czasu.

— Bardzo mi przyjemnie! — zaśmiał się Ray Bradbury. — Spotkanie z czytelnikami? Wykład? Jestem gotów. — Zdziwiony pokręcił głową. — Dwa tysiące sześćset jedenasty... Czyżby mnie znali?

Teraz uśmiechnął się prezes.

— Czekają na pana we wszystkich Zamieszkałych Światach — wyjaśnił i jego blade policzki zaróżowiły się nieco. — To szczęśliwy traf, że możemy pana uratować. Chodźmy, Douglas. Przeżyje pan jeszcze minimum osiemdziesiąt — dziewięćdziesiąt lat i napisze mnóstwo wspaniałych książek. Tylko nasz świat może dać pańskiej piekielnej wyobraźni prawdziwą pożywkę. Będzie pan przerzucał słońca z ręki do ręki, niczym pieczone kartofle.

— O czym pan mówi? — zapytał pisarz zdławionym szeptem. — Odejść? Na zawsze? Zaraz? W biały dzień i przy zdrowych zmysłach?

— Pan nie jest już młody — powiedział posłaniec z przyszłości tonem łagodnej perswazji. — Wychował pan dzieci, osiągnął szczyt sławy. Nie ma pan już tu wobec nikogo żadnych zobowiązań. Jeśli nie obchodzi pana, to, że czekają na pana setki miliardów moich rodaków, to niechże pan choć raz pomyśli o sobie. Chodźmy, Douglas. Zostały nam dwadzieścia dwie minuty.

Niedzielny poranek, który zaczął się dla znakomitego pisarza od przykrej kłótni telefonicznej, rozbłysnął mu nagle całą wspaniałością barw, a skołowana myśl skręciła ku domowi:

„Jak to? A Margaret, córki, wnuki... Odejść to znaczy zaginąć. Bez wieści. To znaczy zniknąć, uciec, zdezerterować. Z drugiej strony to diabelnie interesujące. Przecież to, co mi się teraz zdarzyło, to *prawdziwe czary*. To wyzwanie mojej *namiętności*, mojej sztuce i talentowi. Im jest potrzebny *czarodziej*. Czyż mam prawo odrzucić wyzwanie? A co będzie, jeżeli je przyjmę? Przecież jestem tylko formą, którą lepiej czy gorzej wypełnił świat. Już wypełnił".

— Czy konieczny jest taki pośpiech? — zapytał z niezadowoleniem. — W każdym razie muszę pożegnać się z rodziną.

Douglas całkiem stracił głowę, myśli mu się plątały.

— Wykluczone! — Prezes Stowarzyszenia Miłośników Bradbury'ego rozłożył ręce. Na jego twarzy odmalowało się szczere zmartwienie. — Zostało dwadzieścia minut.

— Ale dlaczego, dlaczego?

— Czas okazał się rzeczą bardziej skomplikowaną, niż sądziliśmy, proszę pana. Masa związków przyczynowo-skutkowych, ślepe uliczki historii... Są stulecia całkiem zakazane. Jest tam taka delikatna koronka, że boimy się jej nawet dotykać. Proszę mi wierzyć, że gdyby istniała taka możliwość, uratowalibyśmy wszystkie złote umysły wszystkich epok i narodów. Niestety, poza nielicznymi wyjątkami jest to niemożliwe.

— I akurat ja jestem tym wyjątkiem — posępnie dokończył

— Tak. I bardzo nas to cieszy. Lecz tunel czasowy jest tylko jeden i utrzymać się może najwyżej trzydzieści siedem minut.

— A kogo już uratowaliście?

— Z ludzi bliskich panu duchem Thomasa Wolfe'a — odpowiedział prezes Stowarzyszenia i westchnął. — Ale spotkało nas niepowodzenie. Wrócił. Dała się we znaki niedoskonałość aparatury...

— Thomas? — krzyknął Ray. — Przecież to geniusz. Strasznie bym chciał go zobaczyć. No, tak, zapomniałem...

Wzburzony pisarz chwycił przybysza za rękę.

— Teraz zrozumiałem — wymamrotał uśmiechając się — wszystko zrozumiałem. Ostatni list Wolfe'a ze szpitala w Seattle na miesiąc przed śmiercią. Jak tam było? Aha, tak... „Odbyłem długą podróż, przebywałem w zadziwiającym kraju i z bardzo bliska widziałem czarnego człowieka (to znaczy pana) ... Czuję się tak, jakbym przez szerokie okno spojrzał na życie, którego nie znałem nigdy przedtem..." (Biedny! Z pewnością spodobało mu się u was.)

— Mistrzu! — Błagalnie powiedział człowiek w czarnej pelerynie. — Teraz nie czas na żarty. Proszę się w końcu zdecydować. Cztery minuty.

— Nie, co pan — Bradbury schylił się i uchwycił kierownicę roweru. Uśmiechnął się chytrze. — Gdybym mógł się pożegnać, ale tak... Potajemnie... Za nic!

— Uwielbiamy pana — powiedział Bladolicy i poszedł tam, gdzie powietrze kołysało się i drgało. — Będzie pan żałował, Douglas.

— Chwileczkę! — zawołał pisarz. — Człowiek jest jednak słaby. Nie chcę żałować! Proszę mi znieczulić pamięć, przecież pan to potrafi. Proszę mi odebrać przynajmniej wrażenie realności wydarzeń.

— Żegnaj mistrzu — przybysz dotknął swoją gorącą dłonią Raya Douglasa i zniknął.

Pisarz szarpnął dzwonek roweru. Srebrzyste dźwięki rozsypały się po więdłej rzadkiej trawie jak kropelki rtęci. Bradbury drgnął i rozejrzał się dookoła:

„Co się ze mną działo? Jakaś prostracja. I głowa mnie trochę boli. Dużo dzisiaj myślałem o Wolfie. I chyba z kimś rozmawiałem. A może mi się tylko zdawało? Na brzegu nie ma przecież żywej duszy. Ale te ślady..."

Na mokrym piasku rzeczywiście widniały dwa wyraźne łańcuszki śladów.

„No, dobrze, to nie jest najważniejsze — pomyślał pisarz. — Grunt, że temat o Wolfie jest dobry... Zabierają go w przyszłość na godzinę przed śmiercią... Dają mu tam sto, dwieście lat życia. Tylko pisz, tylko śpiewaj! Nie, to niewyobrażalne, zbyt hojne, utonie w oceanie czasu. Sprężyć! Maksymalnie, Jeszcze trochę, jeszcze... Miesiąc! Najwyżej dwa. Wystarczyło tego na wszystko. Leci na Marsa. I pisze, dyktuje swoją najlepszą książkę. A później wraca do Baltimore, do szpitala. Do grobu... Ale czym wytłumaczyć jego powrót — koniecznością czy chęcią?... Napiszę opowiadanie. Nazwę je „Zagadkowy list". Albo „Rok rakiety"... Albo jeszcze inaczej: — „O tułaczkach wiecznych i o Ziemi".

PRZEŁOŻYŁA
IWONA STANKIEWICZ

Szczególne czasy

On pierwszy z pisarzy—fantastów całego świata wpadł na świetny pomysł napisania o tych, których lubił, od których się uczył. W ten sposób powstał cykl Raya Bradbury'ego o Vernie, Hemingwayu, Thomasie Wolfie.

A ja napisałem opowiadanie o nim — dobrym czarodzieju, magu słowa, człowieku, którego dziennikarze nazywają „sumieniem Ameryki". Kiedy „Ślady na mokrym piasku" ukazały się w języku rosyjskim w piśmie „Iskatiel", nadeszła od Bradbury'ego pocztówka z podziękowaniem. Później, z okazji sześćdziesięciolecia wielkiego fantasty, angielskie wydanie „Literatury Radzieckiej" wydrukowało „Ślady" (nr 8, 1980). I oto list z Los Angeles...

Z ilustracji do utworów Bradbury'ego.

11 października 1980

Drogi Leonidzie Panasenko!

Tym krótkim listem potwierdzam odbiór Pańskiego listu oraz paczki z kilkoma egzemplarzami pisma, które zastałem, wróciwszy w tym tygodniu z 9-tygodniowej podróży do Londynu i Paryża. Jestem Panu wdzięczny za przyjaźń, jaką Pan dla mnie żywi mimo dzielącej nas wielkiej odległości, i ogromnie mi się podoba nadesłane przez Pana urocze opowiadanie, które Pan napisał na moje sześćdziesięciolecie. To wspaniale! Cudownie! Życzę Panu sukcesów we wszystkich dalszych latach Pańskiego życia, miłości, pracy. Bardzo bym pragnął, aby nasze kraje przyjaźniły się tak samo jak my dwaj, co Pan na to? Dwie ręce połączone mocnym uściskiem dłoni, dwie ręce połączone miłością do Wszechświata w jego Szczególnym Czasie.

Załączam serdeczne życzenia sukcesów we wszystkich Pańskich poczynaniach.

RAY BRADBURY

Jest to oczywiście list jak najbardziej prywatny, ale w końcowym zdaniu Raya Bradbury'ego, w jego wzmiance o „Szczególnym Czasie" widzę wyraźnie to, co absorbuje obecnie wszystkich uczciwych ludzi na Ziemi — troskę o naszą przyszłość, niezgodę na jakiekolwiek przejawy militaryzmu i hegemonizmu. Mnie też niepokoi kwestia: jaki świat pozostawię w spadku memu synowi? A skoro martwimy się o to samo, to znaczy, że przybyło nam cokolwiek wzajemnego zrozumienia. Zrobiło się cieplej. Może wszystkiego o jedną tysięczną stopnia, ale cieplej.

W tych dniach posłałem do USA nowy tom fantastyki naukowej „Ogrodnicy Słońca", do którego włączono również „Ślady". Niechaj będą one dowodem tego, że my w Związku Radzieckim szczerze lubimy uczciwych pisarzy i spodziewamy się wzajemności z ich strony.

Ściskam Twą dłoń ponad oceanem, drogi przyjacielu i mistrzu!

LEONID PANASENKO

(Przedruk za „Literaturą radziecką" — nr 1 1982)

Wacław Kondek. Litografia 1967

NIESAMOWITOŚĆ I SENSACJA

Redakcja łomżyńskiego tygodnika społecznego „Kontakty" i Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza ogłaszają otwarty konkurs na opowiadanie o tematyce sensacyjnej, kryminalnej niesamowitej i demonicznej.

Tekst nie może przekraczać 8 stron znormalizowanego maszynopisu (1 strona = 30 linijek po 60 znaków pisarskich). Nie publikowane prace w 5 egzemplarzach opatrzone godłem, z kopertą zawierającą nazwisko i adres autora nadsyłać należy do końca września 1982 roku pod adresem redakcji: 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7.

Jednocześnie ogłaszamy konkurs otwarty na grafikę lub zestaw rysunków o takiej samej tematyce. Prace w formacie A-4 lub mniejszym odpowiednio zabezpieczone, opatrzone godłem, z kopertą zawierającą nazwisko i adres, należy nadsyłać także do 30 września 1982 roku.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do 31 grudnia 1982 r.

NAGRODY

W KONKURSIE LITERACKIM:
I — 20 000 zł II — 10 000 zł III — 5.000 zł oraz nagroda w wysokości 10.000 zł Prezydenta Łomży za motyw łomżyński.

W KONKURSIE PLASTYCZNYM:
I — 10 000 zł II — 5.000 zł III — 3.000 zł oraz w obydwu konkursach po 5 wyróżnień w wysokości 1.000 zł.

Organizatorzy konkursu zastrzegają sobie prawo pierwszeństwa publikacji utworów nagrodzonych i zakwalifikowanych do druku oraz innego podziału nagród.

Nadesłanych prac nie zwracamy.

Odgłosy Mundialu

Piosenki „z okazji" czyli za czym nie przepadam?

Coś jednak musi mieć w sobie ta piłka nożna, skoro w czasie trwania meczu naszej narodowej reprezentacji na piłkarskich mistrzostwach świata w Hiszpanii pustoszeją ulice, zamiera ruch, a do lokali gastronomicznych wstawiać trzeba odbiorniki telewizyjne, by zatrzymać tam gości. Przyznam się, że i ja jestem zwolennikiem tej dyscypliny sportu, a chociaż trudno byłoby określić mnie mianem zaprzysięgłego kibica, to jednak z zainteresowaniem oglądam wszystkie transmitowane przez Telewizję Polską mecze tegorocznego „Mundialu", bo po prostą tę „kopaną" lubię. To z pozoru błahe zastrzeżenie nabierze może ważności w dalszej części materiału, który dzisiaj — na zasadzie odskoczni od dotychczasowych rozważań i na fali „mundialowego" szaleństwa — chciałbym poświęcić tematowi przez „Mundial 82" sprokurowanemu.

Bo oto nie poruszałem dotąd sprawy utworów, ściślej mówiąc — piosenek, poświęconych nie tylko pewnemu zdarzeniu z rzeczywistości, ale także pisanych specjalnie na tę okazję. Oczywiście, pod dostatkiem mamy na co dzień różnych okazji, które warto powitać lub uwiecznić w piosence. Takim właśnie utworom poświęcona była emitowana bodaj do ubiegłego roku na antenie Polskiego Radia audycja „Piosenka faktu" przygotowywana przez znanego autora przebojów — Krzysztofa Dzikowskiego. Jednak inaczej wyglądała sprawa, gdy pewna rzeczywista sytuacja stanowiła inspirację do napisania piosenki, a zgoła inaczej — jeśli piosenka była „programowo" tworzona „pod" jakieś oczekiwane zdarzenie czyli pisano ją z jakiejś tam okazji. Te specjalnie preparowane piosenki bywają z reguły mało wartościowe. Nie wytrzymują także próby czasu. Niekiedy żyją krócej niż owa „okazja". Moje zdanie — proszę mi wierzyć — opiera się o wieloletnie obserwacje i w pewnym sensie zwalniam z zarzutu „pójścia na łatwiznę" autorów, ale równocześnie stwierdzić muszę, że napisać na przykład piosenkę z okazji imprezy sportowej — piłkarskiej jest niezwykle trudno. I to nie tylko dlatego, iż powstało w przeszłości takich piosenek sporo. Sam zresztą — namówiony przez kolegę będącego kompozytorem i kibicem — usiłowałem spłodzić kiedyś piłkarską piosenkę, która byłaby trafna i świeża w sferze skojarzeń, doboru słów — i nie udało się niczego wymyśleć. Wtedy zrezygnowałem i nie żałuję.

Poza tym trzeba przypomnieć, że sport jest dyscypliną życia niełatwą do podejmowania zwłaszcza w piosence. Gdy Pierre de Coubertin wskrzesił po latach niebytu ideę olimpijską, wraz z pierwszymi olimpiadami odbywającymi się na arenach sportowych, stanęli w szranki — wzorem igrzysk helleńskich — również twórcy sztuki, by opiewać szlachetną ideę sportowej rywalizacji. Te „Olimpiady sztuki" nie przetrwały jednak do naszych czasów.

Tyle dygresji. Pamiętajmy jednak, że jeszcze dziś darzymy sentymentem sportowe piosenki sprzed lat. Również te poświęcone piłce nożnej. „Bo mój chłopiec piłkę kopie, wczoraj bramki strzelił dwie..." — czy „Trzej przyjaciele z boiska: skrzydłowy, bramkarz i łącznik..." — świadczy to najdobitniej o istnieniu u nas tradycji związanej z piosenką sportową. Futbol, oczywiście, zajmuje tutaj miejsce szczególne, bo w końcu piłka nożna posiada najliczniejszą rzeszę wiernych kibiców. Sprzed lat kilkunastu przypomnieć można wspaniałe zmagania naszych klubów piłkarskich — „Górnika" z Zabrza i warszawskiej „Legii" — w rozgrywkach europejskich pucharów. To właśnie im dedykowane były wówczas nowe piosenki (np. „Górnik górą" w wykonaniu Skaldów) dzisiaj już zupełnie zapomniane. Ba, często — czerpiąc chyba wzory z Zachodu — angażowano piłkarzy do nagrywania piłkarskich piosenek, co nie było pomysłem zbyt fortunnym.

Rzecz jasna, futbolowe mistrzostwa świata są zawsze największym piłkarskim świętem odbywającym się co cztery lata. Kiedy w 1974 roku nasi piłkarze przebrnęli zwycięsko przez eliminacje kwalifikując się, po raz pierwszy po długiej przerwie, do finałów mistrzostw — cały kraj ogarnęła prawdziwa euforia. Nie ominęło to także rodzimej produkcji w zakresie muzyki rozrywkowej. To właśnie wtedy Andrzej Dąbrowski nagrał „A ty się bracie nie denerwuj", gdzie w tekście raz po raz padały nazwiska reprezentantów Polski. Z tą piosenką kojarzy mi się pewien nieprzyjemny incydent. Otóż, jak pamiętamy, na mistrzostwa w Monachium nie pojechał Włodzimierz Lubański, który leczył wówczas bardzo ciężką kontuzję nie pozwalającą nie tylko grać, ale też chodzić (gdy spotkałem się z nim w Zabrzu w końcu lipca 1974 r. w sposób widoczny utykał). Tymczasem polska jedenastka przywiozła trzecie miejsce; w kraju zorganizowano przyjęcie z pompą i... specjalny program telewizyjny na powitanie. Byłem zdumiony, gdy w czasie tego programu okazało się, że w miedzyczasie na taśmie-matce z piosenką „A ty się bracie nie denerwuj" w drodze montażu zagłuszono rykiem stadionu słowa: „tam Lubański gra". A przecież właśnie ten zawodnik miał swój ogromny udział w wywalczeniu drogi do finałów i w czasie meczu eliminacyjnego doznał tej kontuzji, ale najpierw zdobył dwie piękne bramki. Szybko widać o tym zapomniano skoro „wyrzucono" Lubańskiego z piosenki.

Przed mistrzostwami 1974 r. ostatni obóz kondycyjny, o ile dobrze pamiętam, odbywał się w Zakopanem. I na ten obóz trafiła telewizja. Przyjechała tam również łódzka grupa „No To Co", która wcześniej nagrała piosenkę do wiersza Ludwika Jerzego Kerna zaczynającą się od słów: „Po zielonej trawie piłka goni, albo my wygramy, albo oni...". Przy okazji pobytu łódzkiego zespołu muzycznego wykonano na wspomnianym obozie wiele zdjęć. Do jednego z nich pozowali — obok członków grupy „No To Co" — trener Kazimierz Górski z elektryczną gitarą na piersi, Jan Tomaszewski grający na... skrzypcach oraz Mirosław Bulzacki trzymający saksofon. Później, już w czasie trwania mistrzostw, odbywał się Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu, gdzie w koncercie „Premier" zespół „No To Co" wykonywał piosenkę z moim tekstem zatytułowaną „Modlitwa wieczorna". Nuty i tekst tej piosenki ukazały się w dniu następnym w niedzielnym wydaniu „Dziennika Łódzkiego", a wraz z nimi opublikowano tę właśnie przekazaną przeze mnie do redakcji fikuśną fotografię. Jak mówił mi potem Jan Tomaszewski, po paru dniach łódzka gazeta dotarła razem z bieżącą pocztą do Murchardt w Republice Federalnej Niemiec, gdzie wówczas mieszkała polska ekipa. Zdjęcie wywołało ogólną wesołość. Tak więc i ja mam swój skromny udział w tamtym srebrnym medalu. Wszak w sposób pośredni wpłynąłem pozytywnie na samopoczucie polskich piłkarzy.

Wróćmy jednak do ceremonii otwarcia mistrzostw w roku 1974; podczas tej uroczystości prezentowali się artyści każdego z szesnastu uczestniczących w rozgrywkach krajów. W polskiej „delegacji" znalazła się m. in. Maryla Rodowicz, która wykonała specjalnie napisaną przez Leszka Bogdanowicza i Jonasza Koftę piosenkę pt. „Futbol, futbol, futbol". Kto pamięta tę piosenkę — emitowaną później wielokrotnie na radiowej antenie — ten z pewnością zgodzi się ze mną, że zarówno dla kompozytora, jak i dla autora tekstu, nie było to osiągnięcie na miarę ich możliwości. Wręcz przeciwnie.

W latach następnych na piosenkową szmirę podpierającą się piłkarską tematyką popyt trwał. Pokuszono się nawet w „Polskich Nagraniach" o przygotowanie płyty długogrającej z „piłkarskimi piosenkami". I — mimo że w tym przedsięwzięciu brali udział znani twórcy muzyki rozrywkowej — nie starczyło inwencji. Nie wiem, kto wykupił longplay, ale utwory-koszmarki nie zyskały sobie popularności wśród kibiców, choćby w tym stopniu co stadionowe zawołanie: „Polska gola, Polska gola — taka jest kibiców wola" skomponowane ponoć przez Włodzimierza Korcza (ciekawi mnie, kto jest autorem tego „tekstu"?). Notabene: wspomniana płyta nosiła tytuł „Polska gola".

W 1978 roku w Argentynie liczno na sukces, który miał przyćmić mistrzostwa sprzed czterech lat. „Interesuje nas tylko mistrzostwo świata" — zapewniał trener reprezentacji, Jacek Gmoch, którego głos wykorzystał w śpiewanym przez siebie „Tangu Mundial" Jerzy Dąbrowski, były redaktor „Muzyki i Aktualności". Występ Polaków w Argentynie — jak pamiętamy — skończył się, mimo awansu do drugiej rundy rozgrywek, raczej niepowodzeniem. Na brak popularności skazane były także dosyć liczne piosenki pisane z tej okazji. Nikt dziś nie jest w stanie ich sobie przypomnieć.

I oto teraz znów mamy „Mundial". Tuż przed rozpoczęciem piłkarskich misrzostw świata „Espania 82" czekały już przygotowane taśmy z nowymi piosenkami piłkarskimi. Jedna z nich trafiła nawet ostatnio na Listę Przebojów programu I Polskiego Radia. Jest to kompozycja Jerzego Miliana do tekstu poznańskiej spółki autorskiej Andrzej Kosmala i Andrzej Sobczak, a nagrał ją — prawdopodobnie jeszcze przed ostatnim odlotem do Stanów Zjednoczonych — Krzysztof Krawczyk. Utwór nazywa się „Piłka w grze" i jest często prezentowany w audycjach telewizyjnego studia piłkarskich mistrzostw świata, gdzie stało się regułą ilustrowanie tego typu pozycji, obrazem składającym się z powtórek strzelonych przez Polaków bramek, tricków magnetowidowych z meczu (wymyślono je za granicą kilka lat temu) i pocztówkowych widoków z Hiszpanii. Na dłuższą metę można mieć tego naprawdę dość. Nie jest mi wygodnie krytykować piosenkę „Piłka w grze" — przecież z jej kompozytorem zdarzyło mi się napisać dotąd kilkanaście piosenek, autorzy są moimi kolegami, nie mówiąc już o samym Krawczyku, łodzianinie zresztą, na którego najlepiej sprzedawanym longplay'u znajduje się sześciominutowa „Ulica zwykłych spraw" z moim tekstem. Ale niestety nie mogę o „Piłce w grze" napisać nic pochlebnego. To samo odnosi się do innej piosenki lansowanej z uporem przez piłkarskie studio Telewizji Polskiej — „Damy z siebie wszystko" z muzyką Andrzeja Marko i tekstem Janusza Węgiery śpiewanej przez grupę wokalną RTv z Katowic. I tutaj górę bierze sztampa i infantylizm; nie brak też grafomańskich chwytów, bo jak inaczej nazwać sformułowanie typu: „Hej viva Polonia, aż słychać na biegunie". Zdecydowanie nieudana jest również piosenka zarejestrowana przez Krystynę Giżowską i sfilmowana z udziałem tej piosenkarki. Niestety, realizatorzy z telewizji pokazując to kilkakrotnie na ekranie nie raczyli podać autorów utworu. Mogę zatem jedynie, celem identyfikacji, przypomnieć fragment refrenu śpiewanego przez Krystynę Giżowską wystrojoną — nie bardzo wiadomo czemu — w togę i perukę: „Co cztery lata mistrzostwa są świata". Nowotarska, nawet jak na piosenkę, stylistyka daje dostateczne świadectwo o wartości tego „dzieła".

Słyszeliśmy także piosenki piłkarskie Anno Domini 1982 nie pozbawione pomysłu. Do takich zaliczyć trzeba przygotowaną w łódzkim ośrodku TvP. „Nie pojadę do Hiszpanii" Sławomira Kowalewskiego i Zbigniewa Wakata (to chyba czyjś pseudonim?), która niestety rzadko jest przez Warszawę wykorzystywana, a prowadzący studio Jacek Żemantowski zapowiada solowe nagranie Sławka Kowalewskiego jako piosenkę „Trubadurów", oraz żart muzyczny znanego kompozytora Stefana Rembowskiego „Tajemnica Mundialu" (tekst napisał również kompozytor) w interpretacji Bohdana Łazuki. Ale i do nowoczesnego brzmieniowo „protest songu" rodem z Łodzi, i do owego „entliczek, pentliczek, co zrobi Piechniczek?" ja osobiście odnoszę się z rezerwą. Tymczasem najbardziej do tej pory podobała mi się zawierająca akcenty hiszpańsko-mundialowe propozycja kabaretu „Ściąga" ze szkoły podstawowej w Giławach w województwie olsztyńskim. I to nie tylko dlatego, że „puszczono" ją na małym ekranie tuż przed wygranym meczem ostatniej szansy z Peru. Po prostu jest to miła, bezpretensjonalna i bardzo dowcipna piosenka. Więcej takich.

Ten materiał napisałem z pewnym wyprzedzeniem, gdy Polska walczyła jeszcze o wejście do drugiej rundy rozgrywek „Mundialu 82". I oto pointa nasunęła się sama. Pół godziny po zakończonym bezbramkowym remisem spotkaniu z drużyna Kamerunu w moim mieszkaniu zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę. „Halo. Słuchaj, stary — mówił jeden z najpopularniejszych polskich piosenkarzy ostatniego piętnastolecia — tak sobie pomyślałem, że ponieważ oni w telewizji robią to wszystko na bieżąco, nagrywa się od ręki, to może napisałbyś dla mnie coś w tym stylu. Taki piłkarski tekst. Właśnie teraz, bo myślę, że nasi jednak wejdą...". Opadły mi ręce i jeszcze raz odmówiłem pisania „przeboju z okazji". Choć od piosenki przebojowej jako takiej bynajmniej nie chciałbym się odżegnywać. O czym — za tydzień.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Buenos diaz Barcelona

Dokończenie ze strony 1

z Algierii donoszą, iż po zwycięstwie piłkarzy tego kraju nad RFN, wybuchła tam zbiorowa histeria, całkowicie sprzeczna z rygorami, które narzucił wiernym Mahomet. Kobiety w różnym wieku wybiegły na ulice bez woalek, mężczyźni sięgnęli po alkohol i chyba jeszcze nigdy nie było w Algierii tylu pijanych. Policja nie czepiała się ich, tańcząc, śpiewając i wznosząc okrzyki, jakby nie miała na sobie mundurów.

Podobna euforia zapanowała w Brazylii. Wygrana ze Związkiem Radzieckim sprawiła, iż Rio de Janeiro przeżyło nadprogramowy karnawał. Na Coppacabanie, najsławniejszej plaży świata, zapłonęły ogniska makumby. Szalały sambistki, prostytutki, kieszonkowcy, a także, jak pisze tamtejszy korespondent, rabusie, pracujący z nożem i spluwą w garści, którzy ogłosili fajerant. Tak czy owak, jak w prawdziwym karnawale, zanotowano kilkadziesiąt ofiar.

Wiadomości z Sao Paulo są podobne, tyle że nadeszły już po triumfie Brazylijczyków nad Szkocją. Totalny amok. Ostre gazowanie, zgony, kraksy samochodowe, wielu rannych. Nikt już nie wątpi, że Brazylia ma wspaniały zespół. A przecież brazylijscy znawcy futbolu upatrują mistrzów świata w Hiszpanach... i w ogóle Brazylijczycy zachowują się skromniej, niż inne drużyny, spośród których co najmniej dwanaście oświadczyło na łamach gazet, że puchar dostanie się właśnie im, że to właśnie one — cytuję wypowiedź trenera z tej samej co Brazylia grupy — zdobędą Mount Everest futbolu. Trener Brazylijczyków, Tele Santana, powiedział:

— Nie przyjechaliśmy, aby zdobyć puchar, tylko żeby walczyć do ostatniej kropli potu.

He, he... gdzie ten pot? W drugiej odsłonie meczu ze Szkocją „Czarne Tygrysy" sprawiały takie wrażenie, jakby jeden chciał powiedzieć do drugiego: Panowie, strzelimy frajerom jeszcze dwa i walimy na piwo.

Nastroje ulegają zmianom. 21 czerwca, demonstrując bez wątpienia doskonałe możliwości, Algieria uległa Austriakom. Na ławkach algierskich leją się łzy i to w sensie dosłownym. Nazajutrz, dwudziestego drugiego, radio donosi, iż Algieria zakrywa twarz, nie widać już kobiet bez woalek i pijanych mężczyzn. Nie pora jednak na sentymenty. Piszę to wszystko tuż przed naszym meczem z Peruwiańczykami. Jestem straszliwie zdenerwowany. Śniło mi się, że przegraliśmy 0:7. Wpada Mietek Wójcicki. Mówi, że Boniek zagra i to w ataku. W czasie meczu z Kamerunem stracił na wadze 4 kilogramy, więc jakże go tu posądzać o brak ofiarności?

Do Porto Cobo przyjeżdża paru włoskich dziennikarzy. Atakują Piechniczka:

— Czy to prawda, że Boniek pójdzie na ławę?

Piechniczek odpowiada pytaniem:

— Gdybyście wy byli na moim miejscu, posłalibyście Bońka na ławkę?

— Nie.

— No to wyciągnijcie z tego wnioski.

Nie dają się zbyć.

— Bo słyszeliśmy, że go pan skreślił?

— A może macie złych informatorów?

— Może okaże się, że Boniek nie tylko zagra, ale w dodatku wygra mecz?

Dziennikarze polscy popuścili paski u walizek. Ci, co jeszcze wczoraj krakali, dzisiaj delikatnie wekslują na inne tory. Znów mówi się o Barcelonie. Nie czas jeszcze na gromki pogrzeb.

Zwycięstwa Hiszpanów nad Jugosławią nie oglądam w centrum prasowym, tylko w hotelu „Wenecja", w familijnej atmosferze stworzonej przez trzy siostry zarządzające interesem. Dzieje się to 20 czerwca, w niedzielę. Jest nas kilka osób z Baskonii, kilka z Wenezueli i kilku sympatycznych Peruwiańczyków (Indian) na czele ze swoim czarownikiem, Macmachu-Pichu, który jednym machnięciem ręki w powietrzu potrafi naprawić usterki telewizora. Powoli zaczynają ściągać także Polacy.

Karny dla gospodarzy jest przyjęty z oburzeniem nawet przez samych Hiszpanów. Jednak w drugiej połowie ich faworyci podkręcają tempo, grają szybko, składnie, Juanito dobija, Victoria.

Hotelarki odwołują mnie na stronę. Proszą, abym zatrzymał w salonie wszystkich obecnych. Jedni zostają chętnie, inni niechętnie, ale wkrótce na ich twarzach pojawia się uśmiech. Panie ustawiają na stole ogromny garnek, z którego buchają na metr jęzory ognia. Co to jest? Alkohol. Jaki? Galicyjski. Z czego? Z szalenie mocnej, tutejszej wódki terrinia, do której dodaje się trochę owoców, trochę cukru, trochę kawy, albo czerwonego wina i podpala. To, co zostaje, zwala byka z nóg. Ogień płonie jeszcze dobre pół godziny w filiżankach. Wszyscy pytają, jak to się nazywa. Qeimada. Wszyscy piją, a ja — czyżbym nie chciał uczcić zwycięstwa Hiszpanów? — Ale tak — mówię. — Bez Hiszpanii w dalszych rozgrywkach mistrzostwa straciłyby na znaczeniu i uroku. Ciężar spadł mi z serca, tym niemniej nie mogę dzisiaj pić. Ani kropelki. Baskijczycy śpiewają swoje ludowe melodie. Polacy — „Szła dzieweczka do laseczka", potem rozpoczynają się szalone tańce, które trwają do wczesnych godzin porannych. Salon hotelowy przypomina pobojowisko, wokół walają się swetry, marynarki i puste butelki. Jeśli ktoś ma jakąś pamiątkę, od razu przekazuje ją drugiemu. Mieszkający w USA Peruwiańczyk zaprasza mnie do Los Angeles na igrzyska olimpijskie. Mówię:

— Jesteś wspaniały, jaka szkoda, że pojutrze musimy przeciwko sobie walczyć.

A on na to:

— I w dodatku nawzajem się wykrwawić.

Podobnie jak my, świętowała zwycięstwo cała Hiszpania. Ulice były puste, w barach kotłowało się do świtu. Nikt nie myślał o takich głupstwach, jak praca i sen.

Wtorek. La Corunia, godzina 16. Zmieniam koszulkę, łykam procha. Przypinam do piersi wszelkie dziennikarskie emblematy. Z gardłem wyschniętym od tremy ruszę za chwilę na stadion. To, co znajdziecie w tym reportażu dalej, będę pisał już za 4 godziny. Bo tu tak się pisze. W każdej wolnej chwili. Jaka szkoda, że „Odgłosy" nie zostały przeobrażone na czas mistrzostw w gazetę codzienną...

Minęły już te cztery godziny. Co wy na to? Przecież też oglądaliście mecz. Boże, powinienem iść do szpitala. I poszedłem. Tyle, że przed meczem i nie do szpitala, a do punktu sanitarnego, który usytuowany jest obok biura prasowego. Lekarka przepytała mnie, odpisała z paszportu i dała łagodny środek uspokajający. Wchodzę do loży prasowej, ale nie siadam. Szukam Mario Vargas Llosy, którego popularność śmiało może konkurować ze sławą największych piłkarzy. Działam w tajemnicy przed kolegami. Tego kęsa nie pozwolę sobie wyrwać. Pytam tu, ówdzie, a wreszcie jest. Superprzystojny facet, o wspaniałym uzębieniu. Nie ja z nim przeprowadzam wywiad, lecz on ze mną. Gdzie nauczyłem się hiszpańskiego i tak dalej. Umawiamy się na wieczór, ale w przerwie meczu, kiedy mimo przygniatającej przewagi Polaków wciąż jest 0:0, nie wytrzymuję i znowu podchodzę do niego.

—I co pan o tym wszystkim myśli? — pytam, wiedząc, że jest Peruwiańczykiem.

— Ano — mówi nie ukrywając zdenerwowania — wierzę, że w drugiej połowie będzie lepiej.

No i nadchodzi ta druga połowa, i zaczynają się dziać rzeczy straszne dla niego, piękne dla mnie. Całujemy się i ściskamy w polskiej loży prasowej. Brazylijski dziennikarz, Jose Menheros, klepie mnie w plecy. W trakcie hymnów przed meczem peruwiański ksiądz pobłogosławił tylko swoich rodaków, zapominając, że papież jest mimo wszystko Polakiem. 5:1. Llosa jest załamany. Udziela wywiadu hiszpańskim radiowcom twierdząc, że Peruwiańczyków załatwił pierwszy gol. Wyciąga do mnie rękę.

— Gratuluję — mówi.

— Dziękuję.

— Dziękuję. Czy nasze spotkanie jest wciąż aktualne?

— Oczywiście.

Mam do tego spotkania trochę czasu, zatem pędzę do szatni Polaków. Wpuszczają tylko Wójcickiego, ale po kilku minutach piłkarze zaczynają się ukazywać. Rozmawiam z Szarmachem. Przez okratowaną bramę kibice polscy skandują jego nazwisko.

— Panie Andrzeju — pytam. — Czuję się pan szczęśliwy?

— Jakże może pan w ogóle wątpić.

— Mimo, że pan nie grał?

— Jeszcze zagram.

— Czy to prawda, że pogniewał się pan na Piechniczka?

— Bzdury.

Wyciskam na jego policzku pocałunek i odciągam na bok Młynarczyka.

— Panie Józefie — mówię. — Nie znamy się. Jestem z Łodzi. Wspaniale rozegrał pan wszystkie trzy mecze, ale niech pan powie: kiedy do przerwy było tyle nie spełnionych okazji, słupków i poprzeczek, wierzył pan, że można to jeszcze wygrać, przełamać to cholerne fatum w drugiej połowie?

— Jasne, że wierzyłem — wciąż masuje sobie tył głowy. — Wiedziałem, że w końcu musimy ich otworzyć.

— Kto pana kopnął, bo zapomniałem.

— Ten co strzelił.

Rozmawiam jeszcze serdecznie z Markiem Dziubą. Wytyka palcem jednego z polskich dziennikarzy i bluźni pod jego adresem. Potem zaprasza mnie na długą rozmowę do Porto Cobo. Jest przekonany, że w Barcelonie częściej będzie na boisku.

Przysłuchuje się jeszcze rozmowie Wągrodzkiego z Matysikiem, który mówi to mniej więcej, co Młynarczyk, po czym wymyka się służbowym wejściem. Pędzę przez zatłoczone miasto na spotkanie z Mario Vargas Llosa, który podpisuje już swoje liczne dzieła, w księgarni Arenas na Callie de Canton Grande 21, kolejka, jak w Łodzi po czystą. Więc czekam, a czekając przypominam sobie to, co powiedział po meczu o Bońku brytyjski dziennikarz: Boniek zawsze powinien grać w przodzie, albowiem zawsze bardziej fascynuje go bramka przeciwnika, niż obrona własnej bramki.

Siadam z Llosą na wygodnej pluszowej kanapie. Ktoś robi zdjęcia. Nikt nam nie przeszkadza. Jest zmęczony, ale ciekawy wszystkiego, co dzieje się w polskiej literaturze. Znał osobiście Gombrowicza, widywali się w Paryżu z Mrożkiem. Nasza rozmowa na wiele różnych tematów trwa pół godziny. Ale opiszę ją w następnej korespondencji. Jest bowiem późna noc. Za trzy godziny muszę wstać.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Odgłosy Mundialu

Boniek kontra Makowiecki

W reportażu z Hiszpanii, drukowanym w poprzednim numerze „Odgłosów", Andrzej Makowiecki napisał o Zbigniewie Bońku: „Wchodził spokojnie, z papierosem w zębach do kabiny pilotów, gawędził z kapitanem, interesowały go różne guziczki i światełka".

Zbigniew Boniek drukuje swój dziennik z Hiszpanii w „Sportowcu", gdzie wyznaje: „W samolocie większość czasu spędziłem w kabinie pilotów".

Ale Andrzej Makowiecki na stwierdzeniu tego faktu nie poprzestaje, pisze jeszcze dalej o Zbigniewie Bońku:

„Bardzo nie lubię Zbigniewa Bońka. Kiedy mówię mu dzień dobry, odpowiada tak, jak cierpiąca na permanentną obstrukcję wdowa. Tak czy owak kłaniam mu się pierwszy. Zobaczymy, kto się komu ukłoni za 10 lat."

Ano, zobaczymy. Jak do tej pory Zbigniew Boniek w swoich pamiętnikach nie napisał ani słowa o Andrzeju Makowieckim.

Jeden — zerou — jak by powiedział z La Coruny nieoceniony Jan Ciszewski, kolega zresztą Andrzeja M.

Zezowaty

KRÓLEWSKI NAMIESTNIK — IGNORANT

— To ja im na to: chcecie żebym zorganizował Mundial? Czemu nie? Ale pod dwoma warunkami: że dostanę nominację od Króla i że będzie to praca społeczna.

Spojrzenie kątem oka na zdjęcie Juana Carlosa, królującego po jednej stronie biurka. A potem wielki wybuch śmiechu. Nie wydaje się by don Raimundo nie był z siebie zadowolony. Nie ma zresztą powodów do narzekań.

Raimundo Saporta, 55 lat, bankier, wielki mistrz ceremonii, jest niewątpliwie pierwszym organizatorem Pucharu Świata, który dostał władzę bezpośrednio od szefa państwa, a nie od Krajowej Federacji Piłki Nożnej. Dano mu ją dekretem z 1978 roku, z którego jest tak dumny, że kazał go wygrawerować na bardzo starym talerzu...

To prawda, że don Raimundo jest godzien zaufania. Ten człowiek który nie pije, nie pali i żyje samotnie z matką, ma jeden jedyny nałóg - kierować sportami, których nie rozumie... Dziś jest to piłka nożna — sport, którego nie znosi.

— Ostatni mecz, na którym byłem? Dokładnie nie pamiętam. Myślę, że grali Rosjanie. W każdym razie ja tam byłem w konkretnej sprawie — chodziło o obliczenie dochodu.

A w tej dziedzinie „Twardy w interesach Sapo" nie ma sobie równych: czyż nie uczynił z Real Madryt jednego z najbogatszych i najsłynniejszych klubów na świecie?

„L'EXPRESS"

Butelka szampana

Jak zapewne państwo pamiętacie poprzedni swój felieton zakończyłam zapewnieniem, że w dniu meczu Polska — Peru, w tym właśnie czasie, gdy piłkarze będą grali, pójdę do kina. I poszłam. Ale nie wytrzymałam. Wróciłam do domu pod koniec pierwszej części. — A jednak — powiedziałam — zerou — zerou w meczu z Peruuu! — jakby to wyakcentował Jan Ciszewski.

Teraz muszę wszystko odszczekać. Pokajać się. Zwątpiłam w naszą drużynę. A oni — po zwycięstwie nad Peru — w pięknym stylu pokonali doskonałych Belgów. I to bez żadnych tam indywidualnych wyczynów, grali jak jeden dobrze scementowany zespół, choć parę niebezpiecznych kiksów było. Ale był też spokojny, jak nigdy Józef Młynarczyk. No i Zbigniew Boniek, który w hiszpańskim studiu zażądał od Jana Ciszewskiego butelki szampana.

— Jak myślisz? — zapytałam Dorotę Ch. — postawi im Ciszewski butelkę szampana?

— Gdzie tam — powiedziała — sam wypije.

Bardzo proszę kolegów z telewizji, aby sprawę tę, dość istotną, byli uprzejmi wyjaśnić. Dla nas, tu w kraju (reglamentacja) butelka szampana to rarytas i dlatego chcemy wiedzieć, czy Jan Ciszewski znalazł się jak trzeba.

Ale, co będzie dalej? To pytanie nurtuje nie tylko mnie. Samozwańczy ekspert, Jerzy P. wybrał się do teatru i tam zaczął męczyć znajomych teoteryzowaniem na temat tego, kto kogo w naszej grupie i ile, i co będzie, jak tak, albo inaczej. Zachachmęcił wszystko dokładnie. W końcu postanowiliśmy go delegować na urlop w knieje i puszcze, niech jedzie, grzyby zbiera, ryby łapie, jagodami się żywi i chachmęci biednym leśnym zwierzątkom, a nie skołowaciałym kibicom. Miłego wypoczynku!

A co ma być? Trzeba wygrać — z drużyną ZSRR nawet wtedy, gdyby wystarczył tylko remis. Oglądałam już taki mecz, gdzie — tak mi się przynajmniej zdawało, jak wszystkim zresztą — drużyny się umówiły i udawały, że grają. Był to mecz RFN — Austria. Ale obejrzałam sobie później mecz Francja — Austria i — niestety — austriacy nie okazali się drużyną dobrą, grali, jakby już śpieszyło się im do domu. Wracając do meczu RFN — Austria. Czy FIFA nie mogłaby wprowadzić takiego przepisu, który dawałby prawo zwrócenia uwagi kapitanom udających grę drużyn, że jeśli nie zaczną grać — mecz będzie przerwany, a drużyny ukarane? Bo, że coś z tym trzeba zrobić — nie ulega wątpliwości.

Myślę, że FIFA powinna też zająć się sędziami. Było już tyle sędziowskich kiksów, jak choćby ten z naszą czwartą bramką, że to zaczyna być nieprzyjemne. W meczu Hiszpanów z Irlandczykami Północnymi wiadomo było, że po golu dla Irlandii coś się musi wydarzyć pod irlandzką bramką i wydarzyła się... czerwona kartka. Irlandczycy byli za cwani na to, aby pozwolić sobie na faul na polu karnym. Naszym też by się przydała taka świadomość. Bo — jak to w telewizji mówi Jan Tomaszewski — piłkarz musi się czasem poświęcić dla dobra drużyny i dać się sfaulować. Najlepiej na polu karnym przeciwnika. I nasi muszą o tym pamiętać. Bo sędziowie — jak trzeba — przymykają oczy na intencje a konstatują tylko fakt. Faul jest faulem. Ale sędziować można też w różny sposób. Sędzia może drużynie pomóc wygrać, ale może też przeszkadzać jej grać, a mimo to ona wygra, jeśli jest dobra. Sędziom piłkarskim w Hiszpanii należy się solidna weryfikacja!

Do 4 lipca możemy się spokojnie przyglądać, jak grają inni. A 4 lipca znów zaczniemy czarować. Przed sprawozdaniem „Ściąga" zaśpiewa. Jan Tomaszewski włoży podkoszulkę na lewą stronę, Kazimierz Górski nie ogoli się, Antoni Piechniczek nie włoży garnituru — i słusznie — Jerzy P. pójdzie piechotą do najbliższego telewizora (5 km) bo tak sobie ślubował na cześć dobrej gry Polaków. Dorota Ch. pokłóci się z mężem, bo jak nie kłóciła się, to Polacy remisowali tylko, ja nie kupię butelki szampana, a mogłabym już na nowe kartki. Wiele jeszcze osób coś zrobi, albo czegoś nie zrobi, aby tylko oni tam wygrali. Bo niezależnie od tego, kto wygra w meczu 1 lipca (Belgia — ZSRR), to Polacy w niedzielę, 4 lipca, muszą tak grać, aby wygrać! A my wszyscy będziemy czarować z całych naszych sił, aby tylko nie zapeszyć. Zabobonny zrobił się ten nasz naród przez tę piłkę nożną, że aż strach.

BOGDA MADEJ

Sfaulował mnie rozmyślnie!

Kto? Jean Vincent. Kiedy? 3 czerwca 1959 roku. Kogo? Raymonda Kopę. Jak to było?

Obaj grali w jednym klubie, w drużynie z Reims. Grali też w „złotej jedenastce Francji", która w 1958 roku w Szwecji zdobyła brązowy medal na mistrzostwach świata. Ale ten faul zdarzył się później. Raymond Kopa przeszedł wówczas do Realu Madryt. Jean Vincent pozostał w drużynie z Reims. Los zdarzył, że przyszło im 3 czerwca 1959 roku spotkać się w Stuttgarcie w finałach Pucharu Europy. I właśnie wtedy... A było to tak.

„Promieniałem na myśl o tym finale w 1959 r. Na nieszczęście nie pozostałem długo na boisku. Zostałem rozmyślnie i po chamsku — podkreślam świadomie te dwa określenia — sfaulowany przez Jeana Vincenta, skrzydłowego Reims — wspomina Raymond Kopa w książce „Piłka i Ja". — O sekundę wcześniej, zanim mnie kopnął w sposób absolutnie zamierzony, Vincent powalił na ziemię dwóch moich kolegów Mateosa i Marquitosa. Mnie jednak dostało się najbardziej. Nie spodziewałem się napaści: zaszedł mnie od tyłu. Ranił mnie poważnie w prawe, wewnętrzne ścięgno. Zdarzyło się to w dwudziestej minucie meczu, ale mimo wszystko dotrwałem do końca pierwszej połowy. Ale w jak opłakanym stanie... Co za żałosne wspomnienie. Co za ohydny czyn! Po meczu Jean Vincent przyszedł [illegible] prosić, ale nie uznałem jego tłumaczeń. Powiedziałem mu sucho: „Nie stary, nigdy. Twoje przeprosiny to jedna sprawa, a to, co zrobiłeś — druga. Zraniłeś mnie świadomie".

— To prawda — odpowiedział Vincent — kopnąłem cię świadomie, ale nie chciałem zranić...

To zbyt łatwe. Jak gdyby pirat drogowy, który [illegible] pod górę, dziwił się później, że zabił kierowcę, jadącego przeciwka.

I kto by pomyślał, że ten sympatyczny, miły, subtelny i przystojny starszy pan, trener niezapomnianych i sympatycznych piłkarzy z dalekiego Kamerunu, Jean Vincent kiedyś był zwyczajnym boiskowym rozbijaką i chamem.

ALEKSANDER KRÓL

Weryfikacja

Poglądów oczywiście. Tym razem trenera drużyny Peru — Tima, Brazylijczyka zresztą, który faktycznie nazywa się Elba Padua de Lima. Powiedział on przed mistrzostwami świata w Hiszpanii:

— „Jest to grupa jakiej oczekiwaliśmy. Osobiście bardzo chciałem wylosować Włochy. Rzecz jasna sądzę, że na pewno wyjdziemy z grupy na pierwszym miejscu, co oznacza, że wyprzedzimy i Polskę, i Włochy. Ale niepokoi mnie trochę Kamerun, gdyż nie znam tej drużyny, jak dotychczas nie posiadamy taśm magnetowidowych z jej meczami. Ogólnie jednak — nie boimy się nikogo!"

Samochwała w kącie stała, z mistrzostw świata wyleciała — skomentował to nasz

Podręczny Poeta.

ŁZY NA BOISKU

Wygrali Jugosłowianie. Ale sympatia widzów była po stronie piłkarzy Hondurasu. Ten faul na polu karnym drużyny Hondurasu — można podejrzewać — był świadomie spowodowany przez rutyniarzy znad Adriatyku. I stało się. Znakomity bramkarz Hondurasu — Julio-Ceza: Arzu nie obronił karnego. Później leżał na boisku i płakał. Mnie też łzy stanęły w oczach.

BOGUŚ M.

PO WYGRANYM MECZU

Anglii z Francją „LE MATIN" stwierdził: „Befsztyki" wygrały.

Nie ma to jak elegancja — Francja!

Czy Anglicy zrewanżowali się im „żabojadami"?

KAZIA M.

Górą nasi!

— Czy nie macie kłopotów, kiedy chcecie oglądać mecze późnym wieczorem?

Chór: Nie!

— A ja mam. Rodzice nie dają mi oglądać i każą iść spać. Uważam, że to nie jest w porządku. I tak spać nie można, bo tata kibicuje z ogromnym hałasem, przez ścianę słyszę krzyki sąsiadów, a w sufit tupią kibice z góry.

— Mój tata ma duże kłopoty z mamą. Chce oglądać mecze do końca, a mama chce iść spać. Mama uważa, że tylko mecze Polski warto oglądać, a cała reszta się nie liczy

— Mundial będzie trwał prawie do połowy lipca, a wy przecież pojedziecie na wakacje. Nie będzie wam żal piłkarskich transmisji?

— Na koloniach będzie przecież telewizor.

— A jak się zepsuje?

— To zmuszę ich, żeby naprawili.

— A ja jadę na obóz i tam nie będzie telewizora.

— Weź radio, będziesz mógł słuchać.

— A skąd wezmę baterie?

— Ja uważam, że Mistrzostwa Świata powinny odbywać się w innym terminie. Najlepiej by było, gdyby organizowano je podczas naszych ferii zimowych?

— Głupi, to byś chciał, żeby grali na śniegu?

— Jak sądzicie, skąd się wziął pies na boisku w czasie meczu Peru z Kamerunem?

— Ktoś go specjalnie wpuścił, żeby sędzia przerwał grę.

— Na pewno wypuścili go kibice peruwiańscy, bo im nie bardzo z Kamerunem szło

— A ja myślę, że to był taki trick telewizyjny.

— A może chciał sobie po prostu pobiegać razem z piłkarzami!

— Czy podobają wam się sprawozdawcy telewizyjni?

— Mnie się nie podoba pan Ciszewski, bo się ciągle myli i przeżywa.

— Mnie się też nie podoba, ale ja uważam, że on mówi za mało denerwująco.

— On zawsze kibicuje innej drużynie, niż ja. Jak ja byłem za Belgią, to on koniecznie chciał, żeby wygrała Argentyna.

— I nie zawsze widzi, co się dzieje. Na meczu Polski z Włochami sfaulowali akurat Iwana, a on powiedział, że to Smolarek. A w następnym meczu Smolarek już zszedł z boiska, a panu Ciszewskiemu ciągle się wydawało, że on jeszcze gra. I tak mu się jakoś to wszystko plącze.

— Czy chcielibyście zostać piłkarzami?

Chór: Tak!

— Dlaczego?

— Bo jak się strzeli bramkę, to wszyscy się podnoszą z miejsc i krzyczą

— I w telewizji się występuje!

— Bo można zdobyć dużo pucharów i dużo pieniędzy.

— I za granicę się jeździ.

— A ja nie chcę być piłkarzem, bo można złapać ciężką kontuzję. Ja najbardziej lubię tenis stołowy.

— Jak sądzicie, kto zagra w finale?

Chór: Polska!

— I kto jeszcze?

— Brazylia.

— Argentyna.

— Hiszpania.

Swoimi refleksjami z Mundialu '82 podzieliła się grupa ekspertów-optymistów z klasy IIIB Szkoły Podstawowej nr 83 w Łodzi.

Wszystko już było! Ten pies wtargnął na boisko podczas Mistrzostw Świata w Chile w 1962 roku.

Łęczyca — 15 tysięczne miasteczko nad Bzurą. Jedna z najstarszych miejscowości na ziemiach polskich. Pierwsza osada pochodzi z VI wieku, prawa miejskie otrzymała w XIII w. Żywy ośrodek gospodarczy w XIV — XVI wieku, odkąd Kazimierz Wielki zbudował tu zamek i otoczył miasto murami obronnymi. Wspaniałe zabytki, zwłaszcza bezcenna kolegiata romańska w pobliskim Tumie. Stare tradycje kulturalne (silny ośrodek wydawniczy i piśmienniczy), stolica województwa do 1793 roku.
Wojna ciężko się obeszła z Łęczycą, która straciła 50 proc. zabudowy i aż 60 proc. swych mieszkańców. Miasto słynne bitwą nad Bzurą (8-9 września 1939 r.), odznaczone Krzyżem Grunwaldu. Dzisiaj — niewielki ośrodek przemysłowy.
Jeśli spojrzeć na mapę, można z dużym prawdopodobieństwem, przynajmniej ogólnie, wyliczyć najistotniejsze problemy tego miasteczka. Leży Łęczyca na rozstajach między czterema województwami, na peryferyjnym cyplu województwa płockiego, do którego należy.

JOLANTA WROŃSKA

Łęczyca na rozstajach

POMYŁKA

Przeprowadzony w 1975 r. nowy podział administracyjny kraju, w znacznej mierze oparł się na samorodnie powstałych regionach i ich centrach. Jednakże, co zrozumiałe przy skali przedsięwzięcia, nie obeszło się bez błędów i nieprzemyślanych do końca decyzji. Dotyczy to szczególnie obrzeży nowo tworzonych województw. Zdarzało się, że przypisując jakąś miejscowość do nowej jednostki administracyjnej nie uwzględniono wszystkich warunków, okoliczności, czy istniejących tradycyjnie więzi. Wreszcie — nie zawsze przewidziano skutki reorganizacji — czy nie spowoduje ona obumierania żywego dotąd ośrodka, odciętego od samego dotychczasowego regionu. Niewielkie, ale silne gospodarczo miejscowości wyszły ze wstrząsu reformy na ogół obronną ręką. Gorzej ma się sytuacja miasteczek stanowiących dotąd fragment zwartego zaplecza dla dużego ośrodka przemysłowego, nie posiadających samowystarczalnej bazy ekonomicznej, a obecnie znacznie oddalonych od nowego centrum administracyjnego.

Źle się stało, że przypisano Łęczycę do województwa płockiego. Tak twierdzi znakomita większość mieszkańców miasta. Łęczycę oderwano od jej naturalnego regionu łódzkiego, z którym była powiązana licznymi więzami gospodarczymi i kulturalnymi. Jest zresztą nadal, o czym świadczy choćby fakt, że w siedem lat po reorganizacji, komunikacja z bliską (35 km) Łodzią jest pierwszorzędna, tak kolejowa, jak autobusowa, podczas gdy do Płocka (75 km), trzeba urządzać całe wyprawy, bo dojazd fatalny.

Pondto, co podkreślają mieszkańcy, w tym wypadku popełniono błąd podwójny. Z jednej strony sztucznie odcięto Łęczycę od bliskiej władzy administracyjnej, od wpływu łódzkiego życia kulturalnego, z drugiej zaś, pozbawiono wielkie miasto jego naturalnego (a niezbędnego) zaplecza rolniczego.

Wbrew też wysiłkom władz województwa płockiego, nie czują się Łęczycanie związani z ziemią płocką i nadal ciążą ku Łodzi.

W swej orientacji na Łódź pełniła Łęczyca funkcję części pasa okalającego wielkie centrum. Wraz z bliższymi Łodzi miastami satelitarnymi (Pabianice, Konstantynów, Aleksandrów itd.) powiązana była w ścisłej symbiozie.

— Jak twierdzi Stefan Sobczak z Urzędu Miejskiego w Łęczycy, nie była to wprawdzie tak idealna symbioza, gdyż sąsiedztwo dużego miasta działa zazwyczaj bardziej jak pompa ssąca niż tłocząca.

— *Owszem, bliskość ośrodka decyzyjnego pozwalała szybciej i skuteczniej dotrzeć ze swymi sprawami, ale też nie oszukujmy się* — mówi S. Sobczak — *że „za czasów Łodzi" działo się w Łęczycy wszystko jak należy. Też bywało, że zapominano o nas przy rozdziale funduszy, planowaniu inwestycji itp.*

Jednak trzeba pamiętać, że Łęczyca latami formowała się jako zielone zaplecze Łodzi, nie koncentrowały się tutaj duże zakłady przemysłowe i ten charakter stawia nas dzisiaj, po przeprowadzce do Płocka i w trakcie reformowania gospodarki, w mocno utrudnionym położeniu. Oddaleni od Płocka, jesteśmy trochę zdani na własne, niewielkie w końcu siły. Nie oznacza to oczywiście zupełnego marazmu. Już po 1975 r. zbudowano w mieście spore osiedle mieszkaniowe (im. ZWM), rozbudowała się spółdzielnia ogrodnicza. Utarł się u nas pewien pogląd głoszący, iż dla niewielkich miast jedyną szansą rozwoju jest wielki przemysł. Przeskok od półwiejskiej senności od razu do rangi dużego miasta przemysłowego. Bo wielki przemysł oznacza zwrócenie uwagi najwyższych czynników, przypływ pieniędzy, priorytety itd. Tego rodzaju myślenie zaowocowało trwającą między poszczególnymi regionami walką o inwestycje. Lokalne interesy i wyobrażenia, często nie liczyły się z naturalnymi warunkami terenu i faktycznymi potrzebami regionu. Zaciętości przydawał strach przed alternatywą — beznadzieją, brakiem perspektyw i wiecznie przegranym meczem o zaspokojenie potrzeb z ważniejszymi i silniejszymi w przetargach partnerami. Skutki funkcjonowania tego mitu, iż tylko przemysł, najlepiej od razu wielki, daje nadzieję na dobrobyt, przyniosły już nieraz duże straty gospodarcze (np. koszta transportu ludzi i surowców z daleka).

W Łęczycy nikt się nie łudzi, że powstanie tu jakiś gigant, nic z tego, dookoła tylko pola warzywne, którymi słynie Ziemia Łęczycka. W samym mieście istnieje niewielkie zagłębie wydobywcze syderytów i wapnia. Eksploatowana od 1954 r. kopalnia była przez jakiś czas poważnym czynnikiem miastotwórczym, ale wielkość złoża jest taka, że nie ma co mówić o dalszym rozwoju zagłębia, a tym samym i miasta. Poza tym jest trochę przemysłu włókienniczego i na tym koniec.

W OSTATNIEJ ŁAWCE

Taka sytuacja stwarza pewne zagrożenia dla perspektyw rozwoju, przypomina nieco ucznia w ostatniej ławce. Można bezpiecznie grać w okręty, ale też korzyści z lekcji marne.

Pytani przeze mnie towarzysze Jóźwiak (I sekretarz KG PZPR) i Komorowski (II sekretarz KM PZPR) — czy dobrze jest być władzą na peryferiach? — zgodni są w opinii, że ma to swoje dobre i złe strony. Można by spokojnie nic nie robić, zadowalając się sprawozdawczością na użytek władz zwierzchnich, jeśli jednak chce się coś zrobić dla Ziemi Łęczyckiej, trzeba radzić sobie samemu, gdyż Płock bliższy jest sprawom ziem tradycyjnie skupionych wokół niego. Mamy teraz szczególny okres. Kryzys i wszystkie jego konsekwencje, wprowadzana reforma gospodarcza oraz decentralizacja procesów decyzyjnych, wszystko to sprawia, iż póki nie ustali się ostatecznie zakresu kompetencji i samodzielności władz lokalnych, póty chęci będą duże, a możliwości małe. Dla Łęczycy czas jest tym trudniejszy, że nie jest ona zintegrowana z gospodarką ziemi płockiej, ciągle zerka na Łódź. W rolnictwie widoczny jest stary związek z regionem łódzkim. Część rolników, zwłaszcza uprawiających warzywa, nadal odstawia swe produkty do Łodzi, część zaś, zwłaszcza z północy Ziemi Łęczyckiej, zaopatruje nie płockie, lecz gdańskie, słupskie i bydgoskie. Tak ukształtowała się tradycja związków gospodarczych i handlu płodami rolnymi.

WRACAĆ — NIE WRACAĆ?

Znamienne, że zarówno w Komitecie Gminnym PZPR, jak i w Urzędzie Miasta zwrócono uwagę na ten sam specyficzny moment — jak mi powiedziano — najlepiej oddający sytuację Łęczycy i Ziemi Łęczyckiej. Nie tyle chodzi bowiem o przynależność administracyjną do Łodzi czy do Płocka (jak wspomniał S. Sobczak — w obu wypadkach nie oznacza to kokosów dla Łęczycy) — ile raczej o fakt zburzenia struktury, która dla Łęczycy była niezbędnym punktem odniesienia.

— *Żebyśmy się dobrze zrozumieli* — zaznacza tow. Jóźwiak — *nie chodzi o jakieś sentymenty do niegdysiejszego powiatu. Założenie reformy — uproszczenie władzy administracyjnej spowodowało w naszym przypadku rozbicie mikroregionu. Dla Łęczycy akurat powiat czynił z miasta ośrodek koncentrujący życie gospodarcze i kulturalne. Łęczyca promieniowała na dalekie okolice (choćby zasięg gazety łęczyckiej obejmujący Tomaszów i Rawę Mazowiecką), była silna właśnie siłą swego mikroregionu. Bez tego zaplecza miasto jest bezradne, a z Mazowszem wciąż nie zespolone.*

— *Łęczyca* — mówi Stefan Sobczak — *w gruncie rzeczy straciła na wszystkich tych „rewolucjach". Zlikwidowanie powiatów przerwało stare tradycje administracyjne, bo doświadczona, znająca teren kadra, albo się wykruszyła, albo — jako najbardziej fachowa, powędrowała na szczebel wojewódzki.*

Szkoda, bo nic nie robi takiego bałaganu, jak reorganizacja administracji, zwłaszcza tej najbliższej ludzi. Nastąpiła także — co jest chyba najtrudniejszą do odrobienia stratą — dezorganizacja więzi kulturalnych mikroregionu łęczyckiego oraz związków kulturowych z Łodzią. Przedtem był w Łęczycy bardzo prężny Powiatowy Dom Kultury. Organizował szereg imprez, wystaw, współdziałał z Muzeum na Zamku, ściągając teatry z Łodzi, działał w ścisłym kontakcie z łódzkim środowiskiem naukowym i artystycznym. Sprawował też pieczę nad terenowymi ośrodkami, jak kluby rolnika czy punkty biblioteczne. Reforma terytorialna pociągnęła za sobą także reorganizację w sferze kultury. Niegdyś powiat łęczycki to dziś cztery gminy, każda to niemal mini-państewko rządzące się samo dla siebie. Powstały Gminne Ośrodki Kultury, usiłujące na własnym terenie robić to, co niegdyś załatwiała Łęczyca. GOK są zbyt słabe, by podołać wszystkim potrzebom, a odizolowane administracyjnie miasto i gmina Łęczyca nie jest w stanie im pomóc. Zmniejszyła się liczba punktów bibliotecznych, spadło czytelnictwo, brakuje wykwalifikowanych instruktorów, a generalnie wszystkim brakuje pieniędzy.

Największym jednak błędem, który ciężko zaważył na kulturalnej spoistości Ziemi Łęczyckiej, było zlikwidowanie w grudniu 1977 roku własnej gazety „Ziemia Łęczycka". Jak sądzą łęczyccy działacze decyzja ta miała na celu kulturalne scalenie nowego województwa płockiego i objęcie także Łęczycy działaniem prasy płockiej. Zamiar się nie powiódł, bo ludzie gazet płockich nie czytają, a po drodze rozsypało się silne środowisko łęczyckich działaczy kulturalnych i społecznych skupionych wokół swojej gazety. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, jak kolosalne znaczenie ma własna, czytana od deski do deski gazeta, tak w sensie politycznego oddziaływania, jak i kulturalnego wychowywania społeczeństwa. Zresztą, żeby skala straty stała się jasna, przytoczę kilka faktów z historii.

Pierwszą działalność drukarską i wydawniczą w Łęczycy zapoczątkował sławny Daniel Drukarz (zwany też Danielem z Łęczycy), reformacyjny działacz wydający liczne pisma Braci Czeskich i Arian (jest to druga połowa XVI wieku). To on właśnie założył w 1557 roku słynną ariańską drukarnię w Pińczowie. Silny ośrodek wydawniczy w Łęczycy istniał właściwe nieprzerwanie aż do lat 60 naszego stulecia, kiedy to (istniejąca zresztą do dziś) drukarnia miejska zajęła się akcydensami, zaś druk czasopism przejęło Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Żeby nie być gołosłowną w podkreślaniu świetności wydawniczej w Łęczycy: od 1915 roku ukazuje się regularnie wydawane pismo „Łęczycki Tygodnik Powiatowy" (do 1917 roku). Od 1926 — „Słowo Łęczyckie". W latach 1932—1^39 tygodnik społeczno-kulturalny „Ziemia Łęczycka". Młodzież szkolna wydawała w latach 1934—1939 własny miesięcznik „Głos Młodzieży" (wszystkie tytuły drukowane na miejscu). Po wojnie, od 1955 roku ukazuje się „Express Łęczycki", organ Powiatowego Komitetu Frontu Narodowego — pierwsze pismo drukowane już w Łodzi. Górnicze pismo „Zagłębie Łęczyckie" (od 1956 roku). Wreszcie od lipca 1957 roku ukazuje się miesięcznik regionalny „Ziemia Łęczycka", redagowany społecznie przez Społeczną Radę Kultury. W 1962 roku, po przejęciu przez ŁWP, rozwiązano społeczne kolegium redakcyjne, tworząc zawodowy zespół dziennikarski.

Czy można nierozważnie marnować taką tradycję? Niech mi wolno wierzyć, że ten błąd da się naprawić.

MUSZĄ BYĆ NICI WIĄŻĄCE

Przedstawiona powyżej sytuacja Łęczycy najdotkliwiej uderza w młodzież. To właśnie ona staje się probierzem dla żywotności i perspektyw Łęczycy. Wszystkie zaś problemy miasta i mikroregionu powodują groźne zjawisko starzenia się społeczności. Niewielki przemysł nie jest w stanie wchłonąć nowych roczników. Kilka szkół ponadpodstawowych (Liceum Ogólnokształcące, Technikum Łączności, Zespół Zawodowych Szkół Górniczych i nieduża Zawodowa Szkoła Rolnicza) nie dają zbyt szerokiego wyboru kierunków kształcenia. Nie zawsze też wybiera się szkołę zgodnie z zamiłowaniami, częściej — po prostu taką, jaka jest na miejscu. Powoduje to zrozumiałe przesycenie miejscowego zaplecza gospodarczego specjalistami tych kilku dziedzin. Stąd naturalny odpływ młodzieży w poszukiwaniu pracy lub dla dalszej nauki. Skromna zaś oferta miejsc pracy i brak mieszkań uniemożliwiają ściągnięcie absolwentów wyższych uczelni, szczególnie dotkliwe jest to w sferze kultury. Może się stać tak, że Łęczyca będzie jedynie miejscem dożywania starości i sypialnią dla większych centrów przemysłowych, zatracając jednocześnie swoje własne tętno.

Młodzież zechce pozostać w rodzinnym mieście tylko wtedy, gdy znajdzie tu sensowne perspektywy bytowe i możliwość uczestniczenia w życiu kulturalnym.

Wypowiedzi działaczy młodzieżowych (Wacław Urbański — Zarząd Gminny ZMW i Marcin Żurek, ZHP — hufiec im. Bohaterów Bitwy nad Bzurą) świadczą o poważnych trudnościach w integrowaniu i aktywizacji młodego pokolenia. Obaj rozmówcy główne przyczyny słabości ruchu młodzieżowego widzą w zerwaniu ciągłości doświadczeń i form pracy z młodzieżą, po powstaniu FSZMP.

— *Jeśli zapomina się* — mówi Wacław Urbański — *że każde środowisko młodzieżowe ma swoją specyfikę i wymaga różnego podejścia, to powstaje zunifikowana próżnia, a w tę próżnię wkracza telewizja jako jedyne „oko na świat". W wypadku młodzieży wiejskiej zrobiono już tyle głupstw, że reaktywowany zaledwie przed rokiem Związek Młodzieży Wiejskiej urobi sobie ręce po łokcie nim odrobi straty. O tym, by osiągnąć poziom i bogactwo działalności, jaką szczycił się niegdyś ZMP— Wici, na razie nie ma co marzyć. Najpierw trzeba skrzyknąć starych aktywistów z ruchu wiejskiego. Czasem wystarczy jeden człowiek we wsi, by z pomocą Zarządu Gminnego zaczął skupiać wokół siebie chętnych do pracy. Trzeba odbudować podstawy materialne działania na wsi — kluby, ogniska. Powolutku, zaczynając od spraw najprostszych, będzie można realizować większe zamierzenia, a plan zakłada, by każda wieś posiadała miejsce, gdzie będzie można nie tylko wypić sakramentalną kawę i potańczyć, ale gdzie będzie prasa i książki (osobny ciężki orzech do zgryzienia to odbudowa księgozbiorów w punktach bibliotecznych), gdzie przyjedzie lekarz z wykładem lub instruktor rolny. Przede wszystkim musimy zdobyć fundusze, głównie własnymi siłami oraz ruszyć z miejsca oświatę rolną. O jednym tylko trzeba pamiętać: na robotę społeczną trzeba mieć czas. A większość członków ZMW pracuje przecież w gospodarstwach rolnych.*

— *Muszą istnieć nici wiążące* — mówi Marcin Żurek — *pracę młodzieży harcerskiej, w większości skupionej w miastach, z młodzieżą wiejską. Bardzo opornie idzie sprawa rozwoju harcerstwa na wsi, gdzie brakuje instruktorów. Trudno się temu dziwić. Życie na wsi uczy szacunku dla konkretu, a dotychczas kadra ZHP gros czasu musiała poświęcać na papierkową robotę kancelisty. Sprawozdania, wytyczne, wykazy poleceń, a w chwilach wolnych można było robić prawdziwe harcerstwo. Przy tym i tutaj ilość nie przeszła w jakość. „Siłowe" powiększanie szeregów, na przykład zmuszanie nauczycieli do pracy w instruktorce harcerskiej, zaważyło i na kadrach wymagających teraz przeglądu i szkolenia, i na ucieczce młodzieży zniechęconej biurokratyzmem. Dopiero teraz, po Walnym Zjeździe ZHP, przywraca się właściwą, podstawową dla Związku, rangę drużynie harcerskiej. Powoli toruje sobie drogę świadomość realnego wpływu na kształt własnej pracy.*

Obaj moi rozmówcy podkreślają, że starsze pokolenie nie zawsze rozumie źródła bierności młodzieży, nie pamięta, że po latach zarządzania, dyrygowania, myślenia za młodzież, trzeba czasu, by ta nauczyła się pracować i planować sama dla siebie.

— Co się więc stanie z Łęczycą? — pytam Stefana Sobczaka i słyszę w odpowiedzi, że nie jest tak beznadziejnie, trzeba tylko sposobem.

Sposób na kłopoty Łęczycy — mówi — *jest jeden. Powrót do naturalnego regionu łódzkiego i odbudowa własnego mikroregionu. Zdajemy sobie sprawę, że kolejna rewolucja reorganizacyjna mogłaby zabić Łęczycę. Trzeba powoli, ewolucyjnie, budować zwarty gospodarczo mikroregion łęczycki, zorientowany na Łódź. Ale nie w charakterze sypialni, lecz autonomicznego zaplecza rolniczego. Szansą jest przemysł przetwórczy, oparty na własnych zasobach. W znacznym stopniu wzbogaci to ofertę pracy dla własnych mieszkańców, a gospodarczy związek z Ziemią Łódzką ożywi z kolei życie kulturalne. Gdybym miał określić najkrócej, czym może i powinna być Łęczyca, to widziałbym to tak: ze względu na swą wielkość, własną bazę gospodarczą i rolnicze tradycje jest nasze miasto idealnym miejscem na suburbie dla deglomerującej się Łodzi. Logika rozwoju wielkiego miasta przemysłowego jest właśnie szansą Łęczycy.*

Na zakończenie jedna uwaga. Nie sposób zmieścić w jednym artykule wszystkich spraw miasta, nawet niedużego. Z pewnością nie o wszystkim, co ważne dla Łęczycy i Ziemi Łęczyckiej zdołałam napisać. Mam jednak nadzieję, że mieszkańcy grodu nad Bzurą na pewno zechcą ów portret uzupełnić i podzielić się swymi refleksjami o rodzinnym mieście.

■

1

Gołe damy na łamy!

Dobra wiadomość jest warta więcej niż kilka wiadomości złych, a to chociażby z tej prostej przyczyny, że złych jest na ogół niepomiernie dużo, a dobrych o wiele, wiele za mało. Pomijając różnicę w jakości (dobro — zło), już sam stosunek ilościowy sprawia, że przeciętny człowiek wygląda dobrej nowiny, jak przysłowiowa kania deszczu. Mam właśnie taką nowinę i śpieszę się podzielić, bo może nie do wszystkich dotarła. Otóż fotoreporter CAF Wojciech Frelek w „Expresie Ilustrowanym" z 18—20 czerwca donosi, że *„Dziewczyny nie tracą głowy"* i dokumentuje to stosowną ilustracją. Na owej że dwie dorodne dziewczyny (widać to wyraźnie), które głowy na pewno nie straciły (to widać), a przeciwnie, zrobiły *zdaje się* wszystko, aby głowę stracił ktoś inny...

Zacytuję tekst informacji, uważam bowiem, że jest ona dość istotna (z wielu powodów) dla wielu z nas. Otóż: *„Dziewczyny nie tracą głowy! Jakby na przekór wszelkim kłopotom wcale nie widać, żeby machnęły ręką na wygląd zewnętrzny — strój, uczesanie, makijaż. Wprost przeciwnie mają sto i jeden pomysłów na ładny i świeży wygląd. Widać to na ulicy, w parku i na uczelni. Wyciągnęły swoje letnie kolorowe szmatki, coś przerobiły, skróciły (mini znowu modne!) ewentualnie wydłużyły (długość za kolana nic a nic nie straciła na aktualności) i prezentują się, jak za najlepszych czasów w powiewnych, często mocno wydekoltowanych sukienkach czy bluzkach".*

No i czyż nie jest to dobra nowina?

Niejasne są dla mnie co prawda słowa „jak za najlepszych czasów" — ale być może autor ma tu na myśli swoje minione lata (nie znam wieku autora), kiedy prezentowały mu się dobrze wszystkie dziewczyny, albo czasy niepodzielnego panowania na przykład „mini" (od dołu i od góry), albo może czasy, gdy nie było tych cyrków z pogodą, gdy lato było latem, wiosna wiosną, jesień jesienią... Albo może jeszcze coś innego...

Natomiast dobrze, że ktoś zwrócił w ogóle uwagę na dziewczyny i że jest pretekst aby o nich pomówić. Bowiem kryzys kryzysem, stan wyjątkowy stanem wyjątkowym, reforma reformą, Reagan Reaganem, ale na miły Bóg — dziewczyny są na świecie! I u nas też są! Na przekór wszystkim kłopotom (a może na dodatek).

Swojego czasu dorobiliśmy się (z trudem) pewnego luzu w sprawach „gołej dziewczyny", dyskusji o seksie, ba, nawet Wisłockiej! Gazety dość powszechnie drukowały zdjęcia roznegliżowanych aktorek, modelek i amatorek. A potem „sytuacja" wymiotła golizne z łamów. Ale sytuacja się normuje i czas, aby dziewczęta powróciły na łamy. Gołe damy na łamy! (dobre, nie? własne!) Bez Was są one smutne i monotonne. I nie ma się czego wstydzić (nie mówię o dziewczętach, a o redaktorach). Już starożytni Grecy i Rzymianie żywili wielki kult dla nagiego ciała widząc w nim słusznie, i piękno niedościgłe, i mądrość natury — twórczyni doskonałej. Wszystkim światłym i twórczym okresom historii człowieczej towarzyszyła zupełnie lub w dużej mierze rozebrana kobieta (vide obrazy, sztychy, rzeźby). Rewolucja francuska odrzuciła gorsety i staniki, a przecież nie mamy nic przeciwko rewolucji francuskiej. Czasy WIELKIEJ REKLAMY, komputeryzacji i lotów kosmicznych sprawiły, że parę milionów świetnie zbudowanych dziewcząt doszło do wniosku, że bez majtek i stanika jest im na co dzień i wygodniej i bardziej „do twarzy"... Film, telewizja, prasa, sztuka zrobiły swoje, ugruntowały, utrwaliły, zakodowały jeszcze mocniej w podświadomości współczesnych niezaprzeczalny fakt istnienia NAGIEJ. I to w sposób nieodwracalny. Ciało dziewczyny zostało wkomponowane we współczesny pejzaż miejski, wiejski i nijaki. W pejzaż zewnętrzny i wewnętrzny dzisiejszego człowieka. I pomijając te przypadki, gdzie ciało wykorzystane zostało do celów obscenicznych rozrywek i doznań, w samej nagości nie ma nic zdrożnego (sądzić by można, że pisanie takich truizmów już się nikomu nie zdarzy — otóż przeciwnie). A zatem — w samej nagości nie ma nic zdrożnego! Oczywiste piękno natury zasługuje nadal na uznanie i podziw. A jeno zafałszowani prorocy fałszywej moralności, którzy co jakiś czas podnoszą swoje głosy sprzeciwu mogą „coś mieć" do gołej panienki na zdjęciu czy obrazie. Przesławna batalia o „Wenus" krakowską była onegdaj tego najlepszym (i smutnym) przykładem...

Jestem więc zdania, że akty, pół-akty, ćwierć-akty, portrety dziewcząt powinny wrócić na łamy gazet. Ta nagość istnieje. Jest piękna. Dobrze sfotografowana czy narysowana, jest piękna w dwójnasób, bo i sama w sobie i jako dzieło sztuki. Stosunek do nagości, a pośrednio i do seksu jest także wykładnikiem kultury społeczeństwa. W równym stopniu, co stosunek do starców, dzieci i zwierząt. Ci, którzy chcą te sprawy zamknąć z powrotem w komórce, nie zasługują na miano współczesnych i światłych. Przeciwnie, cuchną mi ciemnogrodem i zaściankiem. Założeniem jest, aby stworzyć możliwości wszechstronnego rozwoju osobowości człowieka. Niepoślednią rolę odgrywa w kształtowaniu tej osobowości także podejście do seksu.

Posłużyłem się nagą dziewczyną na łamach gazet jako pretekstem, niepokojące są bowiem powtarzane tu i ówdzie opinie, że nagość jest grzeszna, niemoralna i nie licująca z duchem czasu i że seks to znowu to „coś" co należy przemilczeć, o czym należy zapomnieć, a jak nie da rady zupełnie, to przynajmniej tak się zachowywać, jak by to była grypa lub koklusz. Jednak, czy chcą tego pewni poprawiacze moralności czy nie — jest to problemem. I w odniesieniu do młodzieży, która wchodzi w życie, i dla młodzieży „już żyjącej" ze sobą, aż po lekarzy psychiatrów i seksuologów.

Na koniec ostrzegam, że tu i ówdzie pojawiają się tacy, którzy chcieliby udowodnić, że kobiecie obecnie najbardziej do twarzy jest w... kolejce.

ANDRZEJ GRUN

2

Lewym okiem

Brak motywacji

Dni mamy nareszcie ciepłe, a nawet gorące. Idąc ulicami miasta, tymi trochę dalej od Piotrkowskiej, coraz to przebijamy się przez chmurę intensywnego smrodu. To pojemniki ze śmieciami, wystawiane nagminnie prosto na chodnik, przepełnione obrzydliwą zawartością, czekające na wóz asenizacyjny. Potem po opróżnieniu stoją nadal, puste — ale nadal cuchnące. Jeszcze niedawno tego nie było. A teraz jest i już zaczynamy się przyzwyczajać.

Ktoś mi nawet próbował tłumaczyć, że jest taka instrukcja, że wozy nie mogą wjeżdżać w podwórza, że oszczędność na czasie, benzynie i ludzkiej pracy. Jeśli to prawda, to mamy do czynienia z instrukcją horrendalną. Wóz nie musi wjeżdżać w podwórze, bo pojemnik po to jest na kółkach, żeby go w miarę potrzeby „przemieszczać". To ukółkowienie naszych śmietników kosztowało olbrzymie pieniądze, ale miało przecież czemuś służyć. Że trzeba wypchnąć pojemnik i zabrać go później z powrotem? Ano trzeba i zaniechanie tego nie jest żadną oszczędnością, tylko próżniactwem i niechlujstwem. Inna rzecz, że większość pojemników już jest pogiętych, z połamanymi podwoziami, zrujnowanych. Wiele z nich w mojej okolicy leży bezradnie na boku, jak zdechłe mamuty. Ale to także wynik niechlujstwa i braku elementarnej troski o sprzęt użyteczności publicznej.

Na rogu ulic Sterlinga i Nowotki prowadzono niedawno jakieś wykopkowe prace wzdłuż jednego z domów, w miejscu, gdzie chodnik jest wąski. Takich prac, tak samo prowadzonych spotyka się wiele, nie jest to wcale przykład szczególny: po ich zakończeniu ułożono płyty chodnika tak, że... no, proszę ślicznie, niech wysoka kontrola przyjdzie i zobaczy. To jest oburzający skandal. Tędy nie można przejść — płyty się pozapadały, stworzył się karkołomny tor przeszkód, pod nogami dziury, schody, wyboje. Skandal! Okraszony dodatkowo smrodem, o którym mowa wyżej. Powtarzam: to wcale nie jedyne miejsce tego rodzaju w Łodzi. Czy ktoś się tym zainteresuje? Jak znam życie — na pewno nie. Będziemy wykręcać nogi aż do następnych wykopków, po których będzie jeszcze gorzej.

Przeczytamy za to mnóstwo mądrych artykułów o braku motywacji do pracy w ogóle, a do dobrej pracy w szczególności. Filozofię można dorobić do wszystkiego, wysubtelnić ją, wysublimować, i już potem mówić tylko o mówieniu. A żeby tak choć raz domówić do końca i do końca *załatwić* sprawę na przykład tego konkretnego chodnika na konkretnym rogu?

Rok temu tygodnik „Walka Młodych" obserwował przez tydzień grupę, „pracującą" przy budowie pawilonu handlowego na Stegnach w Warszawie. Koparka, dźwig i ciężarówka stały cały tydzień nieczynne na tych samych miejscach. Sześciu robotników — cytujemy: „w poniedziałek gawędzą siedząc w kucki; we wtorek opalają się kolektywnie; w środę i czwartek zepsuły się stosunki międzyludzkie i każdy plażuje osobno, w piątek kolektyw się zespolił i gra w karty".

Brak motywacji do pracy. Jakość życia. Brak motywacji do podniesienia jakości życia? Czy może właśnie upatrywanie najwyższej, docelowej jakości w tym absolutnym, gnuśnym, niechlujnym, wolnym od ambicji i wymagań nieróbstwie, którego przejawy widzimy na każdym kroku?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (ĆWIEK)

3

Zdarzenia i zwierzenia

U źródeł łódzkiego dramatu

Tradycje dramaturgiczne naszego miasta — tak chętnie i często zwanego „złym miastem" — są równie stare, jak tradycje poetyckie. Tak się składa, że pierwszy utwór sceniczny łódzkiego autora i o łódzkiej tematyce związany jest z nazwiskiem pierwszego łódzkiego poety Wiktora Dłużniewskiego.

Otóż Dłużniewski, który w 1857 roku opublikował w Warszawie pierwszy poemat o Łodzi — w tym samym roku napisał utwór dramatyczny zatytułowany **„Wyprawa do Ameryki czyli guotlibet z żywych obrazów miasta Łodzi"**. Była to satyra na łódzkich Niemców — rzecz zresztą nigdy nie doczekała się scenicznej realizacji. Do niedawna w ogóle nikt nie wiedział, że utwór taki istnieje, a to dlatego, że Dłużniewski wysłał swoje dzieło do oceny Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu i „Wyprawa do Ameryki" utonęła gdzieś w stertach archiwaliów pozostałych po płodnym, jak wiadomo, pisarzu.

Sztukę Dłużniewskiego odnalazła dopiero profesor Aniela Kowalska z Uniwersytetu Łódzkiego penetrując w Bibliotece Jagiellońskiej archiwalia Kraszewskiego.

Potem, w końcu XIX wieku napisał parę utworów dramatycznych Lucjan Kościelecki — były aktor, który na skutek głuchoty musiał porzucić scenę — poświęcił się dziennikarstwu, lecz teatrowi pozostał wierny pisząc sztuki, głównie dla teatrów objazdowych. Nie były to z całą pewnością dzieła wybitne, ale mają one przecież jakieś swoje miejsce w historii łódzkiego dramatu.

W roku 1903 ogłoszono w Łodzi — pierwszy z całą pewnością — konkurs dramatyczny im. Henryka Sienkiewicza. Oczywiście nagrody zdobyli pisarze: Tadeusz Rittner, Bolesław Gorczyński i Stanisław Brzozowski — z Łodzią bliżej nie związani. Ale właśnie w owym konkursie wyróżnienie otrzymał Mieczysław Hertz za sztukę **„Ananke"**. Hertz nie był zawodowym literatem — prowadził w Łodzi biuro handlowe przez blisko 50 lat, zasłużył się również jako działacz Polskiego Towarzystwa Teatralnego. **„Ananke"** — wydana drukiem w roku 1904 — była więc pierwszym utworem dramatycznym łodzianina, który w tym mieście miał swoją prapremierę.

Utwór głosił w podtytule **„Baśń dramatyczna w sześciu obrazach"** i była to zawoalowana satyra na łódzkich przemysłowców. Wystawił ją w Teatrze Polskim Marian Gawalewicz.

Cztery lata później ogłoszono podobny konkurs, w którym pierwszą nagrodę zdobył ks. Antoni Szandlerowski za utwór **„Triumf sztuki"**. Dwa lata później głośna była w Łodzi sztuka Heleny Rozgórskiej **„Odrodzona Ewa"** — o pannie na wydaniu ze wzbogaconej rodziny żydowskiej, która poszła za głosem serca... Sztukę tę wystawił Aleksander Zelwerowicz grając w niej jedną z głównych ról.

Przygotowując ten felieton sięgnąłem do notatek jakie przed wielu laty poczyniłem z rozmów ze Stanisławem Chruszczewskim, nieżyjącym już od dawna łódzkim dziennikarzem, pisującym pod wieloma pseudonimami, a noszącym rodowe nazwisko Kempner.

Informacje [illegible] są od ścisłości — był już wówczas człowiekiem w bardzo podeszłym wieku. Kiedy dziś weryfikuję te notatki z ustaleniami historyka literatury widzę, że Kempner mylił imiona autorów, mieszał daty — myślę jednak, że warto jego wspomnienia przytoczyć.

Otóż — według informacji Chruszczewskiego-Kempnera — w 1915 roku Julian Tuwim wystawił w Łodzi własną adaptację **„Cara Pawła"** Dymitra Mereszkowskiego. Rolę tytułową grał przez jakiś czas sam Ludwik Solski, a po jego wyjeździe bardzo znany i utalentowany aktor łódzki Stefan Szosland.

W tym samym roku 1915 głośna była w Łodzi rewia Eliasza Froma, pisującego pod pseudonimem Andrzeja Nullusa. W rewii wystąpił polski ułan, co wśród publiczności wywoływało ogromny entuzjazm i spowodowało aresztowanie autora przez niemiecką żandarmerię.

Potem — już w okresie dwudziestolecia międzywojennego — debjutowali w Łodzi utworami dramatycznymi przeważnie dziennikarze. Tak więc — przypomniał Kempner — sztukę **„Elenit alfa"** znanego dziennikarza Mariana Ołtaszewskiego oraz komedię Adama Górskiego pt. **„Król bawełny"**, będącą, jak mówiono, satyrą na Oskara Kona i Karola Scheiblera.

W notatkach z rozmów z Kempnerem jest i taka informacja: „W roku 1933, a więc w roku dojścia Hitlera do władzy, w teatrze na Cegielnianej Stanisław Bal debiutuje reportażem scenicznym **„Nie wierzcie Niemcom"**. Cenzura jednak zakwestionowała tytuł i utwór Bala ujrzał światła rampy jako **„Niebieska kotwica"**. Sztukę reżyserowała Stanisława Wysocka, a oprawę scenograficzną dał Stanisław Jarocki".

Do tej informacji dodać jeszcze należy, że Stanisław Bal to jeden z wielu pseudonimów Stanisława Chruszczewskiego.

Kończąc te niezweryfikowane przez historyków notatki z dziejów łódzkiego dramatu, pozostaję w przekonaniu, że warto je było przypomnieć, warto było zebrać te okruchy przeszłości, aby uświadomić współczesnym, że łódzka kultura nie rodziła się na jałowej glebie. Nie rosły tu z pewnością najpiękniejsze kwiaty, ale pustyni nie było.

JERZY WILMAŃSKI

4

Spojrzenie znad szachownicy

Ja a piłka nożna

Tytuł zdaje się wskazywać na bezczelną wprost zarozumiałość, jako że słowa „ja" niemal w ogóle nie zwykło się u nas używać, w przeświadczeniu, że dużo lepiej brzmi „my sądzimy", bądź „my uważamy", czyli poczciwe „pluralis maiestatis", dziś wyraźnie zdemokratyzowane. W istocie, jak się za chwilę okaże, zamierzam złożyć głęboką samokrytykę z całości zmarnowanego żywota, tylko od czasu do czasu lekkie rozdając kuksańce, nie lubię bowiem gdy mnie przezywają od „samozwańczych ekspertów" czy jakoś podobnie. Na bity tydzień zatkało mnie z oburzenia: o samozwańczość mniejsza, istotnie z czystego porywu serca próbowałem nieść w naród, żurnalistów nie wyłączając, kaganek piłkarskiej oświaty, zaraz się jednak okaże, kto może być tu za eksperta, a kto nie bardzo.

1.

W pierwszym numerze wznowionych „Odgłosów" ukazał się wywiad red. Bogdy Modej z Włodzimierzem Smolarkiem, w którym znakomity zawodnik sformułował głęboką myśl, skrupulatnie przez prostolinijną dziennikarkę zanotowaną. Cytuję:

„PIŁKA TO NIE SZACHY".

Myśl jest bez wątpienia prawdziwa lecz da się ją też sformułować odwrotnie: SZACHY TO NIE PIŁKA (NOŻNA). Podstawowa różnica leży w tym, iż w szachach nie wolno kopać niczego i nikogo, nawet przeciwnika. W piłce wolno i w tym jej urok.

Podobieństw, wbrew pozorom, jest natomiast więcej. W piłce, jak w szachach, całkiem nieźle jest myśleć w czasie gry, które to myślenie — nawiasem mówiąc — dałoby się także zastosować w dziennikarstwie... W szachach z kolei, jak w piłce, bezwzględnie trzeba mieć wyśmienitą kondycję, partia trwa bowiem do pięciu godzin, stanowiąc ogromny wysiłek energetyczny dla organizmu. Mózg — mówię to na użytek ludzi z rzadka go używających — też stanowi część organizmu, co wydaje się wprawdzie dziwne, lecz jest bez wątpienia prawdziwe.

2.

Był jeden jedyny człowiek na świecie, Rumun Suba (jeżeli mylę nazwisko, to tylko dlatego, że z tych transmisji i transmisji nie mam czasu sprawdzać niczego po książkach), który grał w piłkarskiej reprezentacji kraju, a, potem — nieco się postarzawszy — osiągał całkiem niezłe wyniki w szachach. Ja miałem szansę być drugim (a nawet pierwszym, bom starszy), zabrakło wszakże siły charakteru, kopałem jednak prawdziwą piłkę i grałem w prawdziwe szachy, czego o niektórych żurnalistach nijak nie da się powiedzieć.

Kopiąc i grając zauważyłem, że piłka jest okrągła, szachy zaś nie, za to gra się w nie na kwadratowej szachownicy — ścisłą tę obserwację przekazuję tedy całkiem bezinteresownie do dalszej eksploatacji.

3.

Piłkę zarzuciłem w wieku lat mniej więcej dziesięciu, bo choć miałem zamiar zostać reprezentacyjnym pomocnikiem, a wyczytawszy gdzieś, że wymaga to ogromnej wytrzymałości, biegałem za przeciwnikami jak oszalały, niestety moje podania trafiały potem całkiem nie tam, gdzie miały trafiać, a nawet jeszcze gorzej.

Byłbym się oczywiście w przyszłości wydoskonalił, nie wystawiony jednak w ważnym meczu do reprezentacji podwórka dumnie usunąłem się w cień niby Jan Tomaszewski, a co gorsza na znak protestu przeczytałem również kilka książek. Miało się to na mnie srogo zemścić.

4.

Całkiem prawdziwym mistrzem Polski juniorów w szachach zostałem w wieku lat szesnastu, niestety lekkomyślnie przeczytane w dzieciństwie książki tkwiły mi nadal uparcie w głowie i wciąż wahając się — zostać mistrzem świata, czy Grzegorzem Lasotą, bezlitosnym krytykiem i apostołem socrealizmu — poszedłem na łatwiznę i jak kto głupi postawiłem na to drugie.

Socrealizm za trochę unieważniono, konkurenci w szachach zrobili postępy, ja nie, bo trenowałem głównie tropienie podejrzanych „izmów", co załamało mnie i skołowało tak zupełnie, że wybrałem zło najgorsze: zacząłem robić za dziennikarza w gazecie.

5.

Przebieg dziennikarskiej kariery opiszę w przyszłości, mogę jednak uchylić rąbka tajemnicy: to chciano mnie za coś tam awansować, to chciano mnie za coś tam innego wyrzucić, aż dla dopełnienia czary upokorzeń zwyciężyła tendencja pierwsza. Uległem jej przez wieczną słabość charakteru i zostałem tzw. kierownictwem, a człowiek, który dyryguje innymi, jak niby kto ma pisać, sam się natychmiast pisania oducza (nawet zakładając optymistycznie, że kiedykolwiek potrafił).

I tak nie wyrosłem ani na piłkarza, ani na szachistę, ani na Lasotę, ani na dziennikarza nawet. Moje jednak będzie nie tyle za grobem, co przed grobem zwycięstwo, wraz z wiekiem przychodzi bowiem rozkoszna zdolność do zapominania tego, co się przed chwilą zdarzyło, przypominania zaś — całego rozległego dzieciństwa. Nie pamiętam już prawie komu miałem w tym felietonie dołożyć, ale pamiętam, jak na super-pomocnika rosłem. Czy wyobrażacie sobie państwo babę w majtkach ganiającą po boisku w charakterze Bońka? Nie wyobrażacie — a taka jeszcze podskakuje!

JERZY P.

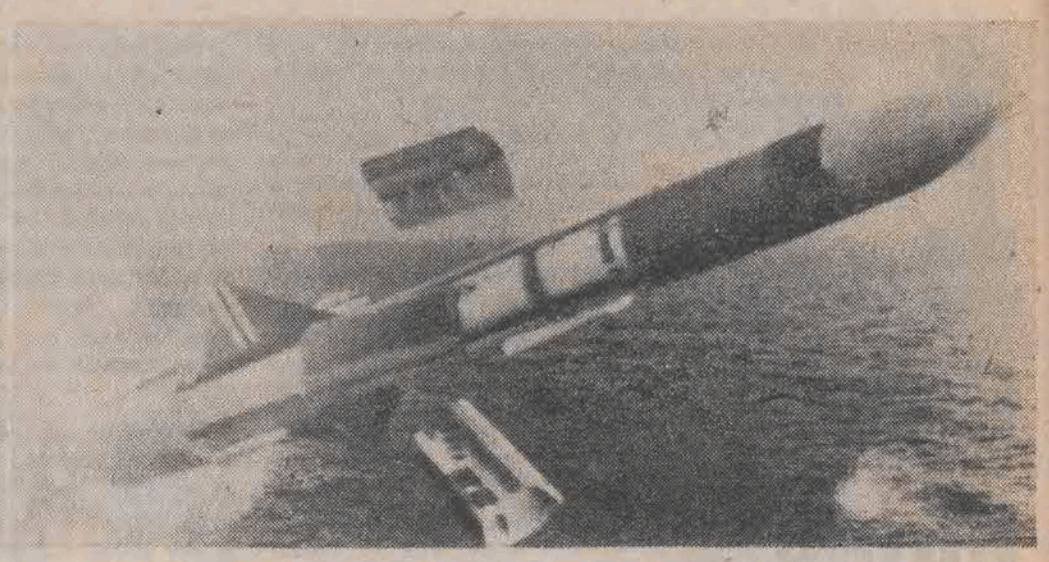

Niezrozumiała i niepotrzebna wojna na południowym Atlantyku dobiegła końca. Ale budziła ona i budzi nadal wiele niepokoju i jest powodem różnorodnych rozważań: politycznych, gospodarczych i militarnych. Uważa się, że Falklandy-Malwiny były doskonałym poligonem wojennym. Pisały na ten temat amerykańskie czasopisma „Newsweek" i „Time".

Czytelnikom „Odgłosów" prezentujemy opracowanie francuskiego tygodnika „Le Point", ujawniające również rolę USA w tej wojnie.
Wojna na południowym Atlantyku pokazała jednak — mimo użycia najnowocześniejszej techniki — że najskuteczniejszym sposobem rozwiązywania konfliktów są rokowania.

Poligon na południowym Atlantyku

W ciągu tych szalonych dni, kiedy mamy do czynienia z wojną w zmniejszonej skali ukazującą to wszystko, co może znaleźć zastosowanie w konflikcie bez użycia broni nuklearnej łatwo jest snuć spekulacje w oparciu o częściowe tylko dane.

NIEPEŁNY OBRAZ

Obie strony ujawniają nader skąpe informacje, przez co wiele pytań musi pozostać bez odpowiedzi. Mówi się np., że marynarka wojenna jest wrażliwym rodzajem broni, bo kilka torped może posłać na dno lotniskowce Royal Navy. To prawda, ale któż inny, jak nie marynarze miał pospieszyć na Malwiny? Bez tych dwóch lotniskowców i innych okrętów Margaret Thatcher nie mogłaby nawet marzyć o podjęciu działań. Pięć brytyjskich okrętów wojennych zostało wyeliminowanych z walki. Stało się tak również z 50 samolotami argentyńskimi, co stanowi czwartą część argentyńskiego lotnictwa. Przed kilku dniami stwierdzono zresztą, że brytyjskie lotniskowce w dalszym ciągu są sprawne, natomiast Argentyńczykom nie pozostało na Falklandach żadne lotnisko zdolne do użycia. Chociaż lotnictwo argentyńskie zadało Anglikom bardzo ciężkie straty, to przecież nie mogło samo przeszkodzić w lądowaniu na Malwinach.

Jeśli dziś wielu ludzi dziwi się wydarzeniami tej wojny, to jest to w jakimś sensie wynik wadliwych obliczeń. Traktowano jednakowo np. nowoczesne samoloty Super Etendard i samoloty Mirage wyprodukowane przed 20 laty. Argentyna zmuszona była powierzać swym lotnikom misje typu „kamikaze". Jeden z francuskich ekspertów, były pilot, oświadczył nam, że były to misje samobójcze. Chociaż lotnicy argentyńscy wzbudzili podziw świata, to przecież w tej pierwszej fazie wójny sami wzięli na siebie podstawowy ciężar walki.

Dlaczego tak się stało? Właśnie dlatego, że w gruncie rzeczy nie doszło do bitwy morskiej. Kiedy pojawiły się nuklearne podwodne okręty szturmowe Royal Navy, nie widzieliśmy już jednostek argentyńskich na południowym Atlantyku. Wyjątek stanowią dwa klasyczne okręty podwodne, które krążą gdzieś w głębinach przyprawiając Anglików o zimne poty.

W tej szaleńczej wojnie na krańcach świata wszystko jest trochę dziwne. Podczas gdy w chwili obecnej Argentyna wystawiła samo tylko lotnictwo, to w pierwszej fazie W. Brytania użyła całej floty wspartej skąpym lotnictwem. W gruncie rzeczy żadna ze stron nie miała tego wszystkiego co jest niezbędne dla przeprowadzenia całej operacji bez nadmiernego ryzyka. Tylko dwa wielkie mocarstwa — Związek Radziecki i Stany Zjednoczone mają wszystko, by dokonać wszystkiego w każdym punkcie naszego globu. Tak na przykład jest z amerykańskimi siłami strategicznymi rozmieszczonymi zazwyczaj na lotniskowcach osłanianych przez jednostki towarzyszące i samoloty typu Awacs, jak również przez jednostki z amfibiami na pokładzie.

Inną szczególną cechą tego konfliktu jest to, że politycy narzucają zawczasu wojskowym granice, wewnątrz których walka jest „słuszna", ale poza którymi niedobrze jest zatapiać okręty przeciwnika. W ten sposób, kiedy wojskowi brytyjscy rozszerzyli strefę operacji morskich aż po wybrzeża Argentyny, sami zgodzili się na ryzyko maksymalnych uderzeń powietrznych. Dlaczego tak zrobili? Chyba dlatego, że jeśli lotnictwo argentyńskie może uczestniczyć w tym konflikcie, to z tej racji, że startuje ono z baz naziemnych, jakich Anglicy nie chcą atakować ze względów politycznych. Ten zamknięty rejon, w którym zwykle parostatki stają się transportowcami wojskowymi, gdzie nowoczesny sprzęt elektroniczny nie wyklucza wcale użycia Gurkhów z nożem za pasem, albo też, gdzie szpiegowskie satelity, ośrodki łączności kosmicznej i pociski samonaprowadzające są równie potrzebne jak ludzie-żaby, jest terenem, na którym rozgrywa się „gra wojenna" fascynująca strategów.

DESANT W STYLU JAMESA BONDA

Lądowanie przeprowadzone przez Brytyjczyków ma trochę charakter operacji na Okinawie w stylu Jamesa Bonda. Komandosi brytyjscy przybywając do Port San Carlos dosłownie uginali się pod ciężarem indywidualnego wyposażenia elektronicznego. Były to pociski przeciwpancerne, miniaturowe radiostacje o dużym zasięgu, a także elementy przenośnej platformy, dzięki którym mogły tam wylądować helikoptery i moździerze kalibru 105 mm. Helikoptery typu Chinóok przywiozły broń przeciwpancerną Rapier. Dwa samochody terenowe kolebiąc się dostarczyły urządzenia radarowe oraz coś w rodzaju wielkiego kotła, z którego wystawały pociski.

Grzęznąc w błocie wylądowali tu najlepsi komandosi Jej Królewskiej Mości. Widać było szkarłatne berety „czerwonych diabłów" z drugiego i trzeciego pułku spadochronowego, a także zielone berety piechoty morskiej. Trochę dalej na Atlantyku zbliżają się do strefy walki, zaokrętowani na „Queen Elisabeth" żołnierze gwardii szkockiej i walijskiej oraz Gurkhowie. Te elitarne pułki (armia lądowa jest od roku 1964 złożona wyłącznie z zawodowców i liczy 176 tys. ludzi bez piechoty morskiej) mają wyraźną przewagę. Swe ćwiczenia odbywały w Norwegii i na północnym Atlantyku, a więc w rejonach, które pod względem meteorologii w niczym nie ustępują Malwinom.

Anglicy zaczęli stosować tę wojnę komandosów już w roku 1941 na wybrzeżach Kanału La Manche i na piaskach Libii. Przez te 40 lat W. Brytania utraciła swe imperium kolonialne, ale jej komandosi nie przestali dokonywać wyczynów w dżunglach Malezji, w sułtanacie Omanu, na Wyspie Borneo i na południowych krańcach Arabii.

200 żołnierzy specjalnych oddziałów lądujących ma na swych beretach wizerunek żaby i dwu skrzyżowanych kajaków oraz dewizę „Nie siłą lecz sprytem". Wybrani spośród żołnierzy piechoty morskiej członkowie oddziału specjalnego otrzymali przeszkolenie we wszelkiego rodzaju walkach, są spadochroniarzami, znają się na saperce, a także rozminowywaniu, są strzelcami wyborowymi i agentami wywiadu. To właśnie oni chronią brytyjskie instalacje naftowe na Morzu Północnym. Oprócz materiałów wybuchowych o specjalnym znaczeniu, mają w swym arsenale aparaty tlenowe pozwalające przemieszczać się na głębokości 5 metrów pod wodą bez bąbelków powietrza, podwodne skutery wyposażone w instrumenty nawigacyjne, palniki tlenowe dla cięcia metali pod wodą i inne wymyślne instrumenty. Ich koledzy francuscy należą do oddziału Hubert, jednej z elitarnych formacji komandosów. Są to „zielone berety" utworzone w Anglii jeszcze w czasie wojny w ramach Sił Wolnych Francuzów.

800 spadochroniarzy z 22 specjalnej jednostki SAS mają w swych koszarach w Hereford emblemat z dewizą „Kto ośmiela się ten zwycięża". Są to specjaliści od głębokiego przenikania poza linie nieprzyjaciela, sabotażu, niszczenia i wywiadu. Cztery szwadrony (78 ludzi w każdym) tych żołnierzy zajmują się zwalczaniem terrorystów. Żołnierze SAS są rekrutowani spośród najlepszych ludzi elitarnych pułków. Potrafią obsługiwać wszystkie rodzaje broni, działają w grupach 4-osobowych, w których przynajmniej jeden żołnierz mówi językiem danego kraju, są zdolni dokonywać rajdów na wielkie odległości i skakać ze spadochronem z wysokości 8 tys. metrów, przy czym spadochron otwiera się dopiero poniżej 1200 metrów. Ich arsenał, to gaz obezwładniający przeciwnika, oślepiające granaty, czujniki podczerwieni i aparatura naprowadzająca bombowce przy użyciu laseru. Od samego początku grupy SBS i SAS zostały zrzucone na południowym Atlantyku przez samoloty Hercules C 130. Ludzie ci zostali wyłowieni przez brytyjski okręt podwodny i przewiezieni w pobliże południowej Georgii, na którą to wyspę dotarli przy użyciu pneumatycznych kajaków.

22 maja Brytyjczycy przeżywali krytyczny moment w operacji lądowania. Żołnierze SBS dokonali wyboru i oznakowania odpowiedniego terenu. Godzina i miejsce lądowania zależały od warunków meteorologicznych. Żołnierze SBS wykryli w ustalonym uprzednio miejscu lądowania większy niż tego oczekiwano garnizon argentyński. Na kilka godzin przed dniem „J" Brytyjczycy musieli więc pospiesznie zmienić plan lądowania. Brytyjscy komandosi aż do ostatniej chwili zwlekali z wysadzeniem w powietrze przeszkód terenowych i oznaczeniem plaży. Chodziło o to, aby zmniejszyć do minimum ryzyko interwencji 120 Argentyńczyków stacjonujących w pobliżu. O godzinie „H" Argentyńczykami zajęła się grupa dywersyjna SAS, odciągając ich w inne miejsce.

W POWIETRZU

Wkrótce potem mnóstwo najprzeróżniejszych jednostek lądujących zaczęło krążyć między wielkimi transportowcami a plażą. Lotnictwo argentyńskie znajdowało się już w stanie pogotowia i samoloty przelatywały tuż nad masztami brytyjskich okrętów.

Było to wyjątkowo trudne zadanie. Argentyńczycy musieli pokonać 1000 km zanim dosięgli celu i czekała ich tak samo długa droga powrotna. Pod skrzydłami samolotów zwisały ciężkie zbiorniki z dodatkowym paliwem. Nawet przy tych zbiornikach dysponowali oni tylko 3 lub 5 minutami na przeprowadzenie walki, bo dłuższe starcie oznaczałoby, że paliwa nie starczy na powrót. Atak prowadzili nad samymi falami, pod ogniem obrony przeciwlotniczej nieprzyjaciela i jego pocisków. Sami dysponowali tylko nieznaczną aparaturą elektroniczną pozwalającą uniknąć radaru i rakiet. Samoloty argentyńskie są przestarzałe. 26 samolotów typu Mirage sprowadzono z Izraela, a zostały wyprodukowane we Francji w latach sześćdziesiątych. Wspaniale spisały się w 6-dniowej wojnie 1967 r. Po wprowadzeniu przez Francję embarga na dostawy broni i części zamiennych, zostały zmodyfikowane przez Izraelczyków, a następnie niezbyt drogo sprzedane Argentynie. Były to znakomite samoloty przechwytujące przed 20 laty. Dodajmy do tego jeszcze ok. 20 samolotów typu Mirage III E, które Argentyna zakupiła we Francji w 1970 roku. Samoloty te odznaczają się tymi samymi parametrami, ale mają lepsze wyposażenie elektroniczne pozwalające na prowadzenie działań niezależnie od pogody. Argentyna ma też ponad 60 amerykańskich samolotów typu Skyhawk. Są to solidne samoloty szturmowe skonstruowane w latach pięćdziesiątych.

Modele argentyńskie są tylko stara wersja samolotów A 4 B, nawet jeśli zostały one zmodernizowane. Mamy tu maszyny typu Pucara używane do walki z partyzantami, nie posiadające właściwie środków obrony. Tylko samoloty Super Etendard naprawdę nadają się do tej nowoczesnej wojny. Jest to maszyna zdolna do lotu i uderzeń z wielką precyzją. Wraz z pociskami francuskiej produkcji AN 39 stanowi broń straszliwą. Gdzie znajdowały się te maszyny podczas walk? Brytyjczycy obawiali się, że przeciwnik wykorzysta te samoloty. Argentyna ma jednak tylko 5 maszyn tego typu. Pozostałe znajdują się wciąż na lotnisku w Bordeaux, gdzie pozwolono zresztą Anglikom dokładnie zaznajomić się z nimi.

Po stronie brytyjskiej wykorzystano po raz pierwszy w walce samolot o prawdziwie rewolucyjnej konstrukcji, jedyny tego typu na świecie, Sea Harrier, który jest morską wersją Harriera. Może startować i lądować na niewielkim skrawku terenu, ma znakomitą zdolność manewru przy niewielkich szybkościach — niemal taką samą jak helikopter. Niemniej jednak jego zasięg działania jest ograniczony. Jest to bardziej bombowiec niż myśliwiec, którego podstawowym zadaniem jest zrzucanie ładunków wybuchowych na cele niezbyt oddalone od bazy. Trudno jest porównywać tę maszynę z samolotami typu Mirage, które w większym stopniu są myśliwcami niż bombowcami. Sea Harrier, a potem Harrier pokazały na Malwinach, że są skuteczne w boju, co prawda w warunkach, kiedy nie musiały obawiać się myśliwców przeciwnika, bo ich bazy są zbyt oddalone od pola walki.

I wreszcie rakiety. Odgrywają one kapitalną rolę. Pociski typu AM 39 zatopiły brytyjski niszczyciel i transportowiec. Pociski te mają zasięg 50—70 km, są powietrzną wersją rakiet Exocet, a wystrzeliwane są z szybkością dźwięku o kilka metrów ponad powierzchnią morza. Argentyna miała do tej pory tylko cztery takie rakiety. Teraz chce mieć ich więcej.

Okręty brytyjskie przeciwko samolotom wyposażone są w rakiety Sea Dart o średnim zasięgu i pociski te znajdują się też w wyposażeniu marynarki argentyńskiej. Brytyjczycy mają ponadto rakiety Sea Wolf i właśnie przy ich użyciu udało się im strącić sporo samolotów argentyńskich. Okręty wojenne obu stron dysponują też tymi samymi rakietami Exocet produkcji francuskiej, które są przeznaczone do zwalczania jednostek pływających.

W KOSMOSIE

Od samego początku ponad archipelagiem znajdują się „elektroniczne" oczy wielkich mocarstw. Czy to przypadek? Amerykanie wprowadzili na orbitę 2 satelity rozpoznawcze typu Big Bird i KH 11 przesyłające zdjęcia.

Big Bird jest ogromnym cylandrem ważącym 12 ton, w którym umieszczono kamery wyposażone w nowoczesne teleskopy. Satelity tego typu krążą bardzo nisko nad powierzchnią Ziemi — na wysokości 130 km, co zwiększa precyzję dokonywanych zdjęć.

Amerykański satelita Key Hole jest najnowocześniejszy, jaki wyprodukowali do tej pory Amerykanie. Satelita ten co 24 godziny przechodzi ponad tym samym punktem naszego globu. Jest on wyposażony w dwa systemy dokonywania zdjęć. Pierwszy — klasyczny — pozwala na uzyskiwanie zdjęć w strefie o szerokości 200 km. Należy sądzić, że satelita ten dokonuje w ciągu sekundy co najmniej 500 zdjęć. Filmy są wywoływane na pokładzie satelity i w 24 godziny później zrzucane w rejonie bazy na Hawajach, gdzie jeszcze w locie podejmuje ten ładunek samolot typu Hercules C 130. Zdjęcia są przesyłane do Pentagonu i tam odpowiednio analizowane. Drugi system dokonywania zdjęć jest elektroniczny. Rejestruje on na taśmie magnetycznej zdjęcia przekazywane bezpośrednio na ziemię przez anteny satelity. Taki system przekazywania zdjęć pozwala uniknąć skomplikowanych akrobacji powietrznych.

Rzecz oczywista, informacje zebrane *przez amerykańskie satelity* są udostępniane Brytyjczykom. Mają one kapitalne znaczenie. Kiedy pogoda jest dobra i jest akurat dzień, zdjęcia te umożliwiają wykrycie wszelkich statków o długości powyżej 100 metrów. Dzięki systemowi promieni podczerwonych można też natychmiast wykryć źródło ciepła, a więc silniki okrętów niezależnie od tego, czy jest dzień czy też noc.

Teraz należy przesłać te informacje brytyjskiej marynarce wojennej. Służą do tego odpowiednie satelity komunikatywne. W tym wypadku wykorzystuje się satelitę Gapfiller. Umieszczony na orbicie geostacjonarnej na wysokości 36 tys. km ponad Wyspą Wniebowstąpienia leżącą na połowie drogi między Falklandami a Wielką Brytanią, Gapfiller pozwala na przekazywanie wszelkich zakodowanych depesz radiowych między kwaterą główną w Cheltenham w hrabstwie Gloucester i okrętem flagowym „Hermes" na południowym Atlantyku. W ten sposób pani Margaret Thatcher może w każdej chwili porozumieć się z admirałem Goodwardem. Wielu ekspertów przypuszcza też, że dowódca brytyjskiego okrętu podwodnego „Conquerór" otrzymał bezpośredni rozkaz pani Thatcher zatopienia argentyńskiego okrętu „General Belgrano".

Brytyjska marynarka wojenna ma też inny atut elektroniczny — dysponuje przewagą w wojnie radiowej. Dzięki dwu czy trzem okrętom zakotwiczonym w pobliżu Malwin, Anglicy zdołali zagłuszyć argentyńskie radiostacje naziemne i tym samym niemalże przerwać łączność radiową garnizonu na Falklandach z bazami na kontynencie.

Wszystkie te nowoczesne urządzenia nie usuwają jednak pewnej istotnej niedogodności. Zbliża się bowiem zima i pora gwałtownych burz. Tym samym wszelkie próby ustalenia, gdzie się znajdują jednostki przeciwnika są teraz trudniejsze. W miarę upływu czasu i pogorszenia warunków meteorologicznych „oczy i uszy" Brytyjczyków nie będą już tak skuteczne. Pogoda jest sprzymierzeńcem Argentyńczyków.

„LE POINT"